

Jerzy Pawlak

**MIĘDZY PRAWEM
A GEOLOGIĄ**



Warszawa 2016

Dotychczas wydane pozycje
Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Seria Wspomnienia

- Nr 1. Janusz Uberna, 2012, Gobijska przygoda, Warszawa.
Nr 2. Stefan Cieśliński, 2013, Sahara moich wspomnień, Warszawa.
Nr 3. Janusz Uberna, 2013, Życie pełne podróży, Warszawa.
Nr 4. Aleksander Jeliński, 2013, W środku Europy, Warszawa.
Nr 5. Stefan Cieśliński, 2014, Geologia moją pasją, Warszawa.

Jerzy Pawlak

MIEDZY PRAWEM A GEOLOGIĄ
(Wspomnienia i refleksje)

Warszawa 2016

Redakcja: Maciej Podemski

Projekt okładki: Jerzy Pawlak

W książce zamieszczono zdjęcia z archiwum Jerzego Pawlaka.

ISBN 978-83-62989-55-3

© Copyright by Jerzy Pawlak, Warszawa 2016.

Druk i oprawa: ACAD, www.acad.pl, tel. 22 789-4-789

Zdjęcie na tytułowej stronie: Autor. (Fotografował Kuba Pawlak)

SPIS TREŚCI

Od Autora.	5
ROZDZIAŁ I. POCZĄTEK	7
Rodzina	7
Wojna	13
Stralsund. Życie na obczyźnie	15
Akcja wynarodowiania	21
ROZDZIAŁ II. LATA SZKOLNE	28
Pelplin 1935-1940	28
Stralsund 1940-1945	32
Medal von Reichenbacha 1943	36
Gniezno 1945-1947	41
ROZDZIAŁ III. STUDIA	48
Wyższa Szkoła Handlu Morskiego, Sopot 1948-1952	48
Uniwersytet Warszawski - Wydział Prawa,	55
ROZDZIAŁ IV. PRACA - OKRES GDAŃSKI 1947-1974	60
Praca w skarbowości. Mogilno-Sopot 1947-1948	60
Praca w budownictwie - Gdańsk 1948-1953	65
Praca w geologii - Gdańsk 1953-1974	69
Dylematy zmiany pracy	81
ROZDZIAŁ V. PRACA - OKRES WARSZAWSKI	87
Centralny Urząd Geologii 1974-1978	87
Kombinat Geologiczny „PÓLNOC” 1978-1982	107
Reforma Gospodarcza 1982-1985	118
Polska Akademia Nauk 1986-1989	121
Geopol Warszawa	124
ROZDZIAŁ VI. PRACA – WOLNY ZAWÓD	129
Własna kancelaria prawna 1990-2012	129
Emerytura. Klub Jasna 6	139
ROZDZIAŁ VII. NIE SAMĄ PRACĄ CZŁOWIEK ŻYJE	142
Wakacje przed wojną	143
Wakacje i urlopy w pierwszych latach powojennych	145
Urlopy w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych	149
Urlopy za granicą	151
Urlopy we własnej chacie	158
Urlopy po transformacji	165
Moje przygody z operą	174
ROZDZIAŁ VIII. REFLEKSJE U SCHYŁKU ŻYCIA	182
Satysfakcja i duma	182
Łyżka dziegciu	186
ZAMIAST ZAKOŃCZENIA	193
INDEKS NAZWISK	198

Od Autora

Prawo jako dyscyplina naukowa i jako praktyka prawnicza było przedmiotem mojego zainteresowania już w szkole średniej. Z nim wiązałem plany dalszych studiów i uprawianie zawodu. Zupełnie inaczej było z geologią. W szkole ten przedmiot wydawał mi się tak nudny, że były to jedyne lekcje, z których uciekałem na wagary.

Czysty przypadek zrządził, że jednak spotkałem się z geologią. Po studiach ekonomicznych (początkowo studia prawnicze mi nie wyszły) i krótkiej pracy w budownictwie mój szef zaproponował mi przystąpienie do zespołu powołanego przez Ministerstwo Gospodarki Komunalnej w celu utworzenia resortowej służby geologicznej – przedsiębiorstwa geologicznego na terenie północnej Polski. O geologii nie miałem zielonego pojęcia, ale propozycja stanowiła dla mnie nowe wyzwanie, któremu się, jako młody człowiek, chętnie poddawałem.

Dopiero nieco później zdałem sobie sprawę, że w Polsce z inicjatywy państwa powstaje nowa branża gospodarcza. Podstawowym kanonem polityki gospodarczej państwa socjalistycznego, a takim stawała się Polska po drugiej wojnie światowej, była teoria prymatu przemysłu ciężkiego, w myśl której rozwój gospodarki uwarunkowany jest przemysłem ciężkim. On wymaga rozwoju bazy surowcowej, a to umożliwia rozwój badań i poszukiwań geologicznych. Oto i geneza rozwoju geologii w Polsce i geneza mojego spotkania z geologią. Tak doszło u mnie do współdziałania prawa, które w międzyczasie skończyłem, z działalnością w branży geologicznej. Współdziałanie to trwało u mnie ponad pół wieku.

Początki tej pracy, jak zwykle początki, były trudne, tym bardziej je mile wspominam. Działalność geologiczna w Polsce, właśnie w okresie mojej pracy w tej branży. odnotowała wielkie sukcesy w postaci odkrytych i udokumentowanych złóż kopalin, co zmieniło potencjał gospodarczy Polski.

Okres drugiej połowy XX wieku stanowił złoty okres polskiej geologii, mimo iż rozwój gospodarczy Polski w tym okresie jest oceniany negatywnie. Możliwość uczestniczenia w tej działalności była dla mnie wielką satysfakcją. Moja praca w geologii jest główną kanwą niniejszych wspomnień i stanowi uzasadnienie ich tytułu.

Opisane w tej książce wydarzenia, jak i refleksje, mają głębsze tło w postaci trzech wydarzeń globalnych, które w czasie mojego życia zaistniały: drugiej wojny światowej, powstałej w jej wyniku zmiany ustroju społeczno-politycznego oraz rewolucji solidarnościowej. Były to wydarzenia nadzwyczajne. Należę do pokolenia urodzonego w latach 20. XX wieku, pokolenia nazywanego niekiedy pokoleniem tragicznym. Byliśmy za młodzi by mieć wpływ na wydarzenia drugiej wojny światowej, ale byliśmy we właściwym wieku by być główną ofiarą tych wydarzeń. Byliśmy też we właściwym wieku, by wziąć na siebie konsekwencje drugiej wojny światowej, i te związane z odbudową kraju, i te związane z politycznymi zmianami ustrojowymi. Świadomość tego czyni, jak sądzę, niniejsze wspomnienia, jak i refleksje, bardziej zrozumiałe.

ROZDZIAŁ I

POCZĄTEK

Rodzina

Urodziłem się 19 lipca 1928 roku, przypadkowo w Pączewie, gmina Skórcz, powiat Starogard. A więc na Kociewiu. Skąd rodzina Pawlaków wzięła się na Kociewiu? Ani rodzina ojca, ani matki nie miały tu swoich korzeni. Rodzina ojca pochodzi z Wielkopolski, z Miłosławia w powiecie wrzesińskim, a rodzina matki z Kujaw, z okolic Inowrocławia.



Moi dziadkowie: Zofia i Antoni Pawlakowie

Co mówią przekazy rodzinne? Mój ojciec w swoich zapiskach tak przedstawia jak znalazł się na Pomorzu: skończył edukację w roku 1922

mając 18 lat, poprzestając na tzw. małej maturze. Pod koniec tego roku zjawił się w Tczewie, gdzie mieszkała jego starsza siostra Stanisława.

W Tczewie ojciec dostał pracę w charakterze urzędnika państwowego w starostwie powiatowym – w inspektoracie szkolnym. Z tytułu swojej pracy obracał się głównie w środowisku nauczycielskim i to zarówno służbowo, jak i towarzysko. Do jego bliższych przyjaciół należał Konrad Kowalkowski i jego żona Anna. Oboje byli nauczycielami w polskiej szkole w Tczewie. Anna była rodowitą Niemką i nigdy nie wyżyła się charakterystycznej niemieckiej wymowy.



*Moi rodzice: ojciec, Stefan Pawlak i matka, Maryla Kowalkowska
(zdjęcie matki z 1927 roku)*

31 grudnia 1926 roku Kowalkowscy urządzili w swoim mieszkaniu przyjęcie sylwestrowe, na którym znalazła się kuzynka Konrada, moja późniejsza matka, Maryla Kowalkowska, oraz ich przyjaciel, Stefan Pawlak. Tam poznali się moi rodzice. Już w październiku 1927 r. odbył się ich ślub. W tym też roku ojca przeniesiono do Starogardu Gdańskiego, gdzie pracował w takim samym charakterze w starostwie powiatowym. Po ślubie rodzice z braku mieszkania w Starogardzie zamieszkali na

krótko w Pączewie, kilka kilometrów od Starogardu. Tam urodziłem się 19 lipca 1928 r. Rodzice mieszkali w Pączewie zaledwie kilka miesięcy i przenieśli się do Starogardu, gdzie w roku 1931 urodził się mój brat Witold.



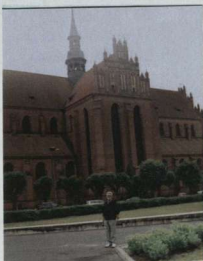
Rodzina przed wojną, 1934 r.

Od lewej: Lutka (pomoc domowa), mama, ja, Danusia, Witold, ojciec.

W roku 1931 ojciec został powołany na stanowisko sekretarza nowo utworzonego miasta Pelplina w powiecie tczewskim, odległego od Starogardu 15 km. Była to mała miejscina powstała na bazie klasztoru Cystersów, wielkiej katedry oraz siedziby biskupstwa diecezji chełmińskiej. Mieszkała tam cała kapituła diecezjalna, było seminarium duchow-

ne, katolickie gimnazjum i liceum z dużymi tradycjami oraz redakcja pisma katolickiego „Pielgrzym”.

Politycznie panowała tam w tym czasie endecja, która na tych terenach miała pozycję dominującą. Zastanawiałem się, w jaki sposób ojciec trafił do zarządu miasta położonego w powiecie sąsiednim, gdzie nikogo nie znał, gdzie nie miał kontaktów, ani służbowych, ani rodzinnych. Miał zaledwie 27 lat, ale żadnego doświadczenia w pracy samorządu.



Katedra w Pelplinie.

Drugi co do wielkości kościół ceglany w Polsce.

W zaczęтым pamiętniku ojciec napisał m.in. tak: *„należałem do bojówki chadeckiej, czy endeckiej, z której później przeszedłem do organizacji „Obóz Wielkiej Polski” z miecznikami Chrobrego w kłapie”*. W miejscu pracy, w starostwie powiatowym w Starogardzie, zapewne nie mile widziano aktywną działalność endecką ojca. W Pelplinie posłem z ramienia endecji był redaktor pisma „Pielgrzym” – Matłosz (jego córka chodziła później ze mną do klasy).

W roku 1931 Pelplin uzyskał prawa miejskie. Ojciec został w 1931 r. powołany na sekretarza zarządu miasta. Myślę, że koneksje polityczne odegrały tu istotną rolę, chociaż są to tylko domysły. Natomiast absolut-

nie nie pamiętam by ojciec w okresie przedwojennym czynił jakiegolwiek uwagi na tematy polityczne, które by świadczyły o jego endeckich zapatrywaniach. Może zmienił poglądy? Owszem, w domu często były rozmowy na tematy polityczne, a w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny takie rozmowy miały często zabarwienie antyniemieckie.



Pierwszy Zarząd miasta Pelplin, 1931. Drugi z prawej, to mój ojciec.



Pierwszy z prawej - mój ojciec

Jako uczeń szkoły powszechnej (tak się wtedy nazywała szkoła podstawowa) często występowałem na akademiach w szkole: z okazji imienin prezydenta Mościckiego, rocznicy śmierci marszałka Piłsudskiego, czy innych świąt i uroczystości państwowych – i recytowałem wiersze. Ojciec nigdy nie miał do tego zastrzeżeń. Pamiętam, jak w roku 1938 ojciec wrócił z jakiegoś patriotycznego zlotu w Toruniu i poinformował nas, że całą miesięczną pensję ofiarował na pożyczkę narodową przeznaczoną na zbrojenia. Matka była przerażona i zapytała tylko: „a z czego będziemy żyli?”

Ojciec brał aktywny udział w życiu społecznym i politycznym. Oprócz funkcji sekretarza zarządu miejskiego był naczelnikiem ochotniczej straży pożarnej i uczestniczył w akcjach gaszenia pożarów. W pamięci zachowała mi się akcja pożarowa w noc sylwestrową 1938 roku, kiedy paliło się gospodarstwo niemieckie w Rudnie (5 km od Pelplina). Może dlatego utkwiał mi ten fakt w pamięci, że to właśnie jeden z niemieckich gospodarzy z Rudna okazał się później oficerem SS i brał udział w akcji wysiedlenia nas z Pelplina. Wiem też, że ojciec mój był aktywnym członkiem Polskiego Związku Zachodniego, który był organizacją o silnym zabarwieniu antyniemieckim. Związek Zachodni stanowił przeciwwagę dla istniejącej w Niemczech organizacji nacjonalistycznej, antypolskiej, o nazwie *Ostmarkenverein*. W Pelplinie za przynależność do Polskiego Związku Zachodniego Niemcy we wrześniu 1939 roku rozstrzelali.

Historia rodziny w Pelplinie zakończyła się z wybuchem wojny. 21 stycznia 1940 r. Niemcy wyrzucili nas o godzinie 5 rano z mieszkania i wywieźli do obozu w Riesenburgu (obecnie Prabuty w województwie olsztyńskim). Do Pelplina już nie wróciliśmy, nie licząc powojennych wizyt sentymentalnych.

Wojna

Wybuch wojny kojarzy mi się z dwoma wydarzeniami: wjazdem żołnierzy niemieckich w pierwszych dniach września i wigilią 1939 roku. Pierwsze miało miejsce w miejscowości Cięcisko koło Strzelna, dokąd dotarliśmy w ucieczce przed Niemcami na zarekwirowanych wozach konnych. Drugie wydarzenie – wigilia – miało miejsce w Pelplinie na wspólnej wieczerzy wigilijnej u naszych sąsiadów. Gospodarz domu, pan Lisewski, wygłosił podniosłą i patriotyczną modlitwę, którą zakończył słowami: „*i panie Boże spraw, aby tych cholernych szkopów diabli wzięli*”.

Scena wyrzucenia z mieszkania pozostaje żywa do dziś. Obudziło nas o piętej rano głośnie walenie do drzwi. Zbudziliśmy się wszyscy. Ojciec otworzył drzwi, w których stało dwóch funkcjonariuszy policji, jeden

w cywilu, drugi w mundurze. Padła głośnie komenda, którą do dzisiaj pamiętam: „*in fünfzehn Minuten raus*” (w ciągu 15 minut wynocha). Ten termin był absolutnie nierealny. Opuściliśmy mieszkanie w ciągu około 30 minut. Bez mycia, po zjedzeniu na stojąco kawałka chleba. Ale było to możliwe tylko dlatego, że byliśmy na taką okoliczność przygotowani.

Już od kilku tygodni chodziły po mieście pogłoski, że w sąsiednich miastach: Starogardzie, Tczewie i Gniewie, miały miejsca wywózki mieszkańców. Te pogłoski spowodowały, że rodzice przygotowywali się i popakowali w specjalnie uszyte worki i plecaki bieliznę i inne niezbędne rzeczy. Dzięki temu mogliśmy tak szybko opuścić mieszkanie, przy czym niemieccy policjanci cały czas obserwowali nas i wraz z nami opuścili mieszkanie, zabierając od rodziców klucze i, jak zauważyłem ukradkiem, ozdobny budzik stojący na stoliku nocnym.

Pod eskortą policjantów, z tobołkami na plecach, z walizkami na sankach dziecięcych, musieliśmy pieszo iść do dworca kolejowego. Nie była to łatwa droga, ponieważ trzeba było przejść przez dosłownie całe miasto. Było dużo śniegu. Na dworcu, w odrębnej sali urzędowali SS-mani, którzy nas rejestrowali i przeglądali portfele, rekwirując pieniądze. Wspaniałomyślnie zostawiali po 10 marek na osobę. Kiedy matka zapytała o pokwitowanie SS-man oświadczył: „*pokwitowanie to to, że żyje*”. Po kilku godzinach czekania podstawiono pociąg, do którego nas zała-

dowano. Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Po kierunku jazdy orientowaliśmy się, że jedziemy, wbrew naszym oczekiwaniom, nie w głąb kraju, lecz na północny wschód.

W mieszkaniu został cały dobytek życiowy rodziców. Co się z nim stało? Jak się później dowiedzieliśmy, mieszkania po wypędzonych Polakach otrzymali Niemcy sprowadzeni z krajów bałtyckich – tzw. *Baltendeutsche*. To też tłumaczy, dlaczego wywożono z Pelplina i okolic rodziny z dziećmi i to rodziny osób posiadających własne sklepy, zakłady usługowe i rzemieślnicze oraz kolejarzy i urzędników. Nie było wśród nich robotników. Powodem wypędzenia nie była więc wysyłka na roboty, ale zwolnienie mieszkań dla współziomków niemieckich. Hitler w ten sposób zaczął realizować politykę narodowościową „*Zurück zur Heimat*”. Naszym kosztem.

Stralsund – życie na obczyźnie

Z Pelplina wywieziono nas do obozu przejściowego, prowadzonego przez SS, tzw. *Übergangslager* w Riesenburgu, w Prusach Wschodnich. Obóz zorganizowany był w zlikwidowanym szpitalu dla umysłowo chorych. W obozie zastaliśmy takich samych wysiedlonych, jak my, z okolicznych miejscowości – z Gdańska, Starogardu, Gniewa i Tczewa. W obozie przebywaliśmy oddzielnie: mężczyźni i kobiety z dziećmi. Nie wymagano tam od nas wykonywania jakichkolwiek robót poza sprzątnięciem, usuwaniem śniegu i pomocy w kuchni.

Po dziesięciu dniach, 1 lutego, został uformowany transport kolejowy, którym wywieziono pierwszą partię na roboty do Niemiec. Nasza rodzina znalazła się w tym pierwszym transporcie. Ulokowani w wagonach osobowych, ale nieogrzewanych, wyjeżdżaliśmy późnym wieczorem przez Malbork, Tczew, Gdańsk, w kierunku zachodnim. Jazda trwała prawie 30 godzin. Od Stargardu Szczecińskiego pociąg zaczął się zatrzymywać na kolejnych stacjach: Anklam, Pasewalk, Greifswald, gdzie wyprowadzano z transportu grupy, które tam pozostały.

My jechaliśmy dalej do stacji końcowej, którą był Stralsund, miasto liczące wówczas około 50 tysięcy mieszkańców. Dotarliśmy tu w nocy i tramwajami dowieziono nas do lokalu rozrywkowego na drugim krańcu miasta – Kniepervorstadt – o nazwie „*Strelasund*”. Tam rozłożyliśmy się na podłodze, bo żadnych legowisk nie było i spaliśmy do rana. Tak zaczął się nasz epizod rodzinny na obczyźnie.

Następnego dnia rano staliśmy się towarem na „targu niewolników”. W miejscu naszego noclegu, na dużej sali lokalu „*Strelasund*”, pojawili się przedstawiciele *Arbeitsamtu* i okoliczni bauerzy, którzy nas szczegółowo oglądali i wypytывali o kwalifikacje. Na podstawie oglądu wskazywali urzędnikom *Arbeitsamtu*, którą rodzinę chcieliby wziąć. Targi trwały kilka godzin, aż wreszcie zostało kilka rodzin bez przydziału. Tym rodzinom przedstawiciele *Arbeitsamtu* wystawili skierowania do bauerów z bardziej odległych od Stralsundu miejscowości, dali bilety kolejowe i wskazówki na jakich stacjach będą czekali na nich ich przyszli pracodawcy. My do tej grupy też należeliśmy.

Już bez eskorty pojechaliśmy w składzie kilku rodzin w kierunku Altentreptow. Tam na wskazanej stacji rzeczywiście czekali na nas bau-

erzy z saniami. Każdy z nich zabrał jedną rodzinę do swojej wsi. Nas również zabrał jeden z nich do swojego gospodarstwa. Po przybyciu na miejsce zaprowadził nas do kuchni, gdzie podano nam jedzenie. W czasie jedzenia bauer wypytywał ojca skąd pochodzimy, kim jest ojciec i matka z zawodu. Kiedy dowiedział się, że ojciec jest urzędnikiem, że ani ojciec ani matka nie pracowali w gospodarstwie wiejskim, oświadczył, że on takich robotników nie potrzebuje i nie takich zamawiał w *Arbeitsamcie*. Ponieważ rozmowa toczyła się w sobotę, oświadczył, że w poniedziałek odsyła nas do Stralsundu, do *Arbeitsamtu*. Do tego czasu mieliśmy przebywać w przygotowanym dla nas pomieszczeniu w czworakach, dokąd zaprowadził nas jego robotnik. Pomieszczenie było ogrzane, a robotnik okazał się Polakiem od dawna tam mieszkającym.

W mieszkaniu, w którym przebywaliśmy do poniedziałku rano, odetchnęliśmy. Od kilku tygodni byliśmy po raz pierwszy bez nadzoru policyjnego, mogliśmy się swobodnie poruszać. W poniedziałek rano nasz bauer stawił się z saniami i powiózł nas na stację kolejową, gdzie zastaliśmy całe nasze polskie towarzystwo, z którym przybyliśmy w sobotę. Wsiedliśmy do pociągu i powróciliśmy do Stralsundu zgłaszając się w *Arbeitsamcie*. *Arbeitsamt* ulokował nas w noclegowni znajdującej się w samym śródmieściu, naprzeciwko katedry mariackiej (Marienkirche), przy ulicy Bleistrasse, chyba 7. W jednej izbie ulokowano nas z inną rodziną, państwem Murawskimi z Gniewa, razem 9 osób.

Przez następne dwa tygodnie ojciec i pan Murawski codziennie zgłaszali się do *Arbeitsamtu*, który dawał skierowanie do pracy. Ale, jak się tam zjawiali, to oświadczano im, że Polaków do pracy nie potrzebują. Widać z tego, że nie zapotrzebowanie na siłę roboczą było przyczyną wyrzucenia nas z mieszkania i wywózki do Niemiec. Niemcy zakończyli kampanię wrześniową i część wojska rozpuścili do domu. Zapotrzebowania na pracę w mieście nie było, a na wsi nikt nas nie chciał. Ta sytuacja uległa radykalnej zmianie w dalszym toku wojny. Sytuacja stawała się dla nas groźna, gdyż urzędnicy *Arbeitsamtu* zaczęli mówić o wysłaniu nas powrotem do obozu w Riesenburgu, co oznaczałoby powrót „pod opiekę” SS.

Był też drugi powód kłopotów: nie otrzymywaliśmy od *Arbeitsamtu* żadnych pieniędzy, a z czegoś trzeba było żyć. Nasi „opiekunowie” z SS odebrali nam wszystkie pieniądze, najpierw w Pelplinie, a resztę w

obozie. Na szczęście moja matka, jak zawsze przezorna, części pieniędzy nie oddała i przechowała je w motkach wełny i w szpulkach do nici. To nas ratowało. W gorszej sytuacji była rodzina Murawskich, którzy pieniędzy nie mieli. Pamiętam, że pan Murawski z rozpaczy zgłosił się już bez skierowania *Arbeitsamtu* do zakładu oczyszczania miasta z ofertą pracy jako robotnik przy wywózce śmieci i o dziwo go przyjęto. A kiedy po paru dniach okazało się, że jest on obeznany z pracą biurową, kiedy przekonano się, że mówi i pisze perfektnie po niemiecku, zatrudniono go w biurze (pan Murawski w okresie późniejszym podpisał III-cią grupę *Volkslisty* i jako żołnierz niemiecki padł na froncie wschodnim).

Ojciec przez dwa tygodnie pielgrzymowania po różnych zakładach pracy, wskazanych przez *Arbeitsamt*, pracy nie dostał. Dano mu ostatnią szansę kierując go do „*Elektrizitätswerk und Strassenbahn A.G.*”, to jest do elektrowni miejskiej połączonej z miejską komunikacją. I tam przyjęto go do pracy i to nie jako robotnika, ale w dziale finansowym.

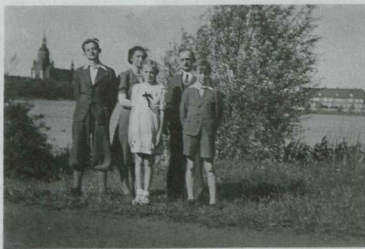
Sam fakt przyjęcia do pracy wart jest odnotowania. Odbłyło się to tak: ojciec zgłosił się ze skierowaniem *Arbeitsamtu* do działu kadr. Urzędniczka wzięła skierowanie i wyszła. Po chwili wróciła i poleciła ojcu udać się do dyrektora, którym był pan Buchholz. Fakt, że dyrektor dużego przedsiębiorstwa wyraził chęć rozmowy z nieznanym Polakiem wydał się ojcu dziwny. Po wejściu do gabinetu i po wymianie wstępnych informacji, dyrektor zamknął drzwi i powiedział: „*Panie Pawlak, proszę dokładnie opowiedzieć, jak to wyglądało w Polsce we wrześniu. Tylko niech pan mówi prawdę, nic panu nie grozi. Dla pana informacji – ja pochodzę z Torunia*”.

Ojciec był zaszokowany, ale nabrał do rozmówcy zaufania i opisał mu dokładnie przebieg kampanii wrześniowej na Pomorzu, nie wyłączając opisu bestialskich mordów, jakie miały miejsce w Pelplinie, w Bydgoszczy i innych miastach Pomorza. Po tej rozmowie dyrektor Buchholz oświadczył ojcu, że przyjmuje go do pracy w dziale finansowym (ojciec znał perfektnie niemiecki). Tym samym skończyły się nasze perypetie z pracą w Niemczech. Ojciec przepracował w tym przedsiębiorstwie cały okres wojny.

W związku z uzyskaniem przydziału pracy *Arbeitsamt* załatwił nam też mieszkanie. Przydzielono nam i rodzinie Murawskich mały domek w schronisku dla starców (*Altersheim*) w klasztorze św. Jana (Jo-

hanniskloster) przy Schillstrasse 4. Oprócz dużego, średniowiecznego budynku z celami, z których dym wyprowadzany był na strych domu (*Reucherboden*), znajdowało się tam kilkanaście starych, małych budynków z pruskiego muru, z których jeden przydzielono nam. Dla dzie-
więciu osób było to szalenie ciasne pomieszczenie. Na parterze był mały
pokoik i mała kuchenka, a na piętrze trochę większy pokoik i komórka.
Dolny pokoik zajęła rodzina Murawskich, a górne my. Kuchnia była
wspólna. W tym mieszkaniu przeżyliśmy do 1943 r., do czasu, kiedy
władze miejskie przydzieliły nam mieszkanie przy ulicy Kuelpstrasse 14.

Nowe mieszkanie znajdowało się w starym, średniowiecznym do-
mu, w centrum starego śródmieścia, na bocznej ulicy od Starego Rynku
(Alter Markt). Mieszkanie było większe: trzy pokoje z ciemną kuchnią,
ale budynek był zrujnowany, z krzywymi podłogami, wykrzywionymi
ścianami, pokój bez okna, jednym słowem, była to rudera. Ale było to
mieszkanie samodzielne i obszerne (po wojnie tylko ten budynek na Ku-
elpstrasse został zburzony i odbudowany od podstaw). Tam przeżyliśmy
do końca wojny.



Nasza rodzina. W tle Stralsund.



*Stralsund, rok 1940. My i państwo Murawscy przed mieszkaniem.
Od lewej stoją moi rodzice i państwo Murawscy. Niżej Witold, dzieci
państwa Murawskich, Danusia i ja.*

Mieliśmy więc szczęście. Ojciec pracował w biurze, matka prowadziła dom, my chodziliśmy do szkoły (szczegóły w rozdziale następnym). Wojna dla nas polegała na tym, że ojciec musiał się okresowo meldować na policji, mieliśmy kartki żywnościowe i odzieżowe gorsze od kartek dla Niemców, ale w porównaniu z życiem rodaków w kraju były to warunki wyjątkowe. To jednak nie znaczy, że nie było niepoko-
jów. Po pierwsze, zgrozą napelniały zwycięstwa Niemców na prawie wszystkich frontach. Szczególnie deprymująco zadziałał na nas upadek Paryża. Stralsund był wielokrotnie bombardowany w nocy. Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej dawał nadzieję, ale triumfalny pochód Niemców w Rosji był dojmujący. Dopiero bitwa stalingradzka dodawała nadziei, której nigdy nie traciliśmy.



Stralsund. Przed odrestaurowanym po wojnie domem, w którym mieszkaliśmy w latach 1940-1943. Zdjęcie z roku 2010.

Akcja wynaradawiania

Niemcy po zajęciu Polski prowadziły wobec Polaków zróżnicowaną politykę. Inną wobec ludności zamieszkałej w zachodniej części Polski, zwanej przez Niemców „ziemią wcielonymi do Rzeszy” (Pomorze, Wielkopolska, Śląsk), a inną wobec ludności zamieszkałej Polskę centralną, nazwaną General Gouvernement (Mazowsze z Warszawą i Lublinem, Małopolska z Krakowem). Ludność Polski wschodniej, jako przydzielonej ZSRR w porozumieniu Ribbentrop-Mołotow, była przedmiotem polityki tego państwa. W efekcie społeczeństwo polskie żyło w czasie wojny do wybuchu wojny z ZSRR w trzech różnych reżymach.

Najbardziej znane były warunki życia Polaków w tzw. General Gouvernement, gdzie żyło najwięcej Polaków. Natomiast najmniej znana jest historia ludności zachodniej części kraju. Niemcy postanowili ludność tych terenów włączyć do narodu niemieckiego. Wg opracowań urzędu rasowego NSDAP, wprowadzono zasady regermanizacji, uznając, że ludność tych rejonów, to spolonizowani Niemcy. Uznano, że zostali oni przez otoczenie polskie wynarodowieni (*umgevolkt*). W opracowaniach tego urzędu Rzeszy o ludności tych terenów mówiło się wprost: „Różnią się oni od otaczającej polskiej ludności, chociaż sami twierdzą, że myślą po polsku i czują się Polakami”. „Byłoby biologicznie krótkowzroczne, a politycznie głupie, by tych ludzi, którzy ostatecznie tylko przyznają się do polskości, traktować na równi z Polakami, zostawić ich polskiemu narodowi i w związku tym ich nie wykorzystać” (cytat z opracowań urzędów rzeszy za R. Kaczmarkiem, „Polacy w Wehrmachcie”, str.51).

Na takich założeniach była realizowana niemiecka polityka zniemczenia ludności tych terenów. Prof. Ryszard Kaczmarek pisze: „W istocie na części terenów wcielonych (Górny Śląsk i Pomorze) wypełnienie ankiety/wniosku o wpisanie na DVT (Niemiecka Volkslista) było obowiązkowe pod groźbą kary, albo zatrzymania w tak zwanym areszcie ochronnym, a przy powtarzającej się odmowie, nawet skierowania do obozu koncentracyjnego. O samym wpisie decydował nie sam zainteresowany, ale powołane w tym celu placówki administracyjne w poszczególnych powiatach, rejencjach i prowincjach, bądź okręgach Rzeszy”.

Akcji germanizacyjnej zostaliśmy poddani również my, mimo iż wyrzucono nas z mieszkania, pozbawiono dobytku i wywieziono na roboty do Niemiec i mimo iż nikt z naszej rodziny nie miał kropli krwi niemieckiej. W połowie roku 1942 wszyscy Polacy z rejonu Stralsundu pochodzący z Pomorza zostali wezwani do stawienia się przed specjalną komisją. Po przeprowadzeniu badań lekarskich (m.in. pomiaru czaszki) komisja orzekła, że jesteśmy „*eindeutschungsfähig*”, tzn. że uznano nas za „zdolnych do zniemczenia”, jako rasowo odpowiednich.

Po takim orzeczeniu wezwano naszą rodzinę przed komisję (liczyła około 10 osób), a jej przewodniczący w mundurze oficera SS poinformował nas o „pozytywnym” wyniku badań lekarskich i zaproponował wpisanie na volkslistę. Na to mój ojciec odpowiedział: *„Dziękuję za propozycję, ale my jesteśmy Polakami i nie możemy tej propozycji przyjąć”*. Na to przewodniczący w uprzejmym tonie oświadczył: *„Panie Pawlak, niech pan się dobrze zastanowi. Naród niemiecki daje wam wspaniałomyślną propozycję i odmowy nie ścierpi. Pan ma dzieci i niech pan pomyśli o ich przyszłości”*. Na to mój ojciec: *„Dziękuję, ale jak powiedziałem, my jesteśmy Polakami i tej propozycji przyjąć nie możemy”*. Do dzisiaj pamiętam tę scenę. Byłem dumny z postawy ojca, tym bardziej, że z całej grupy Polaków z tego rejonu byliśmy jedyni, którzy odmówili przyjęcia volkslisty.

Już kilkadziesiąt lat po wojnie (rok 2013), w wyniku starań w Archiwum Miejskim w Stralsundzie uzyskałem wgląd w akta policyjne z tego okresu i z akt tych dowiedziałem się, że władze policyjne Stralsundu zwróciły się uprzednio (w roku 1941) do niemieckich władz partyjnych w Gdańsku (!) o opinię o ojcu. Władze NSDAP w Tczewie na urzędowym druku ze swastyką wystawiły ojcu następującą opinię (w moim tłumaczeniu): *„Stefan Pawlak został w styczniu 1940 ewakuowany (!) do Riesenburga. W czasach polskich okazał się na swoim stanowisku sekretarza miejskiego i urzędnika stanu cywilnego jako szczególnie aktywny i fanatyczny Polak. Wpis P. na niemiecką volkslistę nie wchodzi w rachubę”*. (vide pismo NSDAP z dnia 27.XI.1941). Tym bardziej dziwi, że mimo tak jednoznacznej opinii władz NSDAP komisja SS zaproponowała ojcu wpis na volkslistę.

Stollarbeiter(in) polnisches Volkstum: Riesenburg		Ausweis-Nr. 39 ✓	
Name: (bei Frauen auch Geburtsname) Pawlak			
Vorname: Stefan			
Geburtsdatum und -ort: 3.8.04 Mirosław (Liebenau) Kr. Wreschen			
Beruf: Führer: Buchhalter Angeber: "			
Familienstand: verh. Zahl der Kinder:			
Religion: r.kath.		Fingerabdrücke (Jederinger)	
Wohnort: (Ortsricht. bezw. Bezirk, Kreis, Ost. Stadt, etc.) Pelplin, Kr. Dirschau		links rechts	
Besondere Anmerkungen:			

Kartoteka policyjna ojca.

Stollarbeiter(in) polnisches Volkstum: Riesenburg		Ausweis-Nr. 40 ✓	
Name: (bei Frauen auch Geburtsname) Pawlak			
Vorname: Marie			
Geburtsdatum und -ort: 28.2.05 in Piszczcinak Kr. Gnesen			
Beruf: Führer: / Angeber: Ehefrau			
Familienstand: verh. Zahl der Kinder:			
Religion: r.kath.		Fingerabdrücke (Jederinger)	
Wohnort: (Ortsricht. bezw. Bezirk, Kreis, Ost. Stadt, etc.) Pelplin, Kr. Dirschau		links rechts	
Besondere Anmerkungen:			

Kartoteka policyjna matki.

Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei
Gau Danzig-Westpreußen

Kreisleitung Dirschau
Friedrichstraße 10
Tel. Nr. 2340/41

Ur.
dem Landratsamt
Dirschau

zurückgesandt.



Kreispostkass. Dirschau Nr. 222
Postfachkonto Danzig Nr. 2708
Fernruf: Dirschau Nr. 1364, 1136

Dirschau, den 27. Okt. 1941

OKT 1941

Stefan Pawlak wurde im Januar 1940 nach Hiesenburg evakuiert. Er hat sich zu polnischer Zeit in seiner Eigenschaft als Stadtschreiber und Ständebesitzer als ein besonders aktiver und fanatischer Pole gezeigt. P. kommt für die Eintragung in die Deutsche Volksliste vorläufig nicht in Frage.



Heil Hitler!

[Signature]

Kreisleiter m.d. Führung
des Kreises beauftragt.

Opinia NSDAP o ojcu, 1941.

Po odmowie ojca żyliśmy w obawie, jakie będą tego konsekwencje. Mieliliśmy informacje z kraju, że za odmowę podpisania volkslisty ludzie trafiali do obozu koncentracyjnego. Najbliższym przykładem był nasz sąsiad z Pelplina, pan Lisewski, który został za odmowę podpisania wysłany do Dachau, skąd już nie wrócił.

Oczywiście podpisywanie volkslisty to nie był tytuł do chwały. Na terenie Śląska i Pomorza miało to, niestety, charakter masowy i w oczach reszty społeczeństwa polskiego było oceniane negatywnie. Ale gwoili sprawiedliwości należy stwierdzić, że na wschodnich terenach byłej Rzeczypospolitej ludność postępowała podobnie, albo jeszcze gorzej, i nikt im po wojnie z tego zarzutów nie robił. Ludność terenów wschodnich wzięła masowo udział w roku 1939 w wyborach do władz republik radzieckich Ukrainy i Białorusi i w podpisywaniu wniosków o nadanie obywatelstwa ZSRR.

Czołowi polscy inteligenci, którzy uciekli do Lwowa, nader często opowiadali się za władzą radziecką. I było to już nie bierne podporządkowanie się okupantowi ze strachu o własne życie, ale aktywna działalność nakłaniająca ludność polską do potępiania przedwojennych rządów polskich oraz zachwalających ZSRR i jego politykę antypolską. Nie było

na Pomorzu, czy na Śląsku, poetów i działaczy społecznych współpracujących z władzami niemieckimi.

Natomiast było sporo literatów i działaczy współpracujących z władzami sowieckimi na terenach okupowanych przez Związek Radziecki (wystarczy wymienić nazwiska Ważyka, Pasternaka, Wasilewskiej, Putramenta, Wata, Leca, Szenwalda, Lewina, Jędrychowskiego, Bieruta itp. itd.).

A. Gr. B.

Für die zuständige Kreispolizeibehörde

Familiennamē: **Pawlak**

-(Ruf-)name: **Stefan**

Geburtsname bei Frauen: _____

Geboren am **3.8.04** in **Liebenstätt**

männlich, weibl. ☒ ledig, verh., verw., gesch. ☒

Staatsangehörigkeit: **Schutzangeh. (Pole)**

Volkszugehörigkeit: _____

Herkunftsland (eingereist aus): **eingegl. Ostgebiete**

Heimatort: **Liebenstätt**

Kreis: **Wreschen**

Wohnhaft: _____

(bei Ausstellg. d. Befr. Sch.) Beschäftigt als: **Buchhalter 25 b**

Arbeitsbuch-Nr.: A **82/4838**

Arbeitsstelle: **Elektrizitätswerk u. Straßenbahn, Stralsund**

Krs. ders.

Trpt-Nr.: _____ Im Inl. seit **Jan. 40**

Reichsgebiet endg. verl. am _____	Ausgestellt am 16.1.1945
Deutsche Staatsangehörigkeit erworben am _____	Arbeitsamt
Endg. arbeitsunfähig seit _____	Stralsund
Gestorben am _____	

Akta policyjne ojca, 1945.

Leon Pasternak pisał w wierszu: „(...) *A jednak podejmij kalendarz zdeptyany, /część kart jego będziesz kiedyś słał w pieśniach, /gdy padła granica, pękły więzień bramy, /w ten dzień wyzwolenia: siedemnasty września (...)*”. A Szeplińska pisała: „(...) *o Polsko burząjów i drani, /oficerów, obszarników, policjantów, /kiedy dla nas Warszawa, /to stolica krzywdy, /stolica terroru, /stolica bezprawia. (...)*”. Szenwald w poemacie „*Czerwona armia*” pisał: „*Pozdrawiam ciebie, Armio Grozy, Armio Mocy, /Wybawicielko Świata, Wichuro Pomocy (...)*”. Pasternak uznając ZSRR za swoją ojczyznę pisał w wierszu o szczęściu: „(...) *Rosnę i krzepnę władzę radziecką, /choć liczy u nas niewiele dni, /zaciskam pięści – patrzę jak dziecko, /i dumnie marszczę wznesione brwi. (...)*”.

Dlaczego w zaborze sowieckim wybitni polscy poeci, działacze poszli na jawną i aktywną współpracę z okupantem i nie byli za to po wojnie potępiani, a ludzie, którzy z obawy o utratę życia w zaborze niemieckim podpisywali volkslistę byli oceniani negatywnie za swoją postawę? Na tę asymetrię ocen wpłynął przede wszystkim fakt, iż sowieccy kolarboranci stali się po wojnie przywódcami tzw. obozu socjalistycznego.

W Stralsundzie dotrwaliśmy do końca wojny. Stosunki towarzyskie utrzymywaliśmy praktycznie tylko z Polakami z naszego transportu z Riesenburga. Były to rodziny Murawskich z Gniewa, Brzoskowskich i Czyżewskich ze Starogardu, Buschów z Pelplina, rodzina Warmińskich oraz panowie Grubski i Piasecki z Gdańska. Ja miałem kolegów niemieckich, ale tylko w szkole i w kole ministrantów. Bardzo przychylnie byliśmy traktowani przez księży ze stralsundzkiej parafii katolickiej, wśród nich przez kilku kapelanów wojskowych (księża von Hülsen i Möbius). Proboszcz-dziekan Radek, z pochodzenia Ślązak, mówił perfekto po polsku, co ułatwiało kontakty.

Wikary, ks. Walter Proske, wręcz zaprzyjaźnił się z naszą rodziną. Jemu zawdzięczam skuteczne starania o umieszczenie w ekskluzywnym gimnazjum. Ksiądz Proske był negatywnie nastawiony do reżymu hitlerowskiego. To w mieszkaniu jego rodziców w Berlinie usłyszałem w Wielkanoc 1943 roku informację radiową o mordzie na polskich oficerach w Katyniu oraz zdanie obecnych wtedy Niemców o tym, że to jednak zrobili hitlerowcy, o czym my Polacy byliśmy wówczas święcie przekonani. Kontakty z ks. Proske utrzymywaliśmy po wojnie i to przez wiele lat. Ksiądz Proske był po wojnie proboszczem w Hoppenwalde na

Pomorzu i następnie w Berlinie-Johannisthal. Byłem u niego wielokrotnie, a on odwiedził nas w Gdańsku, skąd odbyliśmy podróż samochodem po Polsce – od Gdańska, przez Warszawę, Wrocław, Kraków, Zakopane. Niestety nie dożył tego mój ojciec, który zmarł w roku 1962.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że wyrzucenie nas z mieszkania, pozbawienie dobytku i wywózka na roboty do Niemiec wyszła nam na dobre. Jak w przysłowiu „*nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło*”. Przeżyliśmy wprawdzie wojnę na wygnaniu, ale w porównaniu z warunkami okupacji niemieckiej w kraju żyliśmy względnie spokojnie, w trudnych warunkach materialnych, ale nie w obozie. Otoczenie było nieprzyjacielskie, ale nie wrogie. Przeżyliśmy bombardowania aliantów, ale szczęśliwie obyło się bez strat.

Po wojnie rodzice do Pelplina nie wrócili i dobytku nie odzyskali. Po powrocie z Niemiec mieszkaliśmy krótko (1945-1947) w Mogilnie, gdzie ojciec był zarządzającym majątkami milicyjnymi. Był to okres wprawdzie krótki, ale zakończył się dla niego dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy na skutek odmowy wykonania rozkazu. Komendant główny Milicji Obywatelskiej Franciszek Jóźwiak wydał rozkaz nakazujący milicjantom i pracownikom cywilnym milicji, członkom PPS, wystąpienia z tej partii i wstąpienia do PPR. Milicjanci, w tym komendant powiatowy, który był przewodniczącym powiatowego zarządu PPS, podporządkowali się rozkazowi.

Natomiast mój ojciec, który był pracownikiem cywilnym, nie mundurowym, uznał, że nie można rozkazem polecić przystąpienia do jakiegokolwiek partii politycznej i odmówił. Efektem tego było wezwanie ojca do raportu przez komendanta wojewódzkiego w Poznaniu i aresztowanie na 24 godziny za niewykonanie rozkazu. Następnie zwolniono ojca z pracy w trybie natychmiastowym. W ten sposób ojciec został bez pracy. Zadowolona z tego była matka, która namawiała do przeniesienia się do większego miasta z wyższymi szkołami. Od 1947 zamieszkaliśmy w Gdańsku, gdzie ojciec, aż do śmierci w roku 1962, pracował jako kierownik działu gospodarki komunalnej w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego w Gdańsku. Matka zmarła w roku 1985. Rodzice są pochowani na cmentarzu na Łostowicach w Gdańsku.

ROZDZIAŁ II

LATA SZKOLNE

Pelplin 1935-1940

Moja edukacja zaczęła się w przedszkolu, które w tym czasie nazywano ochronką. Było to w latach 1933-1935 w Pelplinie. Ochronkę prowadziły siostry zakonne, chyba nazaretanki. Pamiętam strój obowiązujący przedszkolaków: fartuszki niebieskie z czerwonymi wypustkami dla chłopców i białymi dla dziewczynek. Ale to wszystko co mi w pamięci pozostało. Poza dziećmi z przedszkola moimi najbliższymi przyjaciółmi były dzieci naszych sąsiadów: państwa Buschów: Kazik, Sewerka, Maryla, Krysia i Hela (z Krysią odnaleźliśmy się w roku 2014 w Gdańsku).



*Dzieci z jednego podwórka. Zdjęcie z roku 1933.
Od lewej: Kazik i Sewerka Busch, ja, Marylka Busch i NN.*

W roku 1935 zacząłem uczęszczać do szkoły powszechnej, czyli podstawowej. Były dwie równorzędne klasy – a i b. Ja byłem w klasie a. Do roku 1939 doszedłem do klasy IV. Moją wychowawczynią była pani Wanda Niklas, której mężem był kierownik szkoły (oboje zostali zamordowani w pierwszych dniach września 1939 roku).

Do mojej klasy chodzili m.in. Edek Martyński, Heniek Śliżewski, Józek Nierzwicki, Terenia Przybecka, Ksenia Michnówna i Leszek Chmielewski. Moim najbliższym kolegą był Edek Martyński (w czasie wojny rodzina Martyńskich została wyrzucona z Pelplina do Pruszkowa pod Warszawą, a ich ojciec – inż. Martyński został rozstrzelany we wrześniu 1939 r. i jest pochowany w lesie szpęgawskim). Z Edkiem utrzymywałem kontakty także po wojnie, już w Gdańsku.

Ze szkoły pamiętam tylko fragmenty: przynależność do szkolnej Ligi Morskiej i Kolonialnej, ale też, że za nieodrobienie lekcji nauczycielka karała kłapsem linijką na łapę. Należałem do grupy dobrych uczniów. Prawdopodobnie dlatego wychowawczyni typowała mnie często do recytowania wierszy na uroczystościach szkolnych: z okazji imienin prezydenta, rocznic śmierci marszałka Piłsudskiego, na koniec roku szkolnego itp. Pamiętam też, że w klasie był tylko jeden Niemiec – Klaus Netzel. Jego ojciec był dyrektorem niemieckich zakładów młynarskich „Kornhaus”. Mieszkał blisko nas i pewnie dlatego się z nim kolegowałem. Bywaliśmy u siebie. Pamiętam, że byłem zbulwersowany, kiedy zobaczyłem, że w piątek na kolację jedli wędlinę. Byli ewangelikami, których post w piątki nie obowiązywał. Ale przyjaźń ta nie była zbyt silna, skoro po wkroczeniu Niemców Klaus mnie nie rozpoznawał na ulicy.



Szkoła powszechna w Pelplinie.

Nie pamiętam, aby szkoła organizowała jakiekolwiek zajęcia pozalekcyjne. Nie było też żadnych kolonii w czasie wakacji. Czas pozaszkolny organizowaliśmy sobie sami. Mieszkaliśmy na skraju miasta, obok majątku biskupiego „Pólko” (dziś tu znajduje się pomnik papieża Jana Pawła II, postawiony z okazji wizyty papieża w Pelplinie) i stąd często bywaliśmy z kolegami w stajniach tego majątku, jak i na jego polach. Pamiętam, że gdy matka mnie wzywała, czy to na obiad, czy na kolację, to robiła przy pomocy charakterystycznego gwizdka strażackiego, którego brzmienie znali wszyscy w okolicy. Nawet kiedy ja gwizdka nie usłyszałem, to koledzy wołali „Jurek, mama gwizdała” i wtedy szybko biegłem do domu.



Moja klasa na zabawie. Ten ulan z lewej, to ja.

To wszystko skończyło się we wrześniu 1939 r. Do szkoły wróciłem dopiero po powrocie z ucieczki – w grudniu 1939 r. Ale to już była nie ta szkoła. Wszystkich nauczycieli polskich Niemcy usunęli, a część zamordowali, w tym moją wychowawczynię i kierownika szkoły. Nauczyciele nowi, to sami Niemcy. Moją wychowawczynią została nauczycielka, która nie mówiła ani słowa po polsku. Lekcje odbywały się więc po niemiecku, a częściowo na migi. Musieliśmy się nauczyć pisać lite-

rami gotyckimi, bo takie liternictwo w Niemczech obowiązywało. Ale do tej szkoły chodziłem krótko, od grudnia 1939 do 20 stycznia 1940, kiedy to Niemcy nas wyrzucili z Pelplina.

Stralsund 1940-1945

Po wywiezieniu z Pelplina nastąpiła przerwa w mojej edukacji, która trwała kilka miesięcy. Początkowo w Stralsundzie ani nam, dzieciom, ani moim rodzicom nie przyszło do głowy, aby uczęszczać do szkoły. Po pierwsze byliśmy wyrzuconymi Polakami, a po drugie nie znaliśmy języka niemieckiego.

Ale w Niemczech był porządek. Któregoś dnia ojciec otrzymał wezwanie z urzędu miejskiego. Tam zapytano go, dlaczego jego dzieci nie uczęszczają do szkoły; w Niemczech istnieje obowiązek szkolny. Wynikiem tego wezwania było zgłoszenie nas do szkoły powszechnej. Według rejonizacji przydzielono nas do szkoły *Lambert Steinwischschule* na przedmieściu Kniepervorstadt. Mnie skierowano do czwartej klasy. Tak znalazłem się w szkole niemieckiej nie znając języka, z wyjątkiem kilku prostych słów i zwrotów. Mało tego, było to w okresie wojny z Polską. Prawie codziennie byłem wyzywany i turbowany jako „*der Pollacke*”.

W szkole tej byłem około roku. Ale to wystarczyło, bym opanował język. Na wiosnę 1941 r. ukończyłem czwartą klasę szkoły podstawowej. W niemieckim systemie szkolnym po czwartej klasie dzieci bądź kontynuowały naukę w szkole podstawowej, bądź przechodziły do średniej. Dla nas taki dylemat nie istniał, ponieważ na terenach okupowanych Niemcy zlikwidowali zarówno szkoły wyższe, jak szkoły średnie i zakazali dzieciom polskim uczęszczania do szkół ponadpodstawowych. Zgodnie z polityką okupanta edukacja dzieci polskich miała się kończyć na szkole podstawowej.

O tym wszystkim wiedzieliśmy i dlatego zostałem w piątej klasie szkoły podstawowej. Ale wikary, ksiądz Proske, któregoś dnia wypytywał ministrantów, do jakiej szkoły średniej przechodzą po czwartej klasie. Powiedziałem mu, że zostaję w szkole podstawowej. Zapytał, dlaczego nie chcę się dalej kształcić? Powiedziałem mu. Zgłosił się więc do mojego ojca, który oczywiście powtórzył mu moje uzasadnienie. Ksiądz Proske to bardzo zdziwiło. Jego zdaniem nie obowiązuje w Niemczech przepis, który odmawiałby prawa uczęszczania dzieciom cudzoziemców do szkoły średniej. Zapytał mojego ojca, czy zgadza się, ażeby on próbował mnie zgłosić do szkoły średniej. Ojciec się zgodził, chociaż był święcie przekonany o naiwności księdza.



Ks. Walter Proske.

Ksiądz Proske był człowiekiem bardzo aktywnym. Udał się do istniejących w Stralsundzie dwóch męskich szkół średnich publicznych (bo wtedy tylko takie były), gdzie, jak nam później relacjonował, spotkał się z odmową przyjęcia mnie. Ale było w Stralsundzie jedno prywatne gimnazjum o profilu klasycznym, o dużych tradycjach, założone przez Dominikanów w 1560 roku w klasztorze św. Katarzyny. Dyrektor tego gimnazjum, dr Winter, zgodził się mnie przyjąć do pierwszej klasy pod warunkiem zdania egzaminu wstępnego z języka niemieckiego z zakresu czterech klas szkoły podstawowej. Egzamin, po przygotowaniu mnie przez księdza Proskego, zdałem i na wiosnę roku 1941 zostałem uczniem pierwszej klasy. Gimnazjum było prywatne i do dzisiaj nie wiem, kto płacił za mnie czesne.

W gimnazjum spędziłem dalsze lata wojenne. I dzisiaj z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że mimo iż były to lata okrutnej przecież wojny, były to też lata, których nie wspominam szczególnie źle. Dla ludzi mojego pokolenia brzmi to nieprawdopodobnie. Dlatego w okresie zaraz powojennym o tym wycinku mojego życia prawie nie mówiłem, bo

historia wydawała się nieprawdopodobna. Wiedzieliśmy wprawdzie, że niektórzy profesorowie (nazywani byli „*Studienrat*”) byli członkami partii, bo nosili znaczek przynależności organizacyjnej (potocznie nazywany „*Kuhauge*” tj. krowie oko), ale na lekcjach o tych sprawach mówiło się rzadko. Natomiast wydarzenia wojenne były omawiane i szeroko komentowane i to oczywiście w duchu patriotyczno-niemieckim. Poziom nauczania był bardzo wysoki. Sprzyjała temu stosunkowo mała ilość uczniów – w klasie było zaledwie 8-14 osób. W klasie, do której uczęszczałem, było nas tylko ośmiu. Nauczycielami były prawie bez wyjątku osoby z tytułem doktorskim. Moim wychowawcą był dr May. Oprócz niemieckiego uczył nas łaciny. Starogreckiego uczył dr Winter, który, jak się dowiedziałem po wojnie, został profesorem uniwersytetu w Greifswaldzie, odległym od Stralsundu o około 40 km. Matematyki i fizyki uczył dr Herbst, a historii i geografii dr Saalow.



Autor w wieku 13 lat

Ciekawostką jest to, że oprócz stopni stosowano tam bicie. Za niedrobienie lekcji bicie trzcina na tylną część ciała, ale również, co dla mnie było szokujące, po twarzy i to wcale nie delikatnie. A w szkole byli przeważnie dzieci rodziców zamożnych. Był hrabia, syn adwokata, syn lekarza, syn dyrektora miejskich wodociągów, syn właściciela dużego sklepu na głównej ulicy miasta. Do biedniejszych należał syn chłopski z

wyspy Rugii, syn urzędnika z Grimmen, no i ja. Wszystkich nazwisk uczniów oczywiście nie pamiętam, ale niektóre tak: Niepage, Ritter, Sauer, Gerber, Schannwell, Dietrich, Kaczke.

Nauka szła mi nieźle, a po pewnym czasie zacząłem się wybijać jako prymus. Nie było żadnych możliwości uniknięcia odpowiedzi na zadawane pytania, czy sprawdzania odrobienia lekcji domowych. Program szkoły kładł nacisk na przedmioty humanistyczne, w tym język starogrecki. Ukoronowaniem sukcesu w mojej edukacji było uzyskanie w roku 1943 medalu za osiągnięcia w nauce. W gimnazjum stralsundskim nadzwyczajnym odznaczeniem dla najlepszego ucznia szkoły był nadawany od 1807 roku medal ufundowany przez arystokratę szwedzkiego Johanna Dawida von Reichenbacha i jego żonę Ewę. W czasie mojego pobytu w tej szkole byłem jedynym uczniem, który medal ten otrzymał. Gimnazjum przetrwało do 1945 r., a po wojnie nie wznowiło działalności.

Medal von Reichenbacha



Awers i rewers medalu von Reichenbacha.

W roku 2012, dokładnie 15. stycznia, ukazał się w tygodniku „*Stralsunder Blitz am Sonntag*” artykuł opisujący moje przeżycia w Stralsundzie, autorstwa red. Antje Rudolph, pod tytułem „*Gruessen Sie bitte Stralsund von mir.*” Gimnazjum humanistyczne w Stralsundzie, w klasztorze św. Katarzyny, było szkołą z tradycjami. Zostało utworzone w roku 1560 (jego historię opisał w monografii prof. Ernst Heinrich Zober, pod tytułem „*Zur Geschichte des Gymnasiums zu Stralsund*” z roku 1807). Stralsund był prawie dwa wieki, tj. od 1648 do roku 1815 roku, pod panowaniem szwedzkim.

Kiedy pisałem mój pamiętnik uświadomiłem sobie, że moje opowiadanie o okupacji w Stralsundzie, a zwłaszcza o pobycie w gimnazjum oraz fakt przyznania mi medalu jako prymusowi szkoły brzmi niewiarygodnie. Powszechnie wiadomo bowiem, że w czasie okupacji polskie dzieci nie mogły uczęszczać do szkół średnich. Prawo niemieckie tego zakazywało. Ponieważ z uzyskaniem medalu nie wiązało się wręczenie odpowiedniego dokumentu, nie mam żadnego dowodu, oprócz samego medalu, że taki fakt miał miejsce. Postanowiłem więc zdobyć jakikolwiek papier, który by dokumentował to zdarzenie.

Vorträge an der VHS

Stralsund/vpb/jm. Aufbaukurs Fotografie – Im Aufbaukurs Fotografie werden für alle, die mehr wissen wollen, die Grundlagen gelegt, um Wissenslücken über optische Gesetzmäßigkeiten, Kamertechnik und Bildgestaltung zu schließen. Hierbei werden wichtige Besonderheiten beim Fotografieren verschiedener Themen in die Praxis umgesetzt. Der Kurs findet am 15. Januar, um 10 Uhr statt.

Plates-Basiskurs – Am 18. Januar beginnt in der Außenstelle Schule Andershof, der «Plates-Basiskurs». Bereits vor über 70 Jahren entwickelte Joseph H. Plates eine Therapie, die auf sanfte und effektive Weise die Muskulatur stärkt und die Flexibilität der Gelenke erhöht. Anmeldungen und nähere Informationen erhältlich im Sekretariat der Volkshochschule Stralsund, Friedrich-Engels-Straße 28, unter Telefon 03831/48 23 10 sowie auf der Internetseite.

Selbsthilfegruppen

Stralsund/vpb. 16. Januar: 8 und 8.45 Uhr – Rheuma Liga Warmwassertherapie; 10 Uhr – Harmonie; 14.30 Uhr – Alleinstehende ab 50; 15.30 Uhr – Depressionen 1; 18 Uhr – Suchtkranke; 17. Januar: 14 Uhr – Osteoporose 1; 15 Uhr – Multiple Sklerose; Rheuma Liga; 15.30 Uhr – Frauenselbsthilfe nach Krebs; 18 Uhr – Suchtkranke; 19 Uhr – AA; 19.30 Uhr – Kirchliche SHG Socht; 18. Januar: 8 und 8.45 Uhr – Rheuma-Liga Warmwassertherapie; 14 Uhr – Osteoporose 2; 16 Uhr – Suchtkranke Frauen; 16.30 Uhr – Witwen und Witwer; 18.30 Uhr – Mobbing; 19 Uhr – Sucht/Blauer Kreuz; 19. Januar: 10 Uhr – Angehörige Demenzerkrankter; 17 Uhr – Suchtkranke; Aphasie; 18 Uhr – AA; Morbus Bechterew; 20. Januar: 15 Uhr – Depressionen 2; Parkinson; 19 Uhr – Transsexuelle Menschen; 21. Januar: 10 Uhr – Lupus; 14 Uhr – Suchtkranke; 16 Uhr – AA. Weitere Informationen bei KISS unter Tel. 03831/292645.

»Grüßen Sie bitte Stralsund von mir«

Während des Krieges als Pole auf Stralsunder Oberschule



Jerzy Pawlak kam als Pole nach Stralsund, weil sein Vater hier während des Krieges Zwangsarbeit leisten musste.

Stralsund/vpb. An einem düsteren, regnerischen Donnerstag wird ein Anruf aus Warschau in die Redaktion gestellt. Werschau? Ja, richtig gehört. Der gebürtige Pole Jerzy Pawlak, Jahrgang 1928, möchte wissen, ob ich Interesse an seiner Geschichte habe. Falls Sie jenseits denken, dass ich polnisch verstehe, nein, dazu habe ich es noch nicht gebracht. Später vielleicht... Aber Jerzy Pawlak spricht exzellentes Deutsch. Als ich ihm dieses Kompliment mache, wirkt er nicht erstaunt. Denn nicht nur in seiner Kindheit, die er zum Teil in Stralsund verbrachte, sondern auch in seinem späteren Berufsleben als Ökonom und Jurist hatte er viel Kontakt mit der deutschen Sprache.

Wenige Wochen später halte ich sein Buch in den Händen, eine aus den Erinnerungen aufgeschriebene Familiengeschichte, in der die Vertreibung 1940 ein eigenes Kapitel enthält. Eines Morgens musste die fünfköpfige Familie in Pelplin, einem kleinen Ort im Bezirk Danzig, ihre Wohnung räumen und wurde, von der SS bewacht, mit vielen end-

ren Familien nach Deutschland transportiert. Als Zwangsarbeiter sollten die Polen auf deutschem Gutshöfen arbeiten. Da Pawlaks Vater für die Arbeit in der Landwirtschaft nicht geeignet schien, wurden er und seine Familie zum Arbeitsamt nach Stralsund zurückgeschickt. Hier erhielt der Vater als Buchhalter eine Arbeitsstelle im Elektrizitätswerk und der Straßenbahn A.G.

Den ganzen Krieg verbrachte diese polnische Familie mit drei Kindern in der Hansestadt. »Als wir nach Stralsund kamen, ist uns nicht eingefallen, eine Schule für uns zu suchen. Wir waren doch polnische Vertriebene ohne Rechte«, erinnert sich Jerzy Pawlak. Doch die Stralsunder

Walter Proke, setzte sich für Pawlak ein und brachte ihm die deutsche Sprache näher. Obwohl polnische Kinder nach deutschem Gesetz nur die Volksschule besuchen durften, wurde es Jerzy Pawlak ermöglicht, auch in einer Oberschule eingeschult zu werden. »Es gab in Stralsund eine Oberschule, wo die Lehrer den Mut hatten, mich als polnisches Kind aufzunehmen«, schreibt Pawlak. Eine private Schule, das Humanistische Gymnasium, das im Katharinenkloster untergebracht war, ermöglichte dem sehr guten Schüler von 1941 bis 1944 den Besuch. In den Klassenlisten wurde er als Georg Pawlak geführt. Besonders stolz ist er auf die Verleihung der Reichenbachschen Medaille, die er 1943 erhielt. Sie wurde 1811 von Johann David von Reichenbach und seiner Frau Eva für besonders gute und erziehbare Schüler gestiftet. Jedes Jahr erhielten nur ein oder zwei Schüler diese Silbermedaille. Jerzy Pawlak hat sie noch heute und auch seine Erinnerungen an die Hansestadt sind noch lebendig, »ich möchte bezeugen«, so der heute

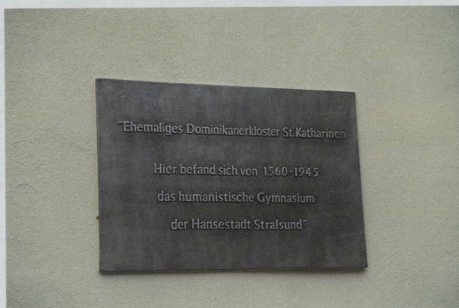
83-jährige, dass es auch in unserer

Vor- und Rückseite der Reichenbachschen Medaille. Fotos: DP privat

Schulbehörde forderte den Schulbesuch der Pawlak-Kinder ein und so besuchten sie die Volksschule »Lambert Steinwich«. Für Jerzy Pawlak war das eine harte Schule, denn er sprach kaum Deutsch, wurde als polnischer Staatsbürger eher als Feind betrachtet. Vor allem der Kaplan der katholischen Gemeinde,

den ich normalen Menschen gab, die den Zirkel hatten menschlich zu sein.« In einem persönlichen Schreiben figt er hinzu: »Grüßen Sie bitte Stralsund von mir«, was ich hiermit gern tue. Anja Rudolph





Aktualnie istniejąca tablica informująca, że w tym budynku mieściło się w latach 1560-1945 humanistyczne gimnazjum miasta hanzeatyckiego-Stralsund.

Jak się zorientowałem, po wojnie gimnazjum humanistyczne w Stralsundzie nie reaktywowało swojej działalności, co biorąc pod uwagę fakt, że znalazło się na terenie NRD, nie było dziwne. Wobec tego zwróciłem się do miejskiego archiwum w Stralsundzie. Po wymianie korespondencji i kilku rozmowach telefonicznych uzyskałem informację, że są tam akta, w których znaleziono listę klasową z następującym wpisem: „Georg Pawlak, geb. 19.7.1928, Geburtsort Ponschau, Religion rk. In der Schule seit 1.5.1941, Schulgeld: Einheim. Vater Buchhalter, Stralsund, Wohnung des Schuelers: Johanniskloster”. Niestety nie znaleziono w archiwum akt dotyczących przyznawania medalu Johana Davida von Reichenbacha. Zachował się więc chociaż dowód, że byłem uczniem tego gimnazjum.

Natomiast historia ufundowania medalu Reichenbacha jest bardzo ciekawa. Został ufundowany zapisem testamentowym przez pochodzącego ze szwedzkiego stanu rycerskiego szwedzkiego królewskiego radcę

kameralnego (*Kammerrath*) i zamkowego kasztelana (*Schlosshauptmann*) Johanna Davida von Reichenbacha, zmarłego w roku 1807, i jego żony Ewy z domu Mertens, zmarłej w 1811 r. Zapis testamentowy z roku 1807 w moim tłumaczeniu brzmi tak: „*Jako że nieskromność oraz upadek obyczajów zataczają coraz szersze kręgi i stają się coraz bardziej widoczne, aby ich dalszy rozwój powstrzymać oraz aby wychować młodzież pilną w nauce i obyczajności, a który to cel najlepiej wydaje się osiągnąć przez dobre przykłady i zachęty, to ja i moja małżonka wolą jest, aby z naszej masy spadkowej wydzielić kapitał w wysokości pięćset talarów wg. kursu pomorskiego (Pommersch Courant), pewnie go ulokować, z którego odsetki roczne przeznaczyć na wydanie medali z ca 2 Loth (jednostka wagi) najlepszego srebra i w czasie po odbyciu publicznych egzaminów przeznaczyć dla dwóch uczniów każdej klasy, którzy wyróżnili się wybitnymi wynikami w pilności, dobrym zachowaniu, albo w językach, rysunkach, muzyce etc. Medale te byłyby wręczane w obecności pana scholarza, kolegów szkolnych oraz informatorów*”.

Medal von Reichenbacha jest opisany w niemieckiej literaturze historycznej. Zarówno z uwagi na fundatora, jak i na fakt jego ustanowienia znaleźć w niej można również opis wykonawcy medalu. W pierwszej edycji twórcą medalu był medalier Maurit Frumerie z królewskiej medalierii ze Sztokholmu. Natomiast twórcą drugiej edycji, tej bardziej znanej, była medalieria G. Loos z Berlina, a autorem medalu był Ludwig Held.

Do roku 1815 Stralsund wraz z całą prowincją „Szwedzkie Pomorze” należał do królestwa Szwecji, a od tego roku przeszedł do Prus. Muzeum Historyczne w Stralsundzie przysłało mi kopie artykułów, jakie ukazały się tak w prasie naukowej, jak i w publicystyce na temat medalu Reichenbacha (np. *Stralsunder Zeitung Sonntagsbeilage* z 3 i 9 06 1923, *Zeitschrift „Pommern”* z r. 1973, *Norddeutsche Neuste Nachrichten* nr 8 z 9.01.1983). W artykułach tych podane są niektóre nazwiska uczniów, którzy medal otrzymali. Nadawanie medalu do roku 1924 jest, wg. notatki prasowej, udokumentowane. Później brak dokumentacji. W każdym razie, wg. mojej wiedzy, jestem ostatnim laureatem medalu Reichenbacha.

Ta korespondencja z archiwum miejskim w Stralsundzie miała jeszcze jeden dodatkowy efekt. W maju 2012 r. dostałem przesyłkę z

Niemiec od nieznannej mi pani doktor Petry Clemens, która przysłała mi pracę pt. „*Miejsca pracy przymusowej Polaków w Stralsundzie (1939-1945)*”. Praca wydana w języku polskim przez PRORA-ZENTRUM e.V. stanowi realizację polsko-niemieckiego projektu badań Prora-Zentrum i Museum w Stargardzie z roku 2011. Przesyłka mnie wielce zdumiała, gdyż ani nie znałem autorki opracowania, ani nie wiedziałem skąd dowiedziała się o moim istnieniu i skąd znała mój adres.

Wywiązała się między nami korespondencja, z której dowiedziałem się, że informacje o mnie powzięła z mojej korespondencji z archiwum miejskim w Stralsundzie. W jednym z następnych listów pani doktor poinformowała mnie, że w toku badań nad pracą przymusową Polaków na terenie Stralsundu napotkała akta policyjne moich rodziców z tego okresu i na moją prośbę przysłała mi odpisy z tych akt. Wśród nich na szczególną wzmiankę zasługuje opinia o moim ojcu, wystawiona przez władze partyjne NSDAP z Gau Danzig-Westpreussen. Z panią doktor Clemens spotkałem się w październiku 2013, kiedy z moim wnukiem Kubą odwiedzałem kolejny raz Stralsund.

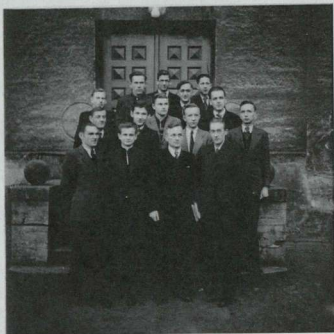
Gniezno 1945-1947

Zaraz po wojnie trafiłem do Gniezna. Wuj, Stanisław Kowalkowski, namówił mnie, bym nie marnował czasu i zgłosił się do gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, do którego uczęszczał też mój ojciec. Zdecydowałem się posłuchać tej rady. Ale powstał problem, do której klasy powinienem się zgłosić. Polski przedwojenny system szkolny przewidywał cztery klasy gimnazjum i dwie klasy liceum, ale po szóstej klasie szkoły powszechnej. Tymczasem ja ukończyłem prawie cztery klasy gimnazjum niemieckiego po czwartej klasie szkoły powszechnej. Po treści przedwojennych podręczników szkolnych zorientowałem się jaki program nauczania mam za sobą i zdecydowałem się zgłosić do trzeciej klasy gimnazjum. Kierowałem się głównie poziomem z matematyki i łaciny.

Żeby dostać się do tej trzeciej klasy musiałem zdać egzamin na poziomie ukończonej drugiej klasy gimnazjum przedwojennego. Z matematyki i łaciny, w których byłem dobry, zdałem bez problemu. Jako język obcy wybrałem niemiecki, który dla mnie nie był problemem. Z pozostałych przedmiotów potraktowano mnie ulgowo. Największy problem był z językiem polskim. Po polsku wprawdzie mówiłem i pisałem, ale z teorią był problem. Nie znałem zasad gramatyki i lektur szkolnych. Wprawdzie rodzina przysyłała nam do Niemiec książki (np. Sienkiewicza), ale nie znałem ani Mickiewicza, ani Słowackiego, czy Prusa i Reymonta. Profesor Gliszczyński, który mnie egzaminował, potraktował mnie wyraźnie ulgowo i egzamin wstępny zdałem i stałem się uczniem 3-ciej klasy gimnazjalnej.

W mojej klasie było około 30 uczniów. Ja należałem do najmłodszych. W Wielkopolsce w czasie okupacji dla Polaków nie było szkół średnich. Zostały przez Niemców zlikwidowane, a profesorowie, jeżeli nie zostali aresztowani, to w większości zostali wywiezieni do gubernatorstwa (General Gouvernement). Do trzeciej klasy gimnazjum zgłosili się więc uczniowie przedwojennej drugiej klasy. Wszyscy byli z rocznika 1925, albo 1924. Doszłusowali do nich tacy jak ja oraz ci, którzy byli w czasie wojny w gubernatorstwie, gdzie mieli możliwość tajnego nauczania, tj. uczęszczania, jak to się wtedy mówiło, na tajne komplety, jakich w Wielkopolsce w czasie wojny nie było.

W Gnieźnie ukończyłem w trybie przyspieszonym trzecią i czwartą klasę gimnazjum oraz pierwszą i drugą klasę liceum. Tam też zdałem w lutym 1947 maturę.



*Moja klasa w liceum im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie.
Ja, drugi od lewej. Zdjęcie z roku 1946.*

Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie należy do jednej ze starszych szkół średnich w Polsce i zaliczało się wówczas, jak dzisiaj, do szkół o uznanej renomie. Powstało w roku 1863. Wielkopolska należała wówczas do Prus. Do powstania wielkopolskiego szkoła funkcjonowała jako gimnazjum klasyczne i nazywała się „*Kaiser Wilhelm Schule*”. Bolesław Chrobry został patronem szkoły dopiero po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie światowej. Czas, jaki tam spędziłem wspominam z dużą sympatią.

Po wojnie naukę wznowiono prawie w składzie przedwojennego stanu kadry nauczycielskiej i uczniów. Kadra była wysokiej klasy. Do dzisiaj pamiętam polonistów: prof. Błazaka nazywanego przez uczniów

„Bomba”, prof. Gliszczyńskiego i prof. Stanisława Gawrycha. Wiele im zawdzięczam. Świetny był historyk, prof. Witkiewicz, którego kompetencje były na poziomie szkoły wyższej. To on zaszczerpił mi zainteresowanie historią, które towarzyszy mi do dziś. Dyrektorem był łacinnik, prof. Sosna, który zastąpił zmarłego w czasie wojny prof. Birkfelnera.



Gniezno. Zdjęcie maturalne z roku 1947.

Łaciny uczył też prof. Pietrzak. Przypomina mi się taki incydent. Jak wspomniałem, większość klasy stanowili uczniowie 2-giej klasy z roku 1939. Zнали się doskonale i pamiętali kto z nich był dobry z poszczególnych przedmiotów. Z łaciny prymusem był kol. Gadziński. Po pierwszej klasówce z łaciny prof. Pietrzak, który w Gnieźnie był osobą nową, wszedł do klasy i scharakteryzował ogólny poziom klasówki i na koniec oznajmił, że jest tylko jedna piątka (wówczas najwyższy stopień). Na to klasa: „na pewno Gadziński”. Ale profesor oświadczył, że nie, bo piątkę otrzymał Pawlak. Klasa zdziwiła się, bo mnie nie znali. A wszystko stąd, że dobrze łaciny mnie uczył prof. May ze Stralsundu. U prof.

Pietrzaka zawsze miałem dobrą opinię i jemu też zawdzięczam korepetycje z łaciny.

Z innych profesorów pamiętam prof. Roehra z matematyki, prof. Neumanna z fizyki oraz prof. Andersa i prof. Stasiakową z niemieckiego. Z tego przedmiotu byłem niepokonanym prymusem. Dość powiedzieć, że pracę maturalną z niemieckiego napisałem dla siebie (coś o Wilhelmie Tellu) oraz na zupełnie inny temat dla mojego przyjaciela Bogusia Cieślewicza (późniejszy dyrektor inwestycji hotelowych Orbisu, zmarł w roku 2000).

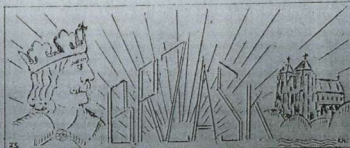
Znajomość niemieckiego ułatwiała mi życie, gdyż z tego przedmiotu nie musiałem odrabiać lekcji. Ale kiedyś się na tym zawiodłem. Prof. Anders miał zwyczaj zadawania, jako zadań domowych, pisanie wypracowań w języku niemieckim. Ja tych wypracowań domowych z zasady nie pisałem. Ale pewnego dnia to mnie wywołał profesor do odczytania wypracowania domowego. Niewiele myśląc wziąłem zeszyt do ręki i udając czytanie wymyśliłem tekst wypracowania. Po tym występie profesor stwierdził: „*No Pawlak, ja wiem, że ty znasz niemiecki, ale jeżeli myślisz, że ja dałem się nabrać twoim występem, to się mylisz*”. Oprócz ujemnej noty za nieodrobienie lekcji, musiałem się nauczyć na pamięć ballady Schillera „*Die Buergschaft*”, którą we fragmentach do dzisiaj pamiętam.

Do moich najbliższych kolegów należeli: Boguś Woźny, Henryk Neldner, Zdzisław Pawlus, Boguś Cieślewicz, Bohdan Łukaszewski, bracia Krzyślakowie, Zbyszek Muszyński i Lech Panert.

Ciekawe były zajęcia pozalekcyjne. Funkcjonował bardzo aktywny samorząd uczniowski. Co roku odbywał się Sejm Walny, na którym m.in. wybierano Radę Referentów. W jej skład wchodził referenci finansów, nauki, inspekcji, obchodów i uroczystości oraz dekoracji i upiększania szkoły.

Przez dwie kadencje byłem referentem ds. nauki. Należała do mnie organizacja i nadzór nad kołami naukowymi, biblioteką oraz świetlicą dla dojeżdżających. Koła naukowe przejawiały dużą aktywność. Z moim udziałem zorganizowaliśmy kółko dramatyczne im. Ludwika Solskiego, w którym zostałem wybrany na wiceprezesa. Prezesem został kol. Margowski. Pamiętam, że na zebraniu inauguracyjnym wygłaszałem referat „*Teatr grecki*”. Pierwszą sztukę, którą nasze kółko odegrało był „*Powrót*

posła" Kochanowskiego. Opiekunem koła był profesor Gliszczyński. Pamiętam też, że jako zarząd wybraliśmy się do teatru w Poznaniu na spektakl, w którym brał udział Ludwik Solski. Mielśmy wówczas po przedstawieniu spotkanie z Solskim, który był już bardzo leciwym człowiekiem.



Organ Samorządowy Młodzieży
Liceum i Gimn. im. Bol. Chrobrego w Gnieźnie

r. 2 "Gazetnik" - Gnieźno, 1946 Rok wyd. III

Hogdan Łukaszewski
Kl. IV.

Chrobry i Mickiewicz na straży potęgi Polski mocarstwowej.

Każdo który naród na świecie ma tak uzasadnione prawa do posiadania swych obszarów jak my Polacy do ziem pomorsko-bałtyckich, które w tak szerokich granicach za Piastów mieliśmy w swej własności, a które z czasem nam wrabowano. Jak długo istnieć będzie sprawiedliwość na świecie, tak długo my Polacy staraliśmy się o zwrot posiadanych dawniej ziem. Staraliśmy się o to wszystkimi możliwymi sposobami, inaczej groziłaby nam zguba jak Fenicjanom, po których tylko została wieść - podanie. To też jako najsilniejszy zew - pobudka do czynu przejawia się w historii naszego narodu, i to poprzez całe 10 wieków, walka o posiadanie Bałtyku i ziem pomorskich.

Walczy o nie Chrobry, patron naszej uczelni, walczy Mickiewicz, - patron naszego Koła Polonistycznego, postać, która chlubnie zdobi z emblematem Orła białego nasz samorządowy sztandar gimnazjalny.

Strona tytułowa pisma BRZASK, 1946.

Największym powodzeniem cieszyło się kółko polonistyczne, działające pod opieką profesora Błażaka. Kółko to organizowało w każdą niedzielę spotkania po mszy uczniowskiej, na których były wygłaszane referaty na temat współczesnych książek oraz aktualności z prasy literackiej. Często były omawiane artykuły tygodnika „*Kuźnica*” (z reguły krytycznie), który to tygodnik był wówczas czołowym periodykiem komunistycznym, kierowanym przez Stefana Żółkiewskiego (w późniejszych latach PRL rewizjonisty i dysydenta).

Samorząd uczniowski wydawał kwartalnik o nazwie „*Brzask*”. W skład zespołu redakcyjnego wchodził: Jarosław Zieleziński (redaktor naczelny), Zbigniew Gatniejewski, Karol Margowski, Bohdan Łukaszewski i Czesław Ober. W roku 1946 „*Brzask*” przekształcił się w organ samorządowy młodzieży Liceum i Gimnazjum Męskiego i Żeńskiego w Gnieźnie.

Do dzisiaj mam komplet „*Brzasku*” z lat 1945-46. Autorami artykułów i wierszy byli uczniowie. Jak się czyta te numery, to widać, że okres PRL miał różne etapy. Etap pierwszy od 1945 do 1948 był wyraźnie inny. W każdym razie był inny w Wielkopolsce. Nauczyciele byli przedwojenni, uczniowie przedwojenni, podręczniki przedwojenne, była w niedzielę msza, a atmosfera w szkole była przedwojenna. To przebiega z tekstów pisanych przecież przez uczniów w „*Brzasku*”. Np. w numerze 1-szym z roku 1946 jest informacja o działalności organizacji szkolnych: Sodalicii Mariańskiej, Koła PCK, Koła Ligi Morskiej, Drużyny Żeglarskiej, Klubu Sportowego, Sekcji Jeździeckiej, Koła Polonistycznego, Kółka Dramatycznego, Koła Fizykalno-Chemicznego. I tyle. Żadnego ZWM, żadnego OMTUR.

W okresie 1945-1947 nie miałem pojęcia o marksizmie. Wszyscy w szkole byli nastawieni antyreżymowo. Funkcjonowały jeszcze dwie partie: PPR i PPS, do których byliśmy nastawieni wrogo, nie ukrywając tego. Głównym bohaterem negatywnym był 1-szy sekretarz PPR Władysław Gomułka. Pozytywnym bohaterem politycznym był premier rządu na obczyźnie, Stanisław Mikołajczyk, późniejszy wicepremier w rządzie Cyrankiewicza (uciekł w roku 1948 z kraju z obawy przed aresztowaniem). Czasami w dyskusjach odzywał się jeden głos broniący niektórych pociągnięć rządowych. Należał on do ucznia nazwiskiem Kaczor, którego ojciec był dyrektorem kopalni soli w Wapnie. Tylko jeden na-

uczyciel, prof. Strzałkowski, geograf miał poglądy lewicujące, chociaż bynajmniej nie komunistyczne. Nie mieliśmy też żadnego przedmiotu z zakresu marksizmu, czy nauki o Polsce współczesnej. Była tylko prope-deutika filozofii, wg programu i podręcznika przedwojennego. Piszę o tym, bo z perspektywy dzisiejszej, kiedy mamy za sobą doświadczenie PRL, wydaje się to wprost nieprawdopodobne. Egzamin maturalny zda-łem w roku 1947. Z wyróżnieniem, co odnotowała miejscowa prasa.

ROZDZIAŁ III

STUDIA

**Wyższa Szkoła Handlu Morskiego
Sopot, 1948-1952**

Po zdaniu matury miałem zamiar podjęcia studiów. Interesowały mnie nauki społeczne. Rozważałem zapisanie się na prawo lub na ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. Maturę zdałem w okresie nietypowym, bo w lutym. Najpierw podjąłem próbę dostania się na studia jeszcze w roku akademickim 1946/1947. Niestety, ten zamiysł nie udał się ani w Poznaniu, ani w Toruniu. W tej sytuacji podjąłem pracę z myślą rozpoczęcia studiów w roku akademickim 1947/1948.

W lipcu 1947 przenieśliśmy się z rodzicami do Gdańska. Zaczęłem rozważać studia w Gdańsku. Niestety, w Gdańsku nie było wtedy uniwersytetu. Z dziedzin mnie interesujących były w Trójmieście dwie uczelnie: Wyższa Szkoła Handlu Morskiego w Sopocie i oddział warszawskiej prywatnej Akademii Nauk Politycznych. Zapisałem się do tej drugiej uczelni, co okazało się błędem, bo we wrześniu ta prywatna uczelnia została zlikwidowana. Powinienem być przewidzieć, że w socjalizmie prywatna uczelnia nauk politycznych nie mogła istnieć. Ale to nie były jeszcze czasy stalinowskie. Mój brak przewidywania usprawiedliwia brak doświadczenia politycznego i naiwność. Wtedy likwidacja uczelni wydawała mi się niefortunna, ale z czasem musiałem uznać, że był to fakt dla mnie szczęśliwy. Dzięki temu zostałem wprowadznie na łodzie, bo zapisy do innych uczelni były już zakończone, ale uniknąłem studiów, które byłyby dla mnie, biorąc pod uwagę późniejsze realia ustrojowe, zdecydowanie nieefektywne.

Pozostało mi czekać do następnego roku akademickiego. Roczna przerwa w nauce zmobilizowała mnie do solidnego przygotowania się do egzaminu wstępnego w roku akademickim 1948/1949. Postanowiłem przystąpić do egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie. Była to nowa uczelnia, utworzona w roku 1945, z ambicjami edukowania specjalistów w dziedzinie handlu morskiego, którzy w

Było około 10 kandydatów na jedno miejsce. Egzamin wstępny nie był łatwy i preferował chętnych ze znajomością języków obcych, wówczas głównie angielskiego i niemieckiego. Najtrudniejszy, bo bardzo szczegółowy, był egzamin z historii i gospodarki morskiej. W roku akademickim 1948/1949 dołożono nowy przedmiot, a mianowicie egzamin z historii ruchu robotniczego. Egzaminy zdałem i zostałem studentem 1-go roku tej uczelni.

Niestety, rok 1948 był pierwszym rokiem stalinizmu na polskich uczelniach. Na WSHM usunięto jej twórcę, prof. Kowalenkę. Nie tylko przestał być rektorem, ale został całkowicie usunięty z uczelni i z Wybrzeża. To samo spotkało przedwojennego wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Mój rocznik miał okazję wysłuchać jeszcze jego ostatniego wykładu. Zmieniono także nazwę uczelni na Wyższą Szkołę Ekonomiczną (WSE). Na rektora powołano prof. Bolesława Kasprowicza – kierownika katedry ekonomiki portów – osobę wprawdzie bezpartyjną, ale bezkonfliktową politycznie. Rządzić na uczelni zaczęły komitety uczelniane PPR i jego organizacja młodzieżowa, Związek Młodzieży Polskiej. Szarą eminencją był sekretarz PPR, Romuald Dobrzyński. Później dowiedziałem się, że ten czołowy stalinowiec był przed wojną członkiem piłsudczykowskiej szkoły kadetów we Lwowie. Zaczęto werbować do ZWM, zaczęły się zebrania z tzw. samokrytyką. Były przykłady wyrzekania się rodziców ze względów politycznych, donosy itp. Zdarzały się procesy sądowe za opowiadanie kawałów o Stalinie, które kończyły się wyrokami skazującymi.

Większość studentów zapisywała się ze względów koniunkturalnych do ZMP (należałem do rzadkich wyjątków, tych, którzy się nie zapisali). Wprowadzono zwyczaj organizowania „konferencji partyjno-naukowych”, na których autentyczna dyskusja naukowa nie była możliwa. Sprowadzała się ona do wychwalania „przodującego” ustroju politycznego i krytyki „zgniłego imperializmu”.

Studia obejmowały, oprócz przedmiotów ogólnoeconomicznych, jak ekonomia polityczna, statystyka, towaroznawstwo, finanse i rachunkowość, geografia gospodarcza świata i polski, historia gospodarcza świata i prawo gospodarcze, takie przedmioty specjalistyczne, jak ekonomika portów morskich, ekonomika żeglugi morskiej, technika handlu morskiego, ekonomika rybołówstwa morskiego oraz prawo morskie.

Wykładowcami nie byli naukowcy z tytułami profesorskimi, chociaż my ich tak tytułowaliśmy, lecz długoletni praktycy z tytułami doktorskimi i to często osobistości wybitne.

Na przykład historię gospodarczą świata wykladał przedwojenny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, który piastował wówczas funkcję Pełnomocnika Rządu ds. Wybrzeża. Wykłady te cieszyły się dużym zainteresowaniem. Odbывały się w auli, która wówczas była przepełniona. Ekonomikę żeglugi i technikę handlu morskiego wykładali prof. Ocioszyński i prof. Darski, wybitni znawcy tej problematyki (obaj byli po w roku 1956 ministrami żeglugi). Ekonomikę portów morskich wykladał prof. Kasprówicz, który w okresie przedwojennym pracował w Radzie Portu Gdańskiego. Geografię gospodarczą wykladał prof. Moniak, ekonomikę transportu późniejszy profesor Politechniki Szczecińskiej, prof. Małek. Rachunkowości uczyli nas prof. Krzyżaniak i prof. Nowaczyk, statystyki prof. Polkowski, prawa cywilnego sędzia Piekarski, a prawa morskiego prof. Sowiński.

W roku akademickim 1948/1949 wprowadzono istotne innowacje w programie nauczania: po raz pierwszy zaczęto wykładać ekonomię marksistowską oraz pseudonaukowy przedmiot: marksizm-leninizm. Ekonomię polityczną marksistowską wykladał prof. Michniewicz, który nie był nawet z wykształcenia ekonomistą. Był to po prostu wileński adwokat, który zetknął się z ideologią marksistowską w czasie okupacji Wilna. Materiały naukowe do tego przedmiotu w języku polskim stanowiła książka Schaffa i Bruna „*Wstęp do teorii marksizmu*” oraz broszurki partyjno- propagandowe, tłumaczone z języka rosyjskiego. Był to dla mnie przedmiot zupełnie nowy, bo o marksizmie i leninizmie w liceum prawie nie słyszałem.

Zapisałem się na seminarium z ekonomiki portów morskich, a moja pierwsza praca seminaryjna miała tytuł „*Polskie porty morskie i ich kierunki rozwojowe*”. Zapisałem się też na seminarium prowadzone przez prof. Michniewicza z ekonomii politycznej, już marksistowskiej. Z tego seminarium najbardziej pamiętam polemiki profesora i koleżanki z roku, Ireny Tatomir (później z męża Majewskiej) z profesorem, który te polemiki określał żartobliwie „*opozycją jej królewskiej mości*”. Wykłady z marksizmu-leninizmu prowadził student ostatniego roku, Władysław Ładyka. Lepszego wykładowcy trudno było zapewne znaleźć.

Marksizm-leninizm wspominam szczególnie dlatego, że egzamin z tego przedmiotu oblałem, a był to jedyny egzamin, który w życiu oblałem. Na podkreślenie zasługuje jednak fakt, że moja odpowiedź na pytanie egzaminacyjne nie była nieprawidłowa, to wykładowca popełnił kardynalny błąd doktrynalny traktując moją odpowiedź jako błędną. Pytanie bowiem brzmiało: „dlaczego w Polsce po drugiej wojnie światowej zwyciężyła rewolucja socjalistyczna?”. W odpowiedzi powiedziałem wszystko, co na ten temat należało powiedzieć, a egzaminator pytał dalej „co jeszcze?”. Kiedy już wydawało mi się, że więcej na ten temat nie da się powiedzieć egzaminator z oburzeniem stwierdził: „Skoro wy nie wiecie, że dlatego, iż w Polsce były wojska radzieckie, to ja wam nie mogę dać pozytywnej oceny”. I dostałem jedyną w mojej karierze studenckiej dwójkę. Egzaminator miał, obiektywnie rzecz biorąc, rację. Dla mnie to też było oczywiste. Ale zgodnie z podstawowymi kanonami marksizmu, z rewolucją mamy do czynienia, jeżeli wywołały ją siły wewnętrzne. Działania sił zewnętrznych, to nie rewolucja. Odpowiadając nie chciałem popełnić błędu politycznego, ale o dziwo popełnił go egzaminator.

Na marginesie dodaję, że z mojego rocznika pochodziła w przyszłości znaczna część kadry naukowej uczelni. Byli to m.in. prof. Leszek Bednarski - dyrektor instytutu finansów, prof. prof. Jan Majewski i Lucjan Hofmann z katedry ekonomiki transportu, prof. Mirosław Krzysztofak ze statystyki, prof. Tadeusz Łodykowski z ekonomiki żeglugi.

Mój entuzjazm do studiów systematycznie malał. Rok 1948 to początek stalinizmu w Polsce. Był to rok zjednoczenia Polskiej Partii Robotniczej (PPR) i Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) w Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą (PZPR), z wyraźnym przechyłem w kierunku ideologii komunistycznej. W całym kraju następowała radykalizacja: usuwano z PPS osoby o nastawieniu pepesowskim; w zarządzie PPR przeważały osoby o poglądach zdecydowanie komunistycznych, wręcz stalinowskich.

Skutki tego były widoczne na uczelni. Usunięto rektora i twórcę uczelni, prof. Kowalenkę. Usunięto z grona wykładowców byłego wicepremiera Kwiatkowskiego. Wprowadzono nowe przedmioty: wspomniany wyżej marksizm-leninizm, marksistowską ekonomię polityczną, ekonomię polityczną socjalizmu. Na uczelni szarogęsili się działacze pepesowscy, jak np. Romuald Dobrzyński, sekretarz uczelniany PPR. Zaczęto

praktycznie przymusowy werbunek do komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Zdarzały się donosy.

Większość studentów zapisywała się ze względów koniunkturalnych do ZMP. Na palcach można było policzyć tych, którzy do organizacji młodzieżowej nie należeli. Atmosfera na uczelni gęstniała. Wprowadzono dyscyplinę studiów. Organizowano konferencje partyjno-naukowe z obowiązkowym uczestnictwem. Na jednej z nich wystąpił prof. Michniewicz i kiedy jakiś student krytycznie odniósł się do niektórych praktyk gospodarczych, oświadczył (dosłownie): „*zabraniam krytykowania decyzji partii*”. Dwóch studentów (maklerów okrętowych) z mojego roku wyrzucono z uczelni z wilczym biletem za krytyczne wypowiedzi o systemie politycznym wobec kapitana jednego ze statków, który doniósł o tym władzom partyjnym..

Wszystko to sprawiało, że studia stały się nieprzyjemne i uciążliwe. Do tego dochodziła ogólna przygnębiająca atmosfera polityczna w kraju, trudna sytuacja gospodarcza. Wątpliwości dotyczyły również perspektyw pracy w gospodarce morskiej, która wbrew pierwotnym założeniom nie wykazywała szczególnego rozwoju, a władze obsadzały placówki zagraniczne osobami politycznie pewnymi.

W tej sytuacji postanowiłem, wbrew pierwotnym zamiarom, przejść z kierunków morskich na kierunki finansowe. Dlatego pracę dyplomową i egzaminy składałem z finansów, z których też uzyskałem dyplom ukończenia studiów. Po ich ukończeniu czułem się jednak niedouczony i zawiedziony. Bardzo źle wspominam polityczną atmosferę wówczas panującą. Nie była to atmosfera naukowa, a polityczno-partyjna. Po drugie, rozczarował mnie poziom naukowy uczelni i części wykładowców, z których żaden nie miał tytułu profesora. Habilitację i tytuły naukowe zdobywali dopiero po latach.

Ale spotkałem na uczelni wielu kolegów i przyjaciół, z którymi spotkałem się i utrzymywałem kontakty w późniejszej pracy, a z niektórymi do dziś. Janek Waseńczuk zrobił karierę w bankowości – doszedł do stanowiska wiceprezesa Narodowego Banku Polskiego i następnie wiceprezesa Banku RWPG w Moskwie. Współpracowaliśmy wiele lat w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym. Janek był prezesem zarządu wojewódzkiego, a ja skarbnikiem zarządu. W jednym czasie przenieśliśmy się do Warszawy, a kontakt urwał się z nagłą śmiercią Janka w Moskwie.

Z Andrzejem Radzikowskim współpracowaliśmy najpierw w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego w Gdańsku, w którym Andrzej był szefem finansów i rachunkowości, a ja jego zastępcą. Razem przeszliśmy do branży geologicznej, wchodząc w skład zarządu nowego przedsiębiorstwa geologicznego w Gdańsku.

Potem spotkaliśmy się już w Warszawie i działaliśmy wspólnie w różnych spółkach z kapitałem zagranicznym. Teraz spotykamy się już jako emeryci na przyjęciach imieninowych i urodzinowych wraz z naszymi wnukami i prawnukami. Z Ireną Tatomir (Majewską) pracowaliśmy w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym w Gdańsku, gdzie była szefem działu planowania. Obecnie spotykamy się z nią i jej mężem, też kolegą z roku, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego, Jankiem Majewskim, przy moich pobytach w Gdańsku. Leszek Bednarski był dyrektorem Instytutu Finansów na uczelni. Współpracowałem z nim wykładając Finanse na dwóch wydziałach Uniwersytetu do czasu przeniesienia się do Warszawy. Leszek zmarł kilka lat temu.

Wyższa Szkoła Handlu Morskiego po przekształceniu w Wyższą Szkołę Ekonomiczną w następnych latach weszła w skład utworzonego w Gdańsku Uniwersytetu Gdańskiego.

Uniwersytet Warszawski - Wydział Prawa

Prawo studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1952-1957. Mimo, że zacząłem te studia w okresie najgorszego stalinizmu, to w porównaniu z WSE czułem tu diametralnie inną atmosferę naukową. Owszem, stalinizm odczuwało się na każdym kroku, ale chyba na skutek wpływu znanych naukowców przedwojennych studia odbierałem jako bardziej poważne.

Działali tam przedwojenni profesorowie: Herbst, Kula, Gieysztor na wydziale historii, prof. Oskar Lange, Ingarden na wydziale ekonomii. Na wydziale prawa wykładali: prof. Koranyi - historię państwa i prawa, prof. Sawicki - historię polskiego państwa i prawa, prof. Czachórski i prof. Warkało - prawo cywilne, prof. Kurowski - prawo finansowe, prof. Stelmachowski (późniejszy marszałek senatu) - prawo rolne, prof. Gintowt - prawo rzymskie, prof. Resich - procedurę cywilną. Ale były też przykłady negatywne. Np. prawo karne wykładał prof. Igor Andrejew, miły i sympatyczny, lubiany przez studentów, który, jak się później okazało, był wcześniej sędzią Najwyższego Sądu Wojskowego, który skazał na karę śmierci generała Fieldorfa (Nila), szefa dywersji Armii Krajowej (Kedyw) za rzekomą współpracę z Niemcami. Co więcej, prośbę żony generała o ulaskawienie zaopiniował negatywnie. Był prof. Bialer, który aktywnie demonstrował swoje marksistowskie poglądy, a później wyjechał do Izraela i tam objawił się jako aktywny antykomunista.

Studia prawnicze sprawiły mi ogromną satysfakcję. Atmosfera była bardziej naukowa niż w Sopocie. Tym niemniej, wpływ stalinizmu był widoczny przede wszystkim w upokarzającym serwilizmie, wyrażającym się w cytalogii wypowiedzi wielkiego wodza Stalina. Krótko przed śmiercią Stalin napisał (o ile to zrobił sam) pracę na temat językoznawstwa. Natychmiast zaczęły się ukazywać w czasopiśmie naukowych artykuły na temat „olbrzymiego” znaczenia tej pracy dla rozwoju nauki światowej i jej poszczególnych dziedzin. Rozprawy takie pisywali nie tylko naukowcy określający siebie jako marksistowscy, ale również wybitni w swoich dziedzinach profesorowie, traktujący te rozprawy jako daninę na rzecz reżimu. Taką rozprawę napisał też wybitny polski ekonomista Oskar Lange w czołowym ekonomicznym piśmie naukowym „*Ekonomista*”. Kuriozalnym przykładem takiej proreżimowej cytalogii

może być skrypt dr Klimaszewskiego z prawa państwowego, napisanego bezpośrednio po śmierci Stalina, kiedy sekretarzem generalnym KPZR został Malenkow. Autor cytatu postanowił na wszelki wypadek uczcić i zmarłego wodza, i jego następcę w jednym cytacie: „*Towarzysz Malenkow zacytował następujące słowa towarzysza Stalina*”...

Studia przeszły mi gładko. Nie oblałem ani jednego egzaminu, chociaż niewiele brakowało bym oblał z prawa rzymskiego, który to przedmiot bardzo lubiłem. Ten egzamin pamiętam świetnie, ponieważ był najdłuższy ze wszystkich, które kiedykolwiek zdawałem. Trzeba jeszcze dodać, że egzamin z prawa rzymskiego uchodzi za jeden z najtrudniejszych. Ja studiowałem prawo rzymskie z przyjemnością. Zgłosiłem się na egzamin przed terminem, by najtrudniejszy egzamin mieć z głowy. Byłem jedynym studentem, który zgłosił się przed terminem, co z satysfakcją skonstatował egzaminator, prof. Gintowt.

Profesor przeglądając mój indeks, zaczął kojarzyć moje nazwisko z pisemną pracą seminaryjną, którą napisałem kilka miesięcy wcześniej. W pracy tej, którą profesor wygrzebał z biurka, poczyniłem, jego zdaniem bezpodstawne uwagi krytyczne do skryptu jego autorstwa. Z dużym zdenerwowaniem zaczął mi wypominać moje krytyczne uwagi. Profesor, który w tym czasie był już stosunkowo wiekowy, podniecił się i mówił do mnie podniesionym głosem. Ja się zdenerwowałem, bo sądziłem, że egzamin mam z głowy. Wszedłem więc profesorowi w słowo i też podniesionym głosem, mówiąc: „*A skąd ja mogłem wiedzieć, że pan profesor jest autorem skryptu, skoro nie podano nazwiska jego autora?*”. Ten argument, wypowiedziany podniesionym głosem, spowodował ustanie tyrady profesora, który już spokojnie stwierdził: „*Ale jest pan cwany, no dobrze, ale przekonajmy się, czy ja z panem mogę w ogóle na ten temat dyskutować*”. I zaczął się egzamin, który objął całą problematykę przedmiotu. Po godzinie (!) profesor stwierdził: „*No, trochę pan się orientuje; mogę panu postawić czwórkę, chyba że jest pan z takiej oceny niezadowolony. Wówczas musiałbym pana jeszcze dalej pytać*.” To ja na to, że owszem nie jestem zadowolony. Po następnej pół godzinie postawił mi piątkę. Z gabinetu wyszedłem mokry.

Szczególnie interesowała mnie problematyka prawa cywilnego, w tym prawa gospodarczego. Prawo to wykładali wówczas prof. prof. Cza-chórski, Warkało i Wasilkowski. Moim guru był prof. Witold Warkało,

który był wybitnym znawcą problematyki prawa odszkodowawczego, a zwłaszcza prawa ubezpieczeniowego. U niego pisałem pracę magisterską i pod jego kierunkiem wszcząłem przewód doktorski. Przedmiotem mojej dysertacji doktorskiej była cywilistyczna problematyka prawna prac geologicznych. Ta problematyka interesowała mnie w szczególności dlatego, że w tej branży, stosunkowo nowej w polskiej praktyce gospodarczej, pracowałem od roku 1953. Ale również dlatego, że problematyka ta była w Polsce stosunkowo nowa i prawie poza mną nie uprawiana. Jedyne artykuły i glosy w prasie prawniczej i gospodarczej z tej dziedziny były mojego autorstwa.



pieczęć

[Signature]
Własnoręczny podpis

Sw-40 CoCWD. Wydawnictwo, Warszawskiego 12 - 80170
Grzegorz, 1223-1.2.30-807-1229-47.400-płom. 8-0 120 g-2.34

UNIwersytet warszawski

DYPLOM

Nr 143

Ob. Pawlak Jerzy
urodzony dnia 19 lipca 1928 r.
w Pączewie pow. Starogard

po odbyciu studiów wyższych
w latach 1951/53 - 1956/57
specjalizując się w zakresie

prawa cywilnego

otrzymał w dniu 19 grudnia 1957 r.

DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

stopnię

na Wydziale Prawa

UNIwersytetu warszawskiego

uzyskał tytuł magistra prawa

[Signature]
REKTOR

pieczęć

[Signature]
PRO REKTOR

Warszawa, dnia 21 marca 1958 r.

Dyplom ukończenia studiów prawnych, Warszawa, 1957.

Na bazie moich studiów doktoranckich i pracy doktorskiej ukazała się w roku 1973 książka „Prace geologiczne. Zagadnienia prawno-

ekonomiczne”. Byłem też autorem kilku glos do wyroków Głównej Komisji Arbitrażowej oraz artykułów w prasie prawniczej i gospodarczej.

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

UNIwersytet warszawski

Wydział Prawa i Administracji

DYPLOM

OBYWATEL Jerzy Pawlak
 URODZONY DNIA 19 lipca 19 28 ROKU
 W miejsowości Pączew, pow. Starogard
 NA PODSTAWIE PRZEDŁOŻONEJ ROZPRAWY DOKTORSKIEJ POD TYTUŁEM
„Umowa o prace geologiczne”

ORAZ PO ZŁOŻENIU PRZEPISANYCH EGZAMINÓW UZYSKAŁ STOPIEŃ
 NAUKOWY

DOKTORA
 nauk prawnych

NADANY UCHWAŁĄ RADY wydziału Prawa i Administracji

Z DNIA 1 lipca 19 70 ROKU

PROMOTOR

 PROF. DR WITOLD WAREKSIŃSKI

REKTOR

 PROF. DR ZYGMUNT SZKIC

DEKAN

 PROF. DR MARIAN WERBICKI

Warszawa, DNIA 17 stycznia 19 73 ROKU

NR 1887



Dyplom doktora nauk prawnych. Warszawa, 1970.

Studia doktorskie zakończyłem w roku 1970. Tytuł mojej rozprawy doktorskiej brzmiał: „Umowa o prace geologiczne”. Egzamin doktorski

zdawałem 30 czerwca 1970 r. W samo południe podążałem z hotelu Warszawa na uniwersytet przy 30 stopniach temperatury. Do tego w czarnym garniturze. Egzamin ustny musiałem złożyć z prawa cywilnego i z ekonomii politycznej oraz obronić przed komisją moją pracę doktorską. Przewodniczącym Komisji był prof. Czachórski. Poza promotorem i wyznaczonymi przez dziekana członkami komisji, uczestniczyli w niej prof. Warkało, jako promotor oraz recenzenci: prof. Nowakowski z Uniwersytetu Poznańskiego oraz doc. Madey z Uniwersytetu Warszawskiego. Obroniłem pracę i uzyskałem tytuł doktora prawa. Po rozprawie zaprosiłem całą komisję na obiad w Sali Malinowej hotelu Bristol. Wzięli w nim udział też moi koledzy z Centralnego Urzędu Geologii, m.in. mec. Zbigniew Żółtowski i dyr. Henryk Żyłkowski.

Na tym zakończyły się w zasadzie moje studia. W zasadzie, gdyż kontynuowałem je już nieformalnie, uczestnicząc w pracach badawczych z dziedziny szeroko pojętej problematyki prawno-ekonomicznej prac geologicznych i gospodarki złożami i wodami podziemnymi.

ROZDZIAŁ IV

PRACA - OKRES GDAŃSKI 1947-1974**Praca w Skarbowości
Mogilno-Sopot 1947-1948**

Zarabiać zacząłem jeszcze jako uczeń liceum w Gnieźnie. Mój profesor łaciny, prof. Pietrzak, zapytał mnie, czy nie chciałbym udzielać korepetycji z łaciny. W domu się nie przelewało, wobec czego chętnie na to przystałem. Za jego protekcją zacząłem udzielać korepetycji. Moją pierwszą uczennicą była dziewczyna (imienia nie pamiętam) o nazwisku Mikołajczykówna, córka właściciela drogerii w Gnieźnie. Zajęcie to trwało rok, do zdania matury. Wiele tam nie zarabiałem, ale zawsze jakieś kieszonkowe było.

Maturę zdałem w lutym 1947. Ponieważ rok akademicki zaczynał się na jesieni, byłem wolny. W domu było ciężko i więc zdecydowałem się pójść do pracy. Ojciec przez swoje koneksje załatwił mi pracę w Urzędzie Skarbowym w Mogilnie, gdzie rodzice mieszkali.

Od 1 marca 1947 r. zostałem urzędnikiem państwowym w randze „sekretnarza administracyjnego”. Znalazłem się w zupełnie dla mnie nowym świecie. Nie miałem dotąd pojęcia ani o administracji państwowej, ani o finansach państwowych. Urząd skarbowy składał w tamtych czasach z trzech pionów: wymiaru podatku, kasy i egzekucji podatków. Ja trafiłem do działu wymiaru podatków: obrotowego i dochodowego. Miałem szczęście, bo to był, jako zajmujący się problematyką gospodarczą, najciekawszy zakres pracy urzędów skarbowych. W dziale tym funkcjonowały dwa referaty terytorialne. Pierwszy obejmował miasto Mogilno i okolice, a drugi miasto Strzelno i okolice. Ja znalazłem się w referacie drugim, pod kierownictwem kierownika referatu, pana Graczyka. Pan Graczyk był wytrawnym przedwojennym urzędnikiem skarbowym, od którego bardzo dużo się nauczyłem.

Była to moja pierwsza praca w życiu. Byłem nią bardzo przejęty. Pamiętam jeden charakterystyczny incydent. W urzędzie był zwyczaj

omawiania raz w miesiącu nowych przepisów podatkowych, jak i wszelkich nowelizacji w tym zakresie. Naczelnik urzędu, pan Jasiewicz, na każdym wpływającym do urzędu Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim wyznaczał osobę, która na miesięcznej odprawie zwanej „konferencją” miała obowiązek zreferowania nowego przepisu, bądź jego zmiany.

Któregoś dnia otrzymałem nowy Dziennik Ustaw, w którym znalazły się dwa przepisy nowelizujące ustawy o podatku obrotowym i dochodowym, a na egzemplarzu widniał zapis „pan Pawlak – na konferencję”. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, a pytać nie śmiałem. Wobec tego przygotowałem krótki referat, tak jakbym pisał wypracowanie szkolne. A więc był wstęp, gdzie opisałem stan aktualny przepisu, dalej rozwinięcie, tzn. opis zmian i wreszcie zakończenie, w którym sformułowałem wnioski w sprawie przewidzianych zmian w postępowaniu podatkowym. Nadszedł dzień konferencji i moja trema rosła. W trakcie konferencji zauważyłem, że inni referenci załatwiali się z problemem bardzo prosto: taki i taki dziennik ustaw i zmiany w tych i tych artykułach i kropka. Kiedy przyszła moja kolej wygłosiłem przygotowany referat, który z natury rzeczy trwał dłużej. I wówczas naczelnik oświadczył: *„Oto nasz młody kolega pokazał nam, jak powinno się referować zmiany w przepisach. Bierzcie z niego przykład.”* Byłem cały w rumieńcach.

W Mogilnie pracowałem tylko cztery miesiące, do 30.06.1947 r. Z półrocznego pobytu w tym mieście pozostało mi w pamięci wydarzenie charakterystyczne dla tego okresu i miejsca. Wspominam to wydarzenie, bo dzisiaj mało kto chce mi wierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć. Otóż na wiosnę 1947 r. rozeszła się po Mogilnie wieść, że w następną niedzielę (daty nie pamiętam) przewidziane jest poświęcenie sztandaru powiatowego komitetu Polskiej Partii Robotniczej. Wymieniano ojców chrzestnych, a jednym z nich miał być ówczesny lekarz powiatowy. W ostatnim momencie przygotowania do uroczystości przerwano i to, jak głosiła fama, z winy proboszcza, który uzależnił poświęcenie sztandaru od umieszczenia na jego drzewcu wizerunku Matki Boskiej. Na to się nie zgodzono i sprawa upadła. Dzisiaj brzmi to jak surrealizm. Należy jednak pamiętać, że w Wielkopolsce zwyczaj święcenia sztandarów organizacji, nie tylko kościelnych, należał do tradycji. Wpływy idei socjalistycznych były znikome, liczba komunistów była tu nieliczna, a członkowie związków zawodowych owszem byli, ale były to głównie związki chrześcijań-

skie. Z historii rodzinnej wiem, że mój dziadek, Antoni Pawlak, był członkiem i działaczem takich związków.

Na początku lipca wybraliśmy się z ojcem do Gdańska. Ojciec na poszukiwanie pracy, po dyscyplinarnym zwolnieniu z milicji, a ja chciałem koniecznie zacząć studia. Interesowały mnie prawnicze, lub ekonomiczne. W Trójmieście była wówczas Politechnika, Akademia Medyczna oraz Wyższa Szkoła Handlu Morskiego. Ta ostatnia szczególnie mnie interesowała. Ale zacząć musiałem od pracy. Była nas w rodzinie czwórka, w tym ja najstarszy, a ojciec jako urzędnik wiele zarobić nie mógł. Ojciec został przyjęty w Gdańsku do Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej, na stanowisko kierownika działu gospodarki komunalnej. Ja, korzystając z odbytego stażu w Urzędzie Skarbowym w Mogilnie, zostałem zatrudniony przez Izbę Skarbową, która skierowała mnie do pracy w Urzędzie Skarbowym w Sopocie.

Naczelnikiem urzędu był pan Iljuczek, a jego zastępcą – szef działu wymiary podatku, pan Burdyński. Trafiłem do wydziału wymiaru podatku. Początkowo zajmowałem się informacjami podatkowymi, a po odbyciu półrocznego szkolenia na kursie księgowości i rewizji podatkowej, zostałem kierownikiem jednego z trzech terenowych referatów podatków obrotowego i dochodowego. Kierownikiem pierwszego referatu był Jan Kiljański, drugiego Edek Holewski, a trzeciego ja, najmłodszy z nich.

W moim referacie pracowały, oprócz mnie, jeszcze dwie osoby. Naszemu referatowi podlegał rejon zachodniego Sopotu, tj. w górę od zachodniej strony ówczesnej ulicy Stalina (później 20-go Października, a obecnie Alei Niepodległości). W rejonie tym znajdowała się też Wyższa Szkoła Handlu Morskiego, Opera Leśna i część willowa Sopotu z zapleczem handlowym i usługowym. Nie było tam żadnego prywatnego zakładu przemysłowego, a państwowe przedsiębiorstwa nie podlegały pod względem podatkowym urzędowi skarbowemu, lecz Urzędowi Rewizyjnemu w Gdańsku. Moimi podatnikami byli m.in. minister Eugeniusz Kwiatkowski, córka Stefana Żeromskiego, Monika i wiele innych znanych na wybrzeżu osób.

Byłem chyba najmłodszym urzędnikiem Urzędu Skarbowego w Sopocie, a przy tym miałem wygląd bardzo młodzieńczy, by nie powiedzieć szczeniacki, a podlegały mi dwie starsze osoby. Ten mój wygląd

powagi mi nie dodawał. Było wręcz przeciwnie. Któregoś dnia weszła do naszego pokoju starsza pani i zapytała mnie o kierownika referatu, z którym chciała rozmawiać. Odpowiedziałem, że to ja, na co ona oświadczyła: „*O młody człowieku, jeszcze dużo czasu upłynie zanim zostanie pan kierownikiem*”.

Zadaniem referatów wymiaru podatków było wymierzanie, tj. ustalanie wysokości podatków obrotowego, dochodowego i podatku od wynagrodzeń. Pracowałem tam prawie dwa lata – od 1947 do 1948 roku, a więc w okresie przekształcania gospodarki z prywatnej na państwową, socjalistyczną. Rola urzędów skarbowych była w tym zakresie szczególnie znacząca, jako przyczyniająca się, poprzez wymierzanie słynnych domiarów, do likwidacji sektora prywatnego w gospodarce. Urząd Skarbowy w Sopocie uchodził w Trójmieście za szczególnie aktywny w tych praktykach i to głównie dzięki naczelnikowi urzędu – Iljuczkowi. Przeprowadzałem tam do 31 12 1948 r. W lipcu zdałem egzamin wstępny do Wyższej Szkoły Handlu Morskiego i studiów z pracą w urzędzie nie mogłem już łączyć.



Zdjęcie z pochodu 1-szo majowego w roku 1948 w Sopocie. Ja z flagą.

Ale zarabiać musiałem. Musiałem znaleźć prace dorywczą, która nie kolidowałaby z zajęciami na uczelni. Dzięki pracy w urzędzie skarbowym nauczyłem się prowadzenia księgowości i poznałem problematy-

kę podatkową, funkcjonującą w przedsiębiorstwach. Podjąłem się prowadzenia księgowości w małych przedsiębiorstwach prywatnych, które w tym czasie jeszcze istniały. I tak prowadziłem księgowość w małej wytwórni walizek w Sopocie oraz w kawiarence u wylotu ulicy Rokossowskiego (obecnie Monte Cassino, naprzeciwko domu towarowego), prowadzonej przez dwie starsze panie. Do jednej i drugiej firmy chodziłem dwa razy w tygodniu na kilka godzin. Było to rozwiązanie idealne. Oprócz wynagrodzenia w kawiarni dostawałem każdorazowo kawę i masę ciastek, tak że po pewnym czasie nie mogłem już na nie patrzeć.

Był to czas, kiedy władze systematycznie likwidowały tzw. sektor prywatny, tak że po pewnym czasie musiałem się rozglądać za pracą w sektorze państwowym, bądź w spółdzielczości. W zasadzie powinienem był szukać pracy zgodnie z moim kierunkiem studiów, tj. w żegludze, w porcie lub w stoczniach. Ale zdecydowałem się pracować w budownictwie. Dlaczego? Otóż w latach powojennych handel zagraniczny Polski, a co zatem idzie, żegluga i porty morskie rozwijały się bardzo wolno. Mówiło się o wielkich perspektywach gospodarki morskiej i handlu zagranicznego, ale praktyka była inna. Zaczął obowiązywać monopol handlu zagranicznego, realizowany wyłącznie przez państwowe centrale handlu zagranicznego, a te były umiejscowione w Warszawie.

Rozwój gospodarczy kraju, w tym na Wybrzeżu, postępował bardzo powoli. Kraj żył głównie odbudową ze zniszczeń wojennych. Porty były zniszczone, stocznie też. Odbudowa ciągnęła się bardzo powoli, dość powiedzieć, że port gdyński był zatarasowany zatopionym u jego wejścia pancernikiem „Gneisenau”, a pierwszy statek z polskiej stoczni: s/s „Soldek”, został wyprodukowany dopiero w roku 1948. W dodatku był to bardzo niewielki stateczek (3000 BRT). Ponadto, władze komunistyczne wysyłały na placówki zagraniczne osoby „politycznie sprawdzone i pewne”, a więc niekoniecznie z odpowiednim wykształceniem, które traktowano jako drugorzędne. Spośród absolwentów naszej uczelni zatrudniano w pierwszym rządzie aktywistów partyjnych, a ja w tej konkurencji miałem zdecydowanie mniejsze szanse. Ponadto musiałem się liczyć z tym, że miejsca pracy w „mojej” branży, to port w Gdyni i w Gdańsku, a więc znajdujące się w znacznej odległości od uczelni. Łączenie studiów z pracą w takiej sytuacji było trudne.

Praca w budownictwie - Gdańsk 1948-1953.

Był jeszcze jeden niebagatelny powód do szukania pracy w innej branży, a konkretnie w budownictwie. Budownictwo było w tym czasie, w okresie odbudowy powojennej, preferowanym działem gospodarki, czego wyrazem były płace wyższe w stosunku do innych działów gospodarki narodowej, jak i w stosunku do administracji państwowej. To zadcycydowało, że podjąłem pracę w pionie finansowym w budownictwie. Znalazłem pracę w Państwowym Zjednoczeniu Budownictwa „Wybrzeże”, w Oddziale II, mieszczącym się w Sopocie na tej samej ulicy co uczelnia, tj. ul. Armii Czerwonej (obecnie Armii Krajowej).

Gdańsk na skutek ogromnych zniszczeń wojennych stał się olbrzymim zagłębieniem budowlanym. W gruzach leżały całe dzielnice: Główne Miasto, Stare Miasto, największe przedmieście - Wrzeszcz. Zniszczone były cenne zabytki: Ratusz Głównego Miasta, Dwór Artusa, Zielona Brama, Żuraw, kościół Mariacki, kościół św. Katarzyny, kościół św. Trójcy, słynne spichlerze na Wyspie Spichrzów i wiele innych cennych budynków. Śródmieście Gdańska było zniszczone w 90%, a przedmieścia w 60%. Zniszczeniu uległy też wszystkie zakłady użyteczności publicznej i porty: gdański i gdyński. Z tego widać, jak olbrzymie zadanie stanęło przed gdańskim budownictwem, poczynawszy od odgruzowania. Dla tego celu powołano nawet Pełnomocnika Rządu ds. Odgruzowania Gdańska. Specjalnie dla wywózki gruzu doprowadzono do śródmieścia Gdańska tory kolejowe.)

W Gdańsku powołano do życia kilka dużych przedsiębiorstw budowlanych i to w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i budownictwa przemysłowego. Nasze przedsiębiorstwo, kiedy tam pracowałem, budowało m.in. budynek Izby Skarbowej przy ulicy Kartuskiej w Gdańsku, w którym dzisiaj mieszczą się biura urzędu miasta, budynek centralnego domu towarowego we Wrzeszczu, dzisiaj już wyburzonego i budynek poczty głównej przy ulicy Długiej. Całe historyczne Stare i Prawe Miasto – w tym ulica Długa i Długi Targ z ratuszem i Dworem Artusa – były odbudowywane przez nasze przedsiębiorstwo.

Dyrektorem naczelnym zjednoczenia był inż. Paweł Janczukowicz, Wilnianin, z którym miałem okazję pracować później w innych konfiguracjach. Dyrektorem naszego oddziału był inż. Bruszewski, a jego za-

stępcą inż. Kubacki, obaj świetni przedwojenni fachowcy z Warszawy. Kadra techniczna była znakomita, o czym świadczą dalsze kariery wielu z nich. Np. kierownik budowy izby skarbowej, inż. Gordziejczuk, został w późniejszych latach profesorem Politechniki Gdańskiej. Kierownik budowy Poczty Głównej z ulicy Długiej, Michał Jarząbkiewicz, został naczelnym dyrektorem Zjednoczenia Budownictwa w Gdańsku, a później w Bydgoszczy. Główny kierownik odbudowy Starego Miasta, inż. Ryszard Mrozowski, to przyszły dyrektor nowoutworzonego przedsiębiorstwa budownictwa miejskiego w Gdyni. Spośród kierowników robót na Starym Mieście pamiętam jeszcze braci Czesława i Wacława Burzyńskich, inż. Radomskiego oraz kierowników budowy: Artura Klemensowskiego, Łucjana Szczypiora, kierownika transportu Gwiazdę oraz panie: Borowską i Gubrynowicz. Szefem pionu finansowego był mgr Zygmunt Budzyński, który mnie do przyjęcia tej pracy namówił. Po jego awansie na szefa finansów w Centralnym Zarządzie Budownictwa Miejskiego w Warszawie, zastąpił go mgr Berezowski.



Dział finansowy PPB Wybrzeże. Pierwsza od lewej Danka Radzikowska, piąty – Szef, mgr Berezowski, obok Basia, drugi od prawej Autor.

W dziale finansowym było nas dziesięć osób. Przepracowałem tam dwa lata i w tym czasie dogłębnie poznałem problematykę finansową i księgową przedsiębiorstwa budowlanego. W roku 1951 zostałem powołany na stanowisko głównego księgowego w Przedsiębiorstwie Transportowym Budownictwa w tym samym Zjednoczeniu. W jego posiadaniu było kilkaset samochodów ciężarowych i innych jednostek wyspecjalizowanych. Miałem wówczas zaledwie 23 lata. Dyrektor, kiedy otrzymał do podpisu akt powołania mnie miał wątpliwości, czy może „takiego gówniarza”, jak się wyraził, powołać na tak odpowiedzialne stanowisko.

W Przedsiębiorstwie Transportu Budowlanego dostałem dobrą szkołę. Było to przedsiębiorstwo kompletnie zabałaganione pod względem finansowo-księgowym. To było powodem tego, że nie było wielu chętnych do objęcia funkcji szefa finansów i głównego księgowego. Uporządkowanie bałaganu nie było łatwe, jako że byłem tam postrzegany jako narzucony z góry. Rządy w przedsiębiorstwie sprawowali sami kierowcy. Kierowcami byli dyrektor i jego zastępcy ds. eksploatacyjnych i technicznych. Wprowadzenie jakichkolwiek zmian organizacyjnych porządkujących napotykało na niezrozumienie i częste opory nie tylko dyirekcji, ale i organizacji partyjnej i związkowej. Oponenci byli silni poparciem miejskiego komitetu PZPR, a to z racji nieograniczonych możliwości dysponowania samochodami na cele partyjne i prywatne. Po prawie dwóch latach, kiedy opuszczałem to przedsiębiorstwo, problemy finansowo-księgowe były uporządkowane. Zrobiłem to m.in. przy pomocy moich kolegów ze studiów: Wojciechowskiego i Wołłejki, których zatrudniłem jako zastępców ds. finansowych i księgowych.

Po prawie dwóch latach pracy w tym przedsiębiorstwie zostałem powołany na kierownika działu finansowego Zjednoczenia. Moim szefem bezpośrednim był mój kolega ze studiów – Andrzej Radzikowski. Tutaj pracowałem do marca 1953 roku. Praca w Zjednoczeniu dawała mi wiele satysfakcji zawodowej, ale z czasem atmosfera w przedsiębiorstwie stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Dyrektorami i twórcami Zjednoczenia byli znakomici fachowcy: inż. Paweł Janczukowicz, a później inż. Tołwiński. Ale był to czas najgorszego stalinizmu. Kolejnym dyrektorem naczelnym Zjednoczenia mianowano murarza, który o zarządzaniu przedsiębiorstwem nie miał zielonego pojęcia. Wobec tego rządy sprawowali inni. Kto? Przede wszystkim egzekutywa PZPR. Powstał też w

przedsiębiorstwie „Wydział specjalny”. Pracowali w nim funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, którzy zajmowali się głównie badaniem prawomysłności i życiorysów pracowników, a w szczególności kadry kierowniczej. Ja miałem względny spokój, ponieważ nie należałem do AK, a ta organizacja cieszyła się szczególnym zainteresowaniem służby bezpieczeństwa. Większość kadry kierowniczej miała bezpośrednie, bądź pośrednie powiązania z byłą AK. Atmosfera stawała się coraz cięższa. Ale też jest prawdą, że część ludzi ulegała propagandzie komunistycznej, czego dowodem m.in. jest fakt, że kiedy w roku 1953 umarł Stalin, znaleźli się ludzie, wprawdzie nieliczni, którzy jego śmierć autentycznie opłakiwali.

Praca w geologii - Gdańsk, 1953-1974.

W roku 1953 zmieniłem pracę. Razem z Andrzejem Radzikowskim odeszliśmy ze Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego w Gdańsku i zaczęliśmy pracować w nowoutworzonym Przedsiębiorstwie Geologicznym Gospodarki Komunalnej „Północ”. Ministerstwo Gospodarki Komunalnej postanowiło utworzyć dwa przedsiębiorstwa geologiczne, których celem miało być rozpoznawanie oraz ujmowanie wód podziemnych dla potrzeb gospodarki komunalnej i budownictwa komunalnego, oraz surowców mineralnych dla tegoż budownictwa. Tak w gospodarce planowej załatwiano się zaspokojenie potrzeb. Potrzeby resortu załatwiano się nie przez rynek, bo ten nie funkcjonował, ale przez tworzenie własnych, sobie podległych służb i przedsiębiorstw, które na mocy nakazów realizowały zadania nałożone przez plan.

Ministerstwo Gospodarki Komunalnej utworzyło więc dla potrzeb gospodarki komunalnej dwa przedsiębiorstwa geologiczne mające działać na terenie na całego kraju: Przedsiębiorstwo Geologiczne Gospodarki Komunalnej „Południe” we Wrocławiu i PGGK „Północ” w Gdańsku. Organizację przedsiębiorstwa w Gdańsku powierzono byłemu dyrektorowi Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego, inż. Pawłowi Janczukowiczowi, aktualnemu dyrektorowi Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Gdańsku. Dyrektor Janczukowicz zebrał zespół organizacyjny, który składał się z następujących osób: dyrektor naczelny – Paweł Janczukowicz, dyrektor techniczny – inż. Tytus Murzyński, główny geolog – inżynier Tadeusz Sułocki, główny księgowy – Andrzej Radzikowski i kierownik działu planowania i organizacji – Jerzy Pawlak.

Był to na owe czasy zespół dziwny. Po pierwsze, nikt z zespołu nie należał do PZPR, co w tym czasie było ewenementem. Po drugie, w zespole tym, organizującym przecież przedsiębiorstwo geologiczne, nie było ani jednego geologa. Paweł Janczukowicz był inżynierem budownictwa, Tytus Muszyński i Tadeusz Sułocki byli inżynierami rolnictwa. Geologia, jako działalność gospodarcza, to dla mnie była zupełnie nowa dziedzina. Nie miałem o niej najmniejszego pojęcia. Jest ona bliska, zarówno budownictwu, jak i przemysłowi wydobywczemu jako przedpole ich funkcjonowania.

Pracę mieliśmy ciężką. Przedsiębiorstwa nie wyposażono w środki inwestycyjne na niezbędny do robót sprzęt i aparaturę, ale przyjęto założenie, że sprzęt wiertniczy i aparaturę laboratoryjną, niezbędne do funkcjonowania, przejmemy od miejskich przedsiębiorstw wodociągów i kanalizacji, działających w miastach północnej Polski, które takie roboty dla swoich potrzeb wykonywały. Takie założenie było może teoretycznie poprawne, ale w praktyce niezmiernie trudne do realizacji. Po pierwsze, sprzęt wiertniczy do wierceń studziennych, bo to one były w większości naszym zadaniem, był bardzo prymitywny, nieujednolicony, często własnej produkcji poszczególnych przedsiębiorstw. Stosowano do tych wierceń przestarzałą technologię udarową. Sprzęt ten należało tym przedsiębiorstwom po prostu wyrzucić. Otrzymały one wprawdzie odgórne, ministerialne polecenie przekazania go nam, ale nie były one z tego zadowolone, tym bardziej, że również załogi nie były zainteresowane przejściem do pracy w naszym przedsiębiorstwie. Wymagałoby to ich przeniesienia się z innych miejscowości, co przy tragicznych brakach mieszkań w Gdańsku było nierealne. Wymagało to też ujednolicenia warunków płacowych, co nie wszysztkim odpowiadało.



Stefan Gromek i ja.

Na biura Urząd Miejski w Gdańsku przydzielił nam raptem dwa pokoje, a na bazę warsztatową i transportową - zdewastowany obiekt przy ulicy Sandomierskiej, na przedmieściu, w Oruni. Do planu zostaliśmy włączeni, co umożliwiło nam finansowanie działalności oraz zaopatrzenie w materiały centralnie przydzielane. W szczególności dotyczyło to rur wiertniczych będących materiałami deficytowymi. Przydzielano nam wprowadzić rury, ale było ich zawsze za mało. Pomagaliśmy sobie wyciąganiem ich z nieczynnych studni. Pamiętam, że sporo ich wyciągnęliśmy z kwatery Hitlera pod Kętrzyńnem.

Fachowej kadry (geolodzy i wiertnicy) na terenie północnej Polski prawie nie było (poza nieliczną kadrą rzemieślników studniarzy). To w południowej Polsce były prowadzone prace geologiczne, bo tam zlokalizowane były złoża minerałów i ropy naftowej. Uczelnie kształcące geologów i wiertników były głównie w Krakowie, później także we Wrocławiu i w Warszawie. Kadry trzeba było więc ściągać z południa Polski. Z czasem, a trwało to lata, trudności te udało się przezwyciężyć, bo na Politechnice Gdańskiej utworzono na Wydziale Budownictwa Wodnego Oddział Hydrogeologii, kierowany przez prof. Zdzisława Pazdro, kształcący geologów ze specjalnością hydrogeologia. Pierwsi absolwenci tego studium zasilili gospodarkę dopiero w roku 1955.

W powijakach znajdowała się też problematyka prawna i ekonomiczna nowej branży. Prawa geologicznego nie było. W tym zakresie poruszaliśmy się na obrzeżach prawa górniczego (sprawy geologiczne), prawa wodnego (sprawy korzystania z wód podziemnych) i prawa budowlanego (sprawy geotechniki i budowy studni).

W socjalistycznej gospodarce ceny były ustalane ogólnie. Na badania hydrogeologiczne i wiercenia z tego zakresu cen ustalonych przez państwo prawie nie było, albo były ceny na roboty zbliżone, co skutkowało trudnościami w rozliczeniach z inwestorami. Dopiero w roku 1953 powstał załączek administracji geologicznej z Centralnym Urzędem Geologii na czele. Ustawa o prawie geologicznym ukazała się dopiero 16 listopada 1960 r.

Te trudności organizacyjne były powodem dużej fluktuacji kadr. Dość powiedzieć, że na przestrzeni lat 1951-1956 przedsiębiorstwem kierowało kolejno czterech dyrektorów: Paweł Janczukowicz, Naumienko, Mieczysław Krześniak i Jaklewicz, z których żaden nie był geolo-

giem, ani wiertnikiem z wykształcenia. Pierwsi dwaj, to inżynierowie budownictwa lądowego, trzeci - inżynier budownictwa wodnego, a czwarty - chemik. Stabilizacja nastąpiła dopiero po kilku latach, kiedy stanowisko dyrektora objął ściągnięty z Warszawy Bohdan Pawlak (zbieżność nazwisk przypadkowa), technik z doświadczeniem budowy studni. Podobnie było z kadrą inżynierską. Pierwszy naczelny inżynier, Murzyński, był inżynierem rolnikiem, drugim emerytowany wiertnik naftowy Błocki, ściągnięty z Podkarpacia, a trzecim inżynier budownictwa wodnego Śmidowicz. Pierwszym głównym geologiem był inżynier rolnik (Sułocki).



*Autor w otoczeniu kierowniczek swojego pionu: Ireny Majewskiej
i Elżbiety Wiechowicz*

Wszystko to obrazuje z jakimi trudnościami musieliśmy się borykać. Tym niemniej atmosfera pracy była sympatyczna. Nietypowość działalności gospodarczej, organizacja przedsiębiorstwa od podstaw, rozproszenie działalności na terenie północnej części kraju, przy olbrzymich trudnościach komunikacyjnych i transportowych, stanowiły dla mnie, młodego człowieka (miałem 25 lat) olbrzymie wyzwanie. Sympatyczny był też zespół. Nie było wśród nas partyjnych, a więc ingerencje komitetu partii były stosunkowo niewielkie. Stanowiliśmy zbiorowisko ludzi pochodzących z różnych części kraju, z różnych warstw społecznych. Było kilku ziemian, w tym potomkowie Jana Kochanowskiego (Jerzy Kochanowski i Izabela Kochanowska), było kilku oficerów-łotników walczących w RAF (inż. Jaklewicz i inż. Śmidowicz), a kierowcą samochodu osobowego był hrabia Andrzej Tyszkiewicz, usunięty wcześniej ze stanowiska dyrektorskiego. Byli wśród nas Wilnianie, ludzie z centralnej i południowej Polski, z Pomorza i Śląska.

Z tych trudności przedsiębiorstwo zdołało wyjść dopiero w latach 1960-tych. Z biegiem czasu zdołano skupić fachową kadrę techniczną i powiększyć potencjał produkcyjny. Wybudowano warsztaty naprawcze i bazę materiałowo-sprzętową przy ulicy Sienna Grobla oraz bazę transportu przy ul. Sandomierskiej. Uzyskano od władz miejskich budynek biurowy przy ulicy Tkackiej 11/13, który z czasem zastąpiono własnym budynkiem laboratoryjno-biurowym przy ulicy Szafarnia 2.

W pierwszych latach działalności przedsiębiorstwo ograniczało się do wykonywania podstawowych robót: wiercenia studzienne i związane z nimi prace hydrogeologiczne oraz prace geologiczno-poszukiwawcze za kruszywami. Z czasem profil produkcyjny rozszerzył się o projektowanie ujęć wód podziemnych dla miast i dokumentowanie zasobów wód podziemnych, hydrogeologiczne badania regionalne, roboty odwodnieniowe, prace laboratoryjne w zakresie analiz fizyko-chemicznych i technologicznych wód i cech fizyko-chemicznych gruntów.

W tym czasie przedsiębiorstwo wykonywało szereg znaczących dla gospodarki prac geologicznych na dużych obiektach gospodarczych. W zakresie geologii inżynierskiej wykonano wiercenia i dokumentacje inżynierskie dla Suchego Doku w Gdyni, Portu Północnego i bazy przeladunkowej rafinerii w Gdańsku. W zakresie robót odwodnieniowych wykonano prace dla stopnia wodnego na Wiśle we Włocławku, elektrowni

szczytowo-pompowej w Żydowie, elektrowni Dolna Odra w Nowym Czarnowie, zbiornika wodnego w Głębinowie na Nysie Kłodzkiej, Rafinerii Gdańsk, Portu Północnego w Gdańsku, elektrowni jądrowej w Żarnowcu i elektrowni w Bełchatowie.

W zakresie prac poszukiwawczych prowadzono badania poszukiwawcze węgla brunatnego na terenie Polski północnej w rejonie Olsztyna, Słupska i Koszalina. W zakresie hydrogeologii dokumentowano zasoby wód podziemnych dla prawie wszystkich miast północnej Polski oraz dla zlewni rzek Brdy i Słupi.



Kadra kierownicza PH Gdańsk. Stoją od lewej: Czesław Godlewski – główny mechanik, Edward Tetzlaff – główny wiertnik, Zdzisław Łazarski – naczelny inżynier; siedzi Autor.

W roku 1961 miało miejsce scalenie przedsiębiorstw geologicznych przynależnych do różnych resortów działających na tym samym terenie i podporządkowanie ich Centralnemu Urzędowi Geologii. Utworzono Zjednoczenie Przedsiębiorstw Hydrogeologicznych w Warszawie, w skład którego weszło też przedsiębiorstwo gdańskie pod nazwą Przedsiębiorstwo Hydrogeologiczne w Gdańsku. Na czele zjednoczenia stanęli: dyrektor naczelny, Atanazy Tkaczenko (w latach następnych zastąpił

go dr Witold Olendski), zastępca dyrektora ds. technicznych, inż. Dębowski i zastępca dyrektora ds. ekonomicznych, Jerzy Iwaszewski. Na czele Przedsiębiorstwa Hydrogeologicznego w Gdańsku stanęli: dyrektor Henryk Nosowski, (później Tadeusz Piszczek), naczelny inżynier Zdzisław Łazarski i ja jako zastępca dyrektora ds. ekonomicznych.

Z czasem, a trwało to lata, dobrała się w przedsiębiorstwie zgrana kadra zarządzająca. W moim pionie byli to: Irena Majewska – kierownik działu planowania, Stefan Gromek – kierownik działu zatrudnienia i płac, oraz jego zastępczyni, Hanka Słupczyńska, Elżbieta Wiechowicz – kierownik działu umów. W pionach produkcyjnych byli to: Edward Tetzlaff – główny wiertnik (późniejszy dyrektor przedsiębiorstwa), Andrzej Tomaszewski – główny geolog oraz Czesław Godlewski i Tomasz Sauer – główni mechanicy. Ze szczególną atencją wymieniam Józefa Szrajberta – głównego księgowego, przedwojennego oficera zawodowego, wspaniałego człowieka, od którego nauczyłem się wiele z mądrości życiowej.



Autor z dyrektorem Tadeuszem Piszczkiem.

W latach 1970-tych. Przedsiębiorstwo Hydrogeologiczne w Gdańsku stało się czołowym przedsiębiorstwem geologicznym w północnej

Polsce, wyspecjalizowanym w pracach hydrogeologicznych i odwodnieniowych. Przyznaję, że pracowałem w nim z dużym zaangażowaniem. Przedsiębiorstwo, w którym przepracowałem 21 lat (1953–1974) stało się „moim”. Współorganizowałem je w roku 1953, sprawowałem w nim różne funkcje: kierownika organizacyjnego, kierownika działu planowania, kierownika działu organizacji produkcji (ukończyłem też, dla lepszego poznania specyfiki branży, kurs dla kierowników robót wiertniczych), byłem przewodniczącym Rady Robotniczej i wreszcie przez 12 lat zastępcą dyrektora ds. ekonomicznych.



W tańcu z Hanką Szupczyńską.

Jako przewodniczący Rady Robotniczej byłem zmuszony wystąpić (skutecznie) w imieniu rady do Ministra Gospodarki Komunalnej o zdjęcie z funkcji dyrektora Jaklewicza. Wystąpienie z takim wnioskiem było dla mnie trudne i przykre, gdyż Jaklewicz, były pilot RAF, był człowiekiem kulturalnym i przyzwoitym. Jedynym powodem wniosku o zdjęcie

ze stanowiska był brak kompetencji i kompletny brak umiejętności kierowania przedsiębiorstwem, co doprowadziło przedsiębiorstwo na skraj upadku. Było to dla mnie duże przeżycie. Na szczęście, w Ministerstwie napotkałem na zrozumienie wiceministra Świerkowskiego, co pozwoliło zakończyć sprawę z pozytywnym dla przedsiębiorstwa skutkiem.

Przyznane autorowi medale przez władze gdańskie:



Odnaka „Zasłużonym Ziemi Gdańskiej”.

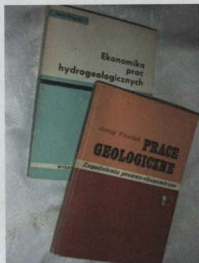


Medal „Za zasługi dla Gdańska”

Praca w Przedsiębiorstwie nie stanowiła w tych latach mojego jedynego zajęcia. Ukończyłem w tym czasie studia prawnicze, zdałem egzamin państwowy, zdobyłem uprawnienia radcy prawnego i zacząłem pracować dodatkowo jako radca prawny.

Funkcja radcy prawnego, jako zajęcie dodatkowe, była dla mnie wygodna, gdyż nie wymagała stałej obecności w instytucji, w której do mnie należała obsługa prawna. Doradztwo prawne i obsługę procesów sądowych i arbitrażowych sprawowałem głównie w instytucjach i przedsiębiorstwach zajmujących się procesem inwestycyjnym oraz budownictwem. Miałem wyznaczonych kilka godzin w tygodniu, w których moja obecność była obowiązkowa. Na to w moim pierwszym zakładzie pracy miałem zgodę przełożonych.

Jako radca prawny pracowałem kolejno w Dyrekcji Budowy Osiedli Pracowniczych, w Spółdzielni Mieszkaniowej Wybrzeże, Spółdzielni Geodetów, Spółdzielczym Biurze Inwestycji oraz w Miejskim Przedsiębiorstwie Budowlano-Mieszkaniowym w Gdyni.



Książki wydane przez Jerzego Pawlaka

W roku 1970 zrobiłem doktorat z prawa cywilnego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmowałem się w tym czasie, jak i zresztą później, działalnością publicystyczną. Opublikowałem kilkadziesiąt artykułów i glos od wyroków sądowych w czasopismach ekonomicznych i prawniczych (*Przegląd Ustawodawstwa Gospodarczego*, *Orzecznictwo Sądów Polskich* i Komisji Arbitrażowych, *Życie Gospodarcze*, *Przegląd Geologiczny*, *Technika Poszukiwań Geologicznych*, *Gospodarka Planowa*). Wydałem też dwie książki: „*Prace Geologiczne. Zagadnienia prawno-ekonomiczne*” oraz „*Ekonomika prac hydrogeologicznych*”.

Byłem aktywnym działaczem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, w którym przez kilka kadencji sprawowałem funkcję skarbnika Zarządu Wojewódzkiego w Gdańsku oraz członka komisji Finansowej Zarządu Głównego.

W ramach działalności dydaktycznej prowadziłem wykłady na różnego rodzaju kursach organizowanych przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne. W Technikum Budowlanym we Wrzeszczu byłem nauczycielem przedmiotu „*Planowanie i organizacja procesu budowlanego*”. Ukończeniem mojej działalności dydaktycznej były zlecone mi przez Instytut Finansów Uniwersytetu Gdańskiego wykłady. Prowadziłem je z przedmiotu Finanse na dwóch wydziałach: Wydziale Produkcji i Wydziale Ekonomiki Transportu na drugim roku. Wykłady te zaproponował mi prof. Leszek Bednarski – dyrektor Instytutu Finansów UG, mój kolega z roku. Wspominam je jako bardzo absorbujące. Miałem ambicję, by były to wykłady autorskie i dlatego nie opierałem się na istniejących podręcznikach, lecz sam opracowywałem treść i metodykę każdego z nich. Opracowanie dwugodzinnego wykładu zajmowało mi całą niedzielę. Zamykałem się w swoim gabinecie i opracowywałem wykład łącznie z nagraniem na magnetofon, celem sprawdzenia, czy mieści się w wyznaczonym czasie. Na szczęście taki wykład powtarzałem po tygodniu na drugim Wydziale.

Moja działalność poza przedsiębiorstwem była doceniana przez przełożonych w Warszawie. Powoływano mnie do różnych ciał branżowych i resortowych. Uwzględniano też tę działalność delegując mnie do różnych przedsiębiorstw i organizacji zagranicznych, czemu sprzyjała moja znajomość języka niemieckiego. I tak miałem okazję zapoznać się z

działalnością przedsiębiorstw geologicznych w Czechosłowacji (w Brnie, Pradze i Bratysławie). W byłym NRD zapoznałem się z funkcjonowaniem przedsiębiorstw geologicznych i geofizycznych w Dreźnie, Nordhausen, Gommern i z działalnością Centralnego Instytutu Geologicznego w Berlinie.

Szczególnie interesująca była dla mnie możliwość zapoznania się z działalnością służby geologicznej w ZSRR, a więc Ministerstwa Geologii w Moskwie oraz zjednoczenia i przedsiębiorstwa geologicznego w Artiomowsku na Ukrainie. Te podróże służbowe pozwoliły mi na pogłębienie wiedzy o branży geologicznej i umożliwiły zajęcie się publicystyką prawno-ekonomiczną branży, jak i przyszłą problematyką naukową.

Dylematy zmiany pracy

1 lutego 1974 zostałem przeniesiony do Centralnego Urzędu Geologii w Warszawie. Ale zanim to nastąpiło, miały miejsce zdarzenia, o których muszę wspomnieć. W latach 1972-73 miały miejsce trzy dla mnie ważne wydarzenia nie tylko związane z pracą, ale także z polityką. Zburzyły one mój dotąd względnie spokojny tryb życia.

Pierwsze było związane z aresztowaniem i procesem sądowym mojego syna Antka. Na początku lat 1970. Antek związał się z grupą kolegów, którą kierował przy kościele św. Mikołaja dominikanin, ojciec Ludwik Wiśniewski. Należeli do niej m.in. Maciek Grzywaczewski, Aleksander Hall, Marek Podgórczyk, Marian Terlecki i wielu innych. W ramach tej grupy spotykali się, dyskutowali o sprawach światopoglądowych, społecznych, literackich oraz politycznych.

W roku 1972 odbywały się wybory do Sejmu. Kilku członków tej grupy postanowiło się zabawić w politykę i bezpośrednio przed wyborami sporządzali i rozlepiali na mieście ulotki antywyborcze. Ulotki zrobili na Antka drukarence dziecięcej. Ich treść była adekwatna do ich wieku (byli uczniami liceum): „*Studencie nie głosuj*”, „*Nie bądź głupi, nie głosuj*”, „*Nie głosuj na morderców Grudnia*” itp. Milicja złapała ich na gorącym uczynku i całą grupę aresztowała. Antka to aresztowanie ominęło, bo w dniu rozlepiania ulotek był chory, ale podczas przesłuchania wyszedł na jaw jego w tym udział, tym bardziej, że dziecięca drukarenka była jego własnością. Konsekwencją była rewizja w domu, aresztowanie Antka, akt oskarżenia i proces sądowy.

Wszyscy oskarżeni zostali prawomocnie skazani (Antek na półtora roku z zawieszeniem na trzy lata) z art.272. par.2. kodeksu karnego za „*rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, mogących zaszkodzić Polsce Ludowej*”. Proces toczył się przed Sądem Powiatowym w Gdańsku, dalej w drugiej instancji przed Sądem Okręgowym, a częściowo też przed Sądem Najwyższym, ponieważ Sąd Okręgowy w Gdańsku powziął wątpliwość prawną i wystąpił do Sądu Najwyższego z zapytaniem, co do zasadności przyjętej w wyroku kwalifikacji prawnej czynu. Sąd Najwyższy uchylił się od odpowiedzi stwierdzając, że „*pytanie nie jest uzasadnione*” i zwrócił akta Sądowi Okręgowemu w Gdańsku, który wyrok I-szej instancji zatwierdził. Wyrok ostateczny zapadł w roku 1973.

Można sobie wyobrazić, w jakim stresie żyła cała rodzina, a zwłaszcza moja żona. Kiedy w sądzie przed ogłoszeniem wyroku zagadnąłem prokuratora Chmielewskiego na temat zasadności oskarżenia na podstawie w/w przepisu kodeksu karnego, prokurator odpowiedział mi konfidencko: „*Panie Pawlak, niech mi pan powie, jaki sąd w Polsce Ludowej powie dzisiaj, że nawoływanie do bojkotu wyborów jest legalne?*”. Ot i cała socjalistyczna praworządność w Polsce Ludowej. Na szczęście, nie wyciągnięto konsekwencji wobec rodziców, czego się spodziewaliśmy, gdyż było to w tym czasie częstą praktyką.

W tym samym czasie pojawiły się dwie propozycje zmiany pracy. Nie wspominałem wcześniej, że na początku lat 1970. wstąpiłem do Stronnictwa Demokratycznego. Decyzja ta wymaga wyjaśnienia. Formalnie rzecz biorąc Stronnictwo Demokratyczne (SD) było partią współrządzącą w PRL. Jednak tajemnicą poliszynela było, że to fikcja. W społeczeństwie krążyło określenie SD jako „*Stronnictwa Drżących*”. Gros członków SD było rzemieślnikami, a sama partia uchodziła za reprezentanta rzemiosła. SD nie było, ani nie miało ambicji być partią ideową.

Udział SD w rządzie PRL sprowadzał się do tego, że PZPR włączał w skład każdego rządu jednego ministra z SD. Był nim każdorazowo minister łączności. Podobnie było w terenowych organach władzy. W skład każdego prezydium rady terenowej (gminnej, miejskiej, powiatowej i wojewódzkiej) wchodził członek SD, jako wiceprzewodniczący prezydium. W roku 1973 nastąpiła w tym zakresie istotna zmiana. Na mocy zmienionego prawa, władzą wykonawczą przestały być „prezydium rad”, a mianowani przez premiera wojewodowie i prezydenci miast oraz mianowani przez wojewodów starostowie i burmistrzowie miast i wójtowie.

Zasada kierowniczej roli PZPR była w komunizmie podstawą rządów. Była nawet usankcjonowana w konstytucji. Partie „satelitarne” ten kamuflaż akceptowały, bo musiały. Zdawałem sobie sprawę z tej fikcji, tak jak zdawało sobie z tego sprawę całe społeczeństwo. Przyczyna mojego akcesu do Stronnictwa Demokratycznego była zgoła inna. W latach 1960. dostawałem propozycje awansu zawodowego, które połączone były z warunkiem wstąpienia do PZPR. Musiałem z tego względu odmawiać. Z dzisiejszej perspektywy odmowa wstąpienia do jakiejś partii jest oczywista i zrozumiała, kiedy nie wyznaje się poglądów partii. Ale

tak nie było w socjalizmie. Tu obowiązała zasada „*kto nie z nami ten przeciwko nam*”. PZPR była partią ideową i do tego partią rządzącą. Przy odmowie wstąpienia do PZPR stawało zawsze pytanie: „*Dlaczego? Jesteś przeciwko partii? A jeżeli tak, to jesteś wróg.*”

W innych partiach, tzw. satelickich, taki dylemat nie występował. Społeczeństwo znajdowało z tego dylematu wyjście praktyczne. Ludzie po prostu wstępowali do PZPR, żeby awansować, żeby wyjechać na staż zagraniczny, żeby otrzymać stanowisko kierownicze. I to była praktyczna reakcja na niezyciowe zasady. Jeżeli były w Polsce okresy, kiedy w PZPR było ponad trzy miliony członków, to jasne jest, że nie byli to ludzie, którzy byli tam ze względów ideowych, ale koniunkturalnych. Myślę, że nie popełniam wielkiego błędu mówiąc, że z pobudek ideologicznych było w partii nie więcej niż 5% członków. Na porządku dziennym były przypadki chrztów i przystąpienia do komunii dzieci nie tylko szeregowych członków partii, ale też prominentnych jej funkcjonariuszy, za co zdarzały się nawet wydalania z partii. Podobnie było ze ślubami kościelnymi.

Mnie awans zawodowy za cenę wstąpienia do PZPR nie interesował. Z drugiej strony nie byłem pozbawiony ambicji zawodowej. Ten dylemat próbowałem rozwiązać wstępując do Stronnictwa Demokratycznego. Na każdą propozycję wstąpienia do PZPR odpowiadać mogłem: „*Ale ja już jestem w partii, w SD*”. Nie pomagało mi to wprawdzie w awansie zawodowym, ale moja postawa nie mogła być traktowana jako wroga. W SD żadnej działalności nie prowadziłem, bo nie było takiej możliwości. Tym niemniej Stronnictwo miało swoje struktury organizacyjne, zarządy, które nie miały prawie nic do powiedzenia, ale musiały być. Moja natura nie pozwalała mi być kompletnie biernym. I tak trafiłem do Zarządu Miejskiego SD w Gdańsku, do którego mnie wybrano na członka zarządu miejskiego.

W roku 1973 odbyły się kolejne wybory do organów samorządowych, a mnie wybrano do Rady Miejskiej z okręgu wyborczego Gdańsk-Zaspa. Do czasu wyborów w skład prezydium miasta Gdańska jako wiceprzewodniczący prezydium rady narodowej z ramienia SD wchodził kolega Jabłonowski. Ale od wyborów w roku 1973 wg nowej ustawy zarząd miasta zamiast prezydium rady narodowej miał sprawować prezydent i dwaj wiceprezydenci mianowani przez premiera. Władze SD

wskazały jako kandydata na nowe stanowisko wiceprezydenta miasta dotychczasowego wiceprzewodniczącego prezydium, kolegę Jabłonowskiego. Tymczasem w nowych regulacjach prawnych znalazł się przepis, że prezydentem lub wiceprezydentem miasta może być osoba posiadająca wyższe wykształcenie, a tego warunku nie spełniał Jabłonowski. Mimo wystąpienia władz Stronnictwa o zwolnienie Jabłonowskiego w drodze wyjątku z tego wymogu, premier Jaroszewicz nie wyraził zgody. Władze Stronnictwa w Gdańsku stanęły przed problemem wskazania nowego kandydata. Wybór padł na mnie.

Pamiętam, że w niedzielę rano zadzwonił do mnie sekretarz zarządu wojewódzkiego Stronnictwa z pytaniem, czy wyrażę zgodę na objęcie stanowiska wiceprezydenta Gdańska, lub Gdyni. Podkreślił, że to propozycja wstępna, bo w przypadku mojej zgody decyzję będą podejmowały władze wojewódzkie Stronnictwa i I-szy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, którym był Tadeusz Bejm. Propozycja niezwykle mnie zaskoczyła, bo nie było przedtem mowy o takiej zmianie na tym stanowisku. Nie mając wiele czasu wyraziłem zgodę na Gdańsk. Po południu dostałem informację, że władze wojewódzkie stronnictwa i sekretarz KW PZPR zaakceptowały wniosek, który został przekazany premierowi. Nominacja została przez premiera podpisana dla całego składu zarządu miasta, czyli dla Andrzeja Kaznowskiego jako prezydenta oraz Kazimierza Rynkowskiego i Jerzego Pawlaka jako wiceprezydentów. Decyzję podano do wiadomości na pierwszej sesji nowej Rady Miejskiej. Ale ja jej nie odebrałem, bo wcześniej miały miejsce wydarzenia, które całkowicie zmieniły moje plany.

W roku 1973 nastąpiły duże zmiany w ekipie rządowej, w tym w Centralnym Urzędzie Geologii, będącym centralnym organem administracji państwowej w dziedzinie geologii, któremu i nasze przedsiębiorstwo podlegało. Zmiany w kierownictwie urzędu były związane z wymianą kadr, którą przeprowadzała nowa ekipa Edwarda Gierka, nowego I-go Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Na emeryturę przeszli: prezes Centralnego Urzędu Geologii, doc. Mrozowski i wiceprezes prof. Tokarski. Na ich miejsce powołano doc. Zdzisława Dembowskiego ze Śląska na prezesa i dr Olendzkiego na wiceprezesa CUG. Pozostał na stanowisku wiceprezes Jan Żytka. Nowe kierownictwo Urzędu dokonało istotnych zmian w organizacji Urzędu i podziale na departamenty. Jak

zwykle bywa, dokonano też wymiany w obsadzie kierownictw departamentów. W ramach tych zmian nowy prezes Urzędu zaproponował mi przejście do pracy w Centralnym Urzędzie Geologii, w kierownictwie nowoutworzonego departamentu rozwoju. Ta propozycja padła już po wyborach.

Stałem przed dylematem. W przedsiębiorstwie w Gdańsku praca zaczęła mnie powoli nużyć – przepracowałem w nim ponad dwadzieścia lat. Nowe wyzwania bardzo mnie interesowały. W rodzinie zdania były podzielone. Moja żona Basia, jako warszawianka, skłaniała się do przeprowadzki. Dzieci odwrotnie – wsiąkły w atmosferę Gdańska i byli, co tu wiele gadać, zdeklarowanymi gdańszczanami. Ja też po 27 latach mieszkania i studiów wrosłem w Gdańsk. Najważniejsza była jednak dla mnie praca. Przejście do centralnej administracji geologicznej w Warszawie bardzo mnie kusiło, tym bardziej, że wrosłem w tę branżę. Przejście do Warszawy oznaczało pogłębienie wiedzy prawno-ekonomicznej w problematyce zarządzania pracami geologicznymi.

Z drugiej strony przejście z pracy w przedsiębiorstwie do pracy w samorządzie oznaczało kompletną zmianę charakteru pracy – z problematyki ekonomicznej do problematyki społecznej i politycznej. To mnie mniej interesowało, chociaż objęcie stanowiska wiceprezydenta Gdańska byłoby poważnym awansem zawodowym. Zdawałem sobie przy tym sprawę, że w tym czasie strategiczne decyzje w sprawie zarządzania miastem nie zapadały w zarządzie miasta, ale w Komitecie Miejskim PZPR, w myśl ówczesnie obowiązującej zasady *„partia rządzi, a rząd (samorząd) kieruje”*.

Zbadałem u moich poprzedników na tym stanowisku, jak wyglądały moja nowa praca. Wyniki rekonesansu nie były zachęcające. Do moich obo-wiązków należałyby sprawy zatrudnienia, zdrowia, kultury i mieszkaniowe. Tymczasem sytuacja mieszkaniowa w Gdańsku, jak i w innych dużych miastach, była rozpaczliwa. Wiceprezydent Gdańska spędzał praktycznie każdy poniedziałek, i to od rana do wieczora, na przyjmowaniu mieszkańców, którzy rozpaczliwie domagali się mieszkań, a tych nie było. 99 procent petentów odchodziła z kwitkiem, bo zarząd miasta nie był w stanie załatwić pozytywnie ich wniosków, mimo że obowiązywała w tym czasie publiczna gospodarka lokalami i zarząd

mógł w tej sprawie wydawać wiążące decyzje. Przyznaję, że m.in. to miało wpływ na moją ostateczną decyzję.

W końcu zdecydowałem przyjąć pracę w Centralnym Urzędzie Geologii w Warszawie. Praca w geologii, w „mojej” branży, a przy tym na szerszym polu, bardziej mnie nęciła. Ale skoro wyraziłem zgodę na objęcie stanowiska wiceprezydenta Gdańska, to rezygnacja była możliwa tylko w uzgodnieniu z mocodawcami. Poszedłem z zapytaniem, czy rezygnacja moja może być w ogóle w tym momencie rozważana, do przewodniczącego zarządu wojewódzkiego SD, a był nim wówczas kolega Balcer (w roku 1989 został ministrem sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, a później wiceministrem Ochrony Środowiska). Spotkałem się u niego z pełnym zrozumieniem. Balcer oświadczył, że mnie bardzo dobrze rozumie, ale na wycofanie mojej kandydatury musi mieć zgodę I-go sekretarza wojewódzkiego PZPR, Bejma. Zgodził się pójść do niego i przedłożyć mój wniosek. Tak też zrobił i po południu zawiadomił mnie, że Bejm zgodził się na moją rezygnację. Premier Jaroszewicz wprawdzie już podpisał nominację, ale nie zdążyłem jej odebrać, chociaż na pierwszym posiedzeniu Rady Miejskiej poinformowano radnych o składzie zarządu: Kaznowski, Rynkowski, Pawlak. Na moje miejsce wybrano kolegę z SD; nazywał się Osten-Sacken.

ROZDZIAŁ V

PRACA - OKRES WARSZAWSKI

Centralny Urząd Geologii 1974-1978

Tak więc z dniem 1 lutego 1974 r. zostałem powołany przez prezesa CUG na stanowisko wicedyrektora Departamentu Rozwoju. Ten akt powołania przez prezesa centralnego urzędu był równocześnie aktem pozwolenia na zamieszkanie w Warszawie. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Warszawie od zakończenia wojny obowiązywał zakaz meldunku. Do zameldowania i zamieszkania w Warszawie były uprawnione osoby po uzyskaniu zgody władz miejskich. Zgoda taka była udzielana automatycznie na podstawie aktu nominacji przez ministrów i kierowników urzędów centralnych. Zakaz meldunku w Warszawie był rygorystycznie przestrzegany. Przykładem tego rygoryzmu była odmowa meldunku mojej teściowej do przedwojennego własnościowego mieszkania na Ochocie, przy ulicy Mianowskiego. Wniosek w tej sprawie został przez władze miejskie oddalony z uzasadnieniem: „*Mieszkanie obywatelki w Warszawie nie jest konieczne*”!

CUG został utworzony na podstawie dekretu z 8 października 1951 r. o państwowej służbie geologicznej. W uzasadnieniu dekretu jego autorzy stwierdzają m. in.: „*stan rozpoznania geologicznego kraju nie zabezpiecza życia gospodarczego państwa*”, „*plan sześcioletni zawiera lukę w postaci braku organizacji, która mogłaby plan prac geologicznych opracować i wykonać*”. Dekret powołał do życia państwową służbę geologiczną z Centralnym Urzędem Geologii jako naczelnym organem administracji państwowej w dziedzinie geologii. Poza tym powołał komórki geologiczne w urzędach wojewódzkich oraz resortowe służby geologiczne w resortach. Do zadań państwowej służby geologicznej należało:

- 1/ planowanie, projektowanie i wykonywanie prac geologicznych,
- 2/ poszukiwanie i rozpoznawanie złóż kopalin,

- 3/ projektowanie i rozpoznawanie zasobów wód podziemnych,
- 4/ projektowanie i wykonywanie wierceń dla ujęć wód podziemnych,
- 5/ projektowanie i wykonywanie badań geologiczno-inżynierskich dla potrzeb budownictwa,
- 6/ geologiczna obsługa eksploatacji kopalń.

Z czasem dekret był uzupełniany dalszymi aktami prawnymi, rozszerzającymi obowiązki i uprawnienia państwowej służby geologicznej o szeroką problematykę gospodarki złożami. Bardziej kompleksowe unormowania przyniosła ustawa o prawie geologicznym z 16.11.1961 r.

Tak więc CUG stał się pierwszym organem centralnej administracji państwowej w dziedzinie zarządzania badaniami wnętrza ziemi i w takiej formie dotrwał do roku 1985, kiedy wszedł w skład nowoutworzonego Ministerstwa Ochrony Środowiska. W tym okresie prezesami Centralnego Urzędu Geologii byli: prof. dr Andrzej Bolewski (1951–1956), doc. Mieczysław Mrozowski (1956–1972) i doc. dr Zdzisław Dembowski (1972–1985). Wiceprezesami byli przez długie lata m.in. prof. dr Zbigniew Tokarski, a później, już za moich czasów, dr Witold Olendski i mgr Jan Żytka.

Organizacja CUG obejmowała, poza Gabinetem Prezesa, kierowanym przez Sławomira Smoleńskiego, i wchodzącymi w jego skład działami prawa, kadr, współpracy z zagranicą i kontroli (pierwszym kierował Zbigniew Żółtowski – doskonały prawnik, współautor ustawy Prawo geologiczne) dwa człony: pierwszy, zajmujący się badaniami i poszukiwaniami geologicznymi oraz gospodarowaniem zasobami złóż kopalin i drugi, zajmujący się organizacją robót oraz nadzorem nad przedsiębiorstwami i finansami.

Pierwszym kierował wiceprezes Jan Żytka. Gospodarowaniem zasobami złóż kopalin zajmowały się dwa departamenty: badań geologicznych (poszukiwanie i rozpoznawanie złóż) oraz gospodarki złożami (zasady gospodarowania złożami, kryteria ich kwalifikowania, prowadzenie bilansu zasobów kopalin). Dyrektorami departamentów byli: departamentu gospodarki złożami – Jerzy Szawdyn, a departamentu badań geologicznych – Zbigniew Znański. Filarami tych departamentów byli głównie specjaliści m.in.: Ryszard Cichy, Kazimierz Żandarski (później dyrek-

tor departamentu), Marian Ciechanowski, Wacław Listkowski, Wojciech Fortuna, Sławomir Łodziński, później doszedł do nich Wojciech Salski jako wicedyrektor departamentu.

Drugi człon, kierowany przez wiceprezesa Witolda Olendskiego, odpowiedzialny był za organizację, technikę badań i ekonomikę. W jego skład wchodziły: departament produkcji i techniki oraz departament rozwoju. One sterowały procesami badań w terenie (prace wiertnicze i geofizyczne), do nich należał też nadzór nad przedsiębiorstwami geologicznymi i wiertniczymi. W tym też pionie usytuowana była cała problematyka finansowania badań geologicznych.



Autor z prezesem CUG, dr Zdzisławem Dembowskim.

Baza wykonawcza geologii podległa CUG nie była wcale taka mała. Obejmowała Instytut Geologiczny, dwa zjednoczenia przedsiębiorstw, dziesięć przedsiębiorstw geologicznych i wiertniczych, Ośrodek Badawczy Techniki Geologicznej, jedno przedsiębiorstwo geofizyczne, Wydawnictwa Geologiczne oraz przedsiębiorstwo produkcyjno-remontowe sprzętu wiertniczego. Razem było to kilka tysięcy zatrudnionych. Na

czele departamentu produkcji i techniki stał Jerzy Górski, geofizyk z wykształcenia, a jego zastępcą był Henryk Kaliński, z wykształcenia matematyk. Departament rozwoju był nowo zorganizowanym departamentem, ukierunkowanym na problematykę szeroko rozumianego rozwoju techniki, ekonomiki oraz organizacji.

Kierownictwo CUG przewidziało na funkcję dyrektora departamentu Bohdana Żakiewicza, który w tym czasie powrócił z Iraku, gdzie kierował budową kopalni siarki w Mishraku. Uchodził za autora nowoczesnej metody wydobycia siarki przez wypłukiwanie jej wodą ze złoża (tzw. metoda Frasha). Do nominacji Żakiewicza nie doszło, ponieważ wydział kadr Komitetu Centralnego PZPR nie wyraził na to zgody. Trzeba bowiem wiedzieć, że w PRL minister mógł mianować wybraną przez siebie osobę na stanowisko dyrektora departamentu dopiero po uzyskaniu zgody wydziału kadr KC PZPR. Wobec braku zgody prezes CUG powierzył mi stanowisko p.o. Dyrektora departamentu.



Autor (z prawej) z dr Stanisławem Jamrozem.

Na tym stanowisku przepracowałem dwa lata, jako p.o., ponieważ też nie było zgody K.C. na moją nominację. Moimi najbliższymi współpracownikami byli m.in. Leszek Koter w sprawach organizacji, Tomasz

Kusztal i Danuta Sidorowicz w sprawach ekonomicznych i finansowych, Tadeusz Dziedzicki w sprawach techniki, Maciej Rajecki w sprawach informatyki i Janina Dębicka w sprawach badań laboratoryjnych. Później doszli z Departamentu produkcji i techniki: Maryla Nyczaj w sprawach finansowo-księgowych i naczelnicy wydziałów, Tyrakowski i Fabiszewski.

W roku 1976 zostałem powołany na stanowisko wicedyrektora departamentu rozwoju. Zgodnie z pragmatyką powołanie na wicedyrektora departamentu nie wymagało zgody K.C., a tylko powiadomienia. Jeżeli komitet nie wyraził sprzeciwu, to powiadomienie takie uchodziło za akceptację. Moim szefem został Stanisław Jamróz, mój dotychczasowy zastępca. W roku 1976, obok zajmowanego stanowiska, dołączono mi obowiązek kierowania całą problematyką ekonomiczną i finansową departamentu produkcji i techniki. Tak więc zajmowałem równolegle dwa stanowiska: wicedyrektora departamentu rozwoju i wicedyrektora departamentu produkcji i techniki, co było pewnym ewenementem..

Zostałem też powołany na członka Kolegium Centralnego Urzędu Geologii oraz w skład Komisji do spraw oceny kryteriów bilansowości zasobów złóż kopalin stałych, uprawniających do ich przemysłowego wykorzystania.



*Na posiedzeniu Kolegium CUG.
Od lewej: dyr. Żurko, dyr. Michota i Autor.*

W sumie zespół CUG, a było to około 150 osób, był zespołem zgranym i sympatycznym. Nie bez znaczenia był fakt, że na czele urzędu stał zawsze pracownik naukowy, a nie funkcjonariusz partyjny, co było normalne w innych ministerstwach. Pierwszy prezes CUG, prof. Andrzej Bolewski (bezpartyjny), był już przed wojną znanym naukowcem. W czasie okupacji był współautorem opracowania dotyczącego wykorzystania surowców na nowych ziemiach zachodnich. Był członkiem grupy ekspertów, która brała udział w roku 1945 w konferencji poczdamskiej przy opracowywaniu polskich postulatów dotyczących przebiegu zachodniej granicy Polski (vide: Andrzej Bolewski „Z drogi do Poczdamu” – Wydawnictwo Literackie, Kraków).



Dyplom nadania stopnia górniczego.

Prezes Mrozowski był docentem geodezji górniczej na Akademii Górniczo-Hutniczej, a prezes Dembowski docentem w Instytucie Geolo-

gicznym. Mieli oni oczywisty wpływ na dobór kadry kierowniczej Urzędu. Dyrektorzy, wicedyrektorzy departamentów i specjaliści reprezentowali wysoki poziom profesjonalny, a ponadto, o czy miałem się w przyszłości przekonać, stanowili zgrany zespół. Z wieloma z nich zaprzyjaźniłem się na długie lata.

Do departamentu rozwoju należały też sprawy współpracy w dziedzinie techniki i ekonomiki z krajami należącymi do RWPG. Problemy związane z techniką prowadził mój zastępca, a później szef – Stanisław Jamróz – wraz z podległym CUG Ośrodkiem Badawczym Techniki Geologicznej (OBRTG). Do mnie należały sprawy z dziedziny ekonomiki i organizacji. Związane z tym były wyjazdy zagraniczne do krajów tzw. demokracji ludowej, co dawało mi okazję zapoznania się z problematyką ekonomiczną w tych krajach.



Przewodniczę na zebraniu ekspertów Stałej Komisji Geologii RWPG.

Z racji zajmowanego stanowiska byłem członkiem zespołu specjalistów ekonomicznych przy Stałej Komisji Geologii RWPG. W ramach tego zespołu, który zbierał się raz, czy dwa razy w roku, brałem udział w posiedzeniach (każdorazowo w innym kraju) w Czechosłowacji (Praga), Bułgarii (Asienowgrad), NRD (Guestrow), we Lwowie, Turkiestanie (Aszhabad) i Mongolii (Ułan Bator). Bywałem też członkiem delegacji ministerialnych do NRD, Węgier i Mongolii, oraz innych zespołów roboczych do Jugosławii, RFN, Kuwejt i Danii oraz do Libii i Tunezji.

W czasie wyjazdów miałem dobrą okazję nie tylko do poznania sposobu funkcjonowania przedsiębiorstw geologicznych w tych krajach, ale również poznania ludzi, wśród których byli tacy, z którymi się zaprzyjaźniłem i utrzymywałem w późniejszych latach stosunki koleżeńskie, a nawet przyjacielskie. W szczególności takie stosunki utrzymywałem z Niemcami: dr Knudem Saupe i dr Jochenem Parchmannem z Instytutu Geologicznego w Berlinie. Np. synowi dyrektora finansowego w Gommern, dziennikarzowi, umożliwiłem pobyt i zwiedzanie Gdańska, ponieważ był szczególnie zainteresowany twórczością Güntera Grassa, który w tamtym czasie nie był w NRD wydawany. Ze współpracy z Rosjanami wyniosłem z kolei bardzo pozytywne wrażenie o ich zawodowej kompetencji.

Kontakty służbowe z zagranicznymi przedsiębiorstwami i instytucjami geologicznymi pozwalały zauważyć nie tylko różnice w organizacji państwowej służby geologicznej, ale i w sposobie funkcjonowaniu gospodarki, funkcjonowania prawa, jak i w sposobie życia obywateli w krajach demokracji ludowej. Służba geologiczna istniała we wszystkich państwach RWPg, z tym, że jej organizacja była różna.

W Związku Radzieckim i w NRD funkcjonowały ministerstwa geologii. W Polsce i w Czechosłowacji istniały centralne urzędy geologii, a więc organizacje usytuowane szczebel niżej, niż ministerstwa. W Bułgarii, Rumunii i Mongolii służby geologiczne były umiejscowione w ministerstwach górnictwa lub przemysłu ciężkiego, a kierownikiem ich był jeden z wiceministrów danego resortu. Wbrew pozorom, usytuowanie służby geologicznej miało wpływ na znaczenie, jakie im w danym państwie nadawano.

Minister geologii był członkiem rady ministrów i sam referował tę problematykę na Radzie Ministrów. Prezesi centralnych urzędów nie byli członkami Rady Ministrów i problemy geologii w tym gronie przedstawiali ich właściwi wicepremierowie, a usytuowane w ministerstwach służby geologiczne podlegały danemu ministrowi. Każdy, kto orientuje się w organizacji centralnych i naczelnych organów państwowych wie, jakie to ma znaczenie w praktyce. Np. w Polsce istniały kontrowersje pomiędzy ministerstwem górnictwa, jak i innych ministerstw, którym były przyporządkowane przemysły wydobywcze, a Centralnym Urzędem Geologii. Pierwsze były zainteresowane głównie maksymalizacją wydo-

bycia, a drugie racjonalnym gospodarowaniem złożami. Konflikty na tym tle były rozstrzygane często w zależności od tego, do kogo należało prawo decyzji.

Pomiędzy krajowymi służbami geologicznymi była współpraca i niekiedy współdziałanie, koordynowane przez organy Rady Wzajemnej Współpracy Gospodarczej. Takimi organami RWPG były Stałe Komisje Branżowe. Na czele każdej z nich stał minister innego kraju. I tak, polski minister górnictwa stał na czele Stałej Komisji Górnictwa RWPG. Na czele Stałej Komisji Geologii stał minister górnictwa Mongolii. Członkami stałych komisji byli ministrowie poszczególnych krajów, reprezentujący dane branże. W posiedzeniach stałej komisji brali udział również wyznaczeni przez kierowników resortów specjaliści i eksperci. Ja dwukrotnie byłem członkiem delegacji polskiej na posiedzeniach Stałej komisji Geologii; raz było to w Bad Tabarz w NRD, a drugi raz w Gdańsku.



Delegacja polska na posiedzenie Grupy Geologicznej Komisji RWPG. Stoją od lewej: dyr. J. Malinowski, dyr. T. Piszczek, dyr. R. Łabuś, wiceprezes J. Żytka, prezes Z. Dembowski, dyr. S. Smoleński, Autor.

Podczas posiedzenia Komisji Stałej Geologii w Gdańsku, w roku 1977, przypadała sześćdziesiąta rocznica rewolucji październikowej. W zwyczaju krajów demokracji ludowych było manifestowanie wiernopoddańczych uczuć do Kraju Rad. Gospodarz posiedzenia – przewodniczący

delegacji polskiej – zgłosił na początku posiedzenia propozycję wystosowania adresu do geologów radzieckich z okazji tej rocznicy z życzeniami oraz podziękowaniem za pomoc w organizacji służb geologicznych w krajach RWPG. Przewodniczący delegacji poszczególnych krajów kolejno zabierali głos i entuzjastycznie wyrażali poparcie dla wniosku. Aż doszło do delegacji Rumunii, której przewodniczący nie zgodził się z zaproponowaną treścią listu, ponieważ, jak oświadczył, geolodzy radzieccy w niczym nie pomogli Rumunii w organizacji służby geologicznej. Na sali zapanowała konsternacja. Coś takiego się jeszcze nie zdarzyło. Przewodniczący poszczególnych delegacji, jeden przez drugiego, apelowali do Rumunów o zmianę stanowiska i przyłączenie się do wiernopoddanego adresu. Rumuni pozostali przy swoim. Wówczas był to incydent wyjątkowy i oczywiście był szeroko komentowany.

Mile też wspominam sesje wieczorowe spotkań delegacji. Organizacja tych spotkań była podobna. Najpierw przemówienia przewodniczących delegacji, według alfabetu rosyjskiego, z wzniosłymi toastami. Miałem z tym największy kłopot. Jako przewodniczący delegacji musiałem wnosić toasty, a moja znajomość języka rosyjskiego była mierna. Wobec tego przed spotkaniem układałem sobie treść toastu w języku rosyjskim. Ta treść nie była bez znaczenia. Byłem w środku wznoszących toast i drżałem, ażeby nikt z moich przedmówców nie „zabrał” mi tematu toastu, bo musiałbym wymyślić inny. Wobec tego wymyśliłem sobie stały temat, nieczęsto poruszany przez innych. Był to temat na cześć kobiet z danego kraju, zawodu, aktualnego w danym momencie środowiska, co spotykało się na ogół z aplauzem „*Ten Polak to tylko o kobietach myśli*”.

Rozmowy przy stole toczyły się na różne tematy. Było też opowiadanie kawałów, z wyjątkiem kawałów politycznych. Ale raz zdarzył się wyjątek. Spotkanie ekspertów Stałej Komisji Geologicznej odbywało się w Czechosłowacji. Ulokowano nas pod Pragą w pięknym pałacu, usytuowanym w parku, należącym wtedy do Czeskiej Akademii Nauk. Wyjść nie było gdzie, a i pogoda była nie ta. Jako delegacja polska zaprosiliśmy pozostałe delegacje na wieczór polski. „Sesja” wieczorna odbywała się tradycyjnie. Była uroczysta kolacja, były toasty, były przednie alkohole. Aż doszło do opowiadania kawałów. Towarzystwo było już pod dobrym gazem i ktoś nieopatrznie opowiedział niewinny kawał polityczny. Śmiechu było dużo.

Następny kawał opowiedział przewodniczący delegacji radzieckiej: „*Ze szkoły wraca syn i przy kolacji opowiada, co się zdarzyło w szkole. Mówi, że nauczyciel opowiadał o zasadach organizacji państwa, ale w taki sposób, że on (ten syn) niewiele rozumiał. Wobec tego tata próbuje mu wyjaśnić istotę organizacji państwa socjalistycznego: na czele państwa stoi partia, która – tak jak w rodzinie ojciec – myśli i planuje, skąd i ile potrzeba pieniędzy na utrzymanie rodziny, co robić, żeby rodzina funkcjonowała należycie itd. Rząd – tak jak w rodzinie mama – otrzymuje pieniądze zarobione przez ojca, kupuje ubrania, kupuje jedzenie, gotuje, sprząta itp. Rozumiesz teraz? Synek potakuje. Ale po chwili przychodzi do ojca i pyta: a co z babcią? Tata odpowiada: a babcia tak jak związki zawodowe: do wszystkiego się wtrąca, a ma gówna do powiedzenia.*”

Po salwie śmiechu drugi członek delegacji, nie chcąc być gorszy, przychodzi z drugim kawałem: „*Anglik, Francuz i Rosjanin dyskutują jakiej narodowości byli Adam i Ewa. Anglik mówi, że byli Anglikami, Francuz, że Francuzami, a Rosjanin, że Rosjanami. I każdy przedstawia swoje argumenty: Anglik mówi, że Adam pozwolił sobie żebro wyjąć, żeby bóg mógł stworzyć Ewę więc był dżentelmenem, a wiadomo, że wzorem dżentelmena są Anglicy. Francuz mówi, że Ewa jest uosobieniem kobiecości, a to Francuzki są uosobieniem kobiecości, a więc Ewa była Francuzką. Rosjanin utrzymuje, że Adam i Ewa byli Rosjanami, bo kto inny niż Rosjanin latałby z gołą dupą i twierdził, że jest w raj.*”

Kawał ten się oczywiście zdezaktualizował. Związek Radziecki przestał być „przodującym” i najlepszym na świecie krajem, w którym obywatele żyli w pełni szczęścia. Ale w tamtych czasach taka opinia o ZSRR była obowiązująca. Przy okazji służbowych wyjazdów zagranicznych mogliśmy zaobserwować również inne obyczaje, które obowiązywały naszych kolegów z demoludów przy ich wyjazdach zagranicznych, a które nam nie były na szczęście znane. Np. szeroko było wiadomym, że Rosjanie nigdy w pojedynkę nie rozmawiali, czy spacerowali z nami. Zawsze było ich wtedy kilku i zawsze był wśród nich ich urzędowy „opiekun”. A koledzy z NRD byli poddawani przez funkcjonariuszy resortowych kontroli bagażu w pociągu, którym jechali do zaprzyjaźnionych krajów (do innych nie mogli w ogóle jechać).

Szczególnie zdziwił mnie przypadek, którego osobiście doświadczyłem. W roku 1980 udałem się z Basią samochodem na urlop po Euro-

pie Zachodniej. M.in. byliśmy nad Jeziorem Bodeńskim, skąd wysłałem widokówkę do mojego kolegi, Jochena Parchmanna z Instytutu Geologicznego w Berlinie (NRD). Zobaczyłem się z nim dopiero po roku, albo później. I wtedy w pierwszych słowach powiedział: „*Nie przysyłaj mi pocztówek z krajów zachodnich. - Dlaczego? - Bo ja muszę taką pocztę natychmiast przedstawić w dziale kadr Instytutu i tłumaczyć się. Listonosz zrobił to zresztą wcześniej.*” Takiej inwigilacji jednak w Polsce nie mieliśmy.

W czasie mojej pracy w CUG miało miejsce szczególne wydarzenie, a mianowicie wizyta I-go sekretarza PZPR Edwarda Gierka. W historii CUG takie wydarzenie miało miejsce po raz pierwszy. Młodszym czytelnikom trzeba wyjaśnić, że w systemie komunistycznym przywódcą narodu był I-szy sekretarz partii. Nie przewodniczący Rady Państwa, nie premier, ale właśnie I-szy sekretarz, mimo że nie wynikało to z konstytucji i mimo że nie pochodził on z wyboru obywateli, a jedynie z wyboru Zjazdu Członków PZPR. Tak było we wszystkich państwach obozu komunistycznego. Taki styl rządzenia państwem narzucił Stalin. W efekcie, na szczeblu centralnym ukształtowały się trzy kręgi władzy. Pierwszy krąg, to biuro polityczne partii i sekretarze komitetu centralnego. Drugi krąg, to rada ministrów. Dopiero w trzecim kręgu znajdowali się m.in. szefowie urzędów centralnych, a wśród nich prezes CUG.

Kontakty między tymi kręgami nie były ani proste, ani łatwe. Na przykład, prezes Centralnego Urzędu Geologii nie był członkiem Rady Ministrów. Nie mógł więc wносить na posiedzenia rządu swoich spraw. Musiał to robić przez wiceprezesa Rady Ministrów, któremu polegał. Łatwiej było mu działać, jeżeli miał poparcie w najwyższym kręgu władzy, tj. w komitecie centralnym, a zwłaszcza, gdyby miał poparcie I-go sekretarza. Taką okazją była wizyta I-go sekretarza w danym resorcie. Stąd o taką wizytę zabiegał każdy szef resortu. Było to więc wielkie wydarzenie w resorcie. Było ono uzasadnione znakomitymi wynikami służby geologicznej, której prace poszukiwawcze i rozpoznawcze dały wyniki w postaci złóż miedzi, siarki, rud żelaza itp.

Spotkanie z Gierkiem odbyło się w Instytucie Geologicznym przy ulicy Rakowieckiej. W tym kręgu znalazłem się i ja. Oprócz oficjalnych wystąpień prezes CUG przedstawił Gierkowi poszczególne osoby, z którymi Gierek wymieniał uścisk dłoni. Jeżeli chodzi o mnie, to muszę po-

wiedzieć, że Gierek mnie wyraźnie „olał”. Prezes Dembowski przedstawił mnie jako czołowego ekonomistę resortu odpowiedzialnego za ekonomikę poszukiwań i prac rozpoznawczych, na co Gierek odpowiedział: „Wy tylko te surowce odkrywajcie, to już będzie dobrze”. Z tego spotkania mam tylko zdjęcie z Gierkiem.



Spotkanie z Edwardem Gierkiem. Od lewej: prezes Z. Dembowski, Edward Gierek, dwaj robotnicy, Autor i Stanisław Czyżewski.

W efekcie, pod koniec mojej pracy w Centralnym Urzędzie Geologii kierowałem całą problematyką resortu w dziedzinie ekonomiki i finansów, piastując stanowiska wicedyrektora departamentu rozwoju i departamentu produkcji i techniki, a także byłem członkiem kolegium CUG i wiceprzewodniczącym komisji do oceny kryteriów bilansowości zasobów złóż kopalin stałych.

Gospodarka w socjalizmie nie miała nic wspólnego z zasadami gospodarki rynkowej. Zastępował ją tzw. system nakazowo-rozdzielczy. Podstawą decyzji gospodarczych były nakazy, które wskazywały cele i sposób ich realizacji przez jednostki gospodarcze. Nakazy te często pozostawały w sprzeczności z prawami rynku, ale ich naruszenie mogło stanowić i stanowiło podstawę postępowania karnego. Decydenci byli zmuszani do wyszukiwania pretekstów do podejmowania decyzji sprzecznych z nakazami ogólnymi. Sam niejednokrotnie wynajdować

musiałem preteksty do podejmowania sensownej decyzji. Oto kilka przykładów:

1/ Będąc jeszcze w Gdańsku zorganizowałem dla załogi ośrodek wypoczynkowy w Gowidlinku na Kaszubach. Działalność inwestycyjna była działalnością odrębną od normalnej działalności produkcyjnej przedsiębiorstwa. Nad jeziorem w Gowidlinku plany zagospodarowania nie przewidywały zabudowy obiektami rekreacyjnymi. Ponadto przedsiębiorstwo nie dysponowało środkami inwestycyjnymi i nie figurowało to w planie inwestycyjnym. Mimo to ośrodek powstał. Wykorzystałem poufny przepis zobowiązujący przedsiębiorstwo do zorganizowania na wypadek wojny bazy zaopatrzenia w wodę. Na tej podstawie, omijając wszystkie nakazy, zorganizowałem, na bazie istniejących obiektów, dom wczasowy, budynek administracyjny oraz piękne moło wychodzące na jezioro.

2/ Przedsiębiorstwo dysponowało w Gdańsku-Oruni bazą transportową niespełniającą warunków do eksploatacji i przeglądów środków transportowych. Mój wniosek o przeprowadzenie modernizacji spotkał się z odmową władz urbanistycznych „*ponieważ plany zabudowy dzielnicy przewidywały w tym miejscu budowę ulicy*”. Na mnie spoczywał obowiązek stworzenia warunków technicznych do umożliwienia codziennego przeglądu technicznego pojazdów. Nie chcąc popaść w kolizję z przepisem o gospodarce transportowej, przekroczyłem przepis zakazujący mi przeprowadzenia inwestycji budowy myjni samochodowej i wybudowałem myjnię poza planem inwestycyjnym. Organy ścigania dowiedziały się o tym i ta moja decyzja stała się przedmiotem postępowania karnego. Przyznałem się do winy, ale na szczęście postępowanie umorzono.

3/ Jako odpowiedzialny za transport w przedsiębiorstwie zostałem wezwany przez Przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej w Gdańsku (Tadeusz Bejm) na godzinę 7-mą rano na Westerplatte. Stawili się dyrektorzy przedsiębiorstw budowlanych, którym przewodniczący Bejm nakazał dostarczenie na określone dni środki transportowe potrzebne do budowy pomnika, w związku ze zbliżającą rocznicą wybuchu II-jej wojny światowej. Miało to się odbyć na koszt przedsiębiorstwa. Polecenie oczywiście wykonano.

4/ Przedsiębiorstwo zakupiło w Austrii samochody ciężarowe marki Steyer. W drodze z fabryki do siedziby przedsiębiorstwa samochody

zostały na Śląsku zatrzymane przez milicję i skierowane na budowę Huty Katowice. Na interwencję przedsiębiorstwa milicja odpowiedziała, że to tylko na okres czasowy, na polecenie tow. Grudnia (I-szy Sekretarz KW w Katowicach i członek Biura Politycznego).

5/ Centralny Urząd Geologii został zobowiązany przez Radę Ministrów do zorganizowania wykonawstwa głębokich otworów wiertniczych. Wymagało to importu specjalnych, ciężkich urządzeń wiertniczych oraz rur o specjalnych parametrach technicznych. Zamówienia z paroletnim wyprzedzeniem złożono, m.in. w Japonii na rury. Po jakimś czasie z planu tego zrezygnowano. Zamówienia importowe na urządzenia wiertnicze anulowano, ale zapomniano anulować zamówień na specjalistyczne rury wiertnicze, dlatego że w obowiązującej nomenklaturze nie stanowiły one środków trwałych, a środki obrotowe.

Po paru latach rury zaczęły przychodzić, ale nie były już potrzebne. Co więcej, z uwagi na niewspółmierną wysoką cenę nikt ich w Polsce nie chciał kupić. Normatyw zapasów materiałowych, jaki przedsiębiorstwo obowiązywał i jaki był wg. planu sfinansowany, został wydatnie przekroczony do tego stopnia, że zainteresował się tym premier Jaroszewicz, który zażądał wyjaśnień. Sprawę zatuszowano układami. Mój kolega ze studiów, Janek Waseńczuk, był wiceprezesem Narodowego Banku Polskiego – monopolisty bankowego w PRL. Udałem się do niego o pomoc. Poradził mi, żebym przyszedł do niego z szefem CUG i po rozmowie prezesów przy kawie polecił udzielić specjalnego kredytu na sfinansowanie zapasów ponadnormatywnych, kończąc rozmowę słowami „*co się nie robi dla starych kolegów*”. Zakończenie afery nastąpiło dopiero wtedy, kiedy znalazł się inwestor, który miał środki finansowe, ale nie miał przydziału na rury i który zakupił je jako rury kanalizacyjne, mimo ich wysokiej ceny. Było to oczywiście horrendalnym marnotrawstwem.

Poza bieżącymi problemami, z jakimi się parał departament, prowadziłem w latach 1974-1976 osobiście dwa tematy, jakby się dzisiaj powiedziało: dwa produkty, ważne z punktu widzenia resortu. Były to sprawy usprawnienia funkcjonowania przedsiębiorstw podległych CUG i sprawa zmiany finansowania prac geologicznych w kraju. Pierwszy temat wynikał z takiej oto refleksji: Przedsiębiorstwa podległe CUG były zorganizowane na wzór innych przedsiębiorstw działających w kraju. Nie było w ich organizacji żadnych elementów wynikających ze specyfiki

badan geologicznych. Działyły w nich zarządy w składzie: dyrektor, zastępca d/s. technicznych i zastępca ds. ekonomicznych oraz rada robotnicza, organizacja związkowa i podstawowa organizacja PZPR. Wszystkie te organizacje miały umocowanie w obowiązujących przepisach prawnych.

W pionie produkcyjnym tych przedsiębiorstw funkcjonowały dwa podpiony: badań geologicznych i wierceń. Oczywiście pionem wiodącym z punktu widzenia celu działania przedsiębiorstwa był pion badań geologicznych, który ustalał programy badań, sprawował nadzór geologiczny nad pracami wiertniczymi oraz opracowywał dokumentację geologiczną. Wiercenia stanowiły środek do celu, jakim była dokumentacja geologiczna. Tymczasem priorytet w działalności przedsiębiorstwa stanowiły problemy pionu wiertniczego. Dlaczego? W organizacjach społecznych i politycznych przedsiębiorstwa funkcje wiodące sprawowali pracownicy pionu wiertniczego, bo po prostu oni stanowili znakomitą większość załogi.

Środki produkcji (urządzenia wiertnicze, park maszynowy, park transportowy, warsztaty pracujące na rzecz tego parku), ich funkcjonowanie i koszty pracy wywierały decydujący wpływ na ekonomikę przedsiębiorstwa. W tej sytuacji problematyka produkcyjna pionu wiertniczego była dla przedsiębiorstwa ważniejsza z punktu widzenia jego efektywności ekonomicznej, niż pionu geologicznego. Ponadto efekty działania przedsiębiorstwa w aspekcie rzeczowym mierzono ilością odwierconych metrów. Maksymalizacja ilości metrów wierceń przeważała w podejmowanych decyzjach częściowych. Niezależnie od tego, metr wierceń jako jednostka pomiaru był wskaźnikiem iluzorycznym, jako że metr wierceń różnił się diametralnie od tego w jakim celu był wykonywany. Inny był w wiertnictwie głębokim, inny w wiertnictwie hydrogeologicznym, a inny w geologii inżynierskiej. Niekiedy wiercono więcej niż to z punktu widzenia celu przedsiębiorstwa (dokumentacji geologicznej) było potrzebne.

Mówiąc skrajnie: ponoszono koszty zbędne z punktu widzenia ekonomicznego. Taka sytuacja trwała latami, podobnie jak w innych krajach RWPG. Było więc ze wszech miar celowe znalezienie innego sposobu postępowania w tej materii. Po wielu dyskusjach i badaniach zaproponowałem zmianę organizacji przedsiębiorstw geologicznych resortu.

Moja propozycja, którą przyjęto na kolegium CUG, wyglądała następująco: zlikwidowano dwa zjednoczenia przedsiębiorstw geologicznych, utworzono w ich miejsce trzy kombinaty geologiczne. W każdym kombinacie wyodrębniono organizacyjnie zakład badań geologicznych, podporządkowując temu zakładowi, jako zakładowi wiodącemu, kierownictwo całego kombinatu. Prace wiertnicze skoncentrowano w zakładach wiertniczych, których było kilka w każdym kombinacie. W ten sposób zlikwidowany został prymat wiertnictwa (metrów) nad geologią. Podniesiono za to w całej organizacji wagę i znaczenie zakładu badań geologicznych, który stał się de facto zleceniodawcą dla zakładów wiertniczych. Zlikwidowano w ten sposób konflikt między tymi pionami w przedsiębiorstwie.

Sprawa nie była łatwa do przeprowadzenia, gdyż natrafiono na konflikty interesów, w szczególności kadr zarządzających, bowiem obniżono status przedsiębiorstwa przekształcając je w zakład, a zjednoczeń w przedsiębiorstwa. Dyskusja na kolegium CUG była gorąca, przy czym wytaczano argumenty nawet ideologiczne. Praktyka gospodarcza potwierdziła jednak zasadność przyjętej koncepcji. Może o tym świadczyć sytuacja, jaka nastąpiła po transformacji roku 1989. Wszystkie przedsiębiorstwa resortu w wyniku transformacji wprawdzie sprywatyzowano, ale w żadnych z nich nie doszło do połączenia pionu geologicznego z wiertniczym.



Wyjazd na konferencję.

Od lewej: NN, Ryszard Cichy, NN, S. Łodziński, NN i Autor.

Drugim takim tematem była zmiana finansowania prac geologicznych w skali kraju. Gros prac geologicznych był finansowany z budżetu państwa. Było to dla przedsiębiorstw resortu bardzo niewygodne. System funkcjonowania przedsiębiorstw w systemie socjalistycznym przewidywał m.in. określony tryb postępowania przy zamawianiu sprzętu i materiałów, w tym wyprzedzające terminy zamówień. Wymagane wyprzedzenie było określane, w zależności od rodzaju zamawianych urządzeń czy materiałów, w kilku, czy kilkunastu miesiącach, a w szczególnych przypadkach (np. importu) nawet w latach.

Budżet był znany praktycznie dopiero na początku roku. Stąd przedsiębiorstwa miały trudności z zachowaniem obowiązującego terminu zamówień materiałów i sprzętu. Ponadto, finansowanie z budżetu prac geologicznych oznaczało, że inwestorzy otrzymywali dokumentację geologiczną rozpoznanych złóż zasobów kopalin nieodpłatnie i ich wartość nie wchodziła do wartości złóż.

Po wielu badaniach i dyskusjach zaproponowałem utworzenie poza budżetem państwa centralnego funduszu finansowania prac geologicznych administrowanego przez CUG. Według tej koncepcji środki funduszu pochodziłyby z narzutu na przedsiębiorstwa eksploatujące złoża. W ten sposób powstałyby fundusz zlikwidowałby mankamenty istniejącego systemu finansowania prac geologicznych, a ponadto jego utworzenie byłoby zgodne z logiką systemu. Czas od koncepcji do realizacji trwał kilka lat. Przede wszystkim koncepcja została zakwestionowana przez resorty inwestorskie. Argumentem był wzrost kosztów prac geologicznych u inwestora. Ale z jeszcze większym sprzeciwem spotkała się koncepcja w ministerstwie finansów, które strzegło zasady czystości budżetowej. Ministerstwo finansów było z zasady przeciwne finansowaniu czegokolwiek poza budżetem. Po kilku podejściach, po długich dyskusjach, udało się namówić departament odpowiedzialny za finansowanie prac geologicznych w Ministerstwie Finansów do umieszczenia koncepcji funduszu finansowania prac geologicznych w porządku obrad prezydium kolegium ministerstwa finansów.

Prezydium składało się z ministra finansów i jego dziesięciu zastępców. Ministrem finansów był wicepremier Kisiel. Z ramienia CUG w posiedzeniu wzięli udział: prezes Zdzisław Dembowski i ja. Prezes przedstawił koncepcję i jej uzasadnienie, a ja odpowiadałem na szczegó-

łowe pytania. Dyskusja była wnikliwa i długa. Wypowiadali się wszyscy wiceministrowie i wszyscy wypowiadali się negatywnie. Na szczęście, inne zdanie miał wicepremier Kisiel, któremu nasz projekt się spodobał i który polecił wiceministrowi Madeyowi dopracowanie z przedstawicielami CUG szczegółów i doprowadzenie sprawy do końca. I tak też się stało.

Fundusz finansowania prac geologicznych został utworzony i funkcjonował długie lata i, o ile wiem, funkcjonuje do dzisiaj, chociaż w zmienionej formie. CUG (później Ministerstwo Środowiska) i przedsiębiorstwa geologiczne odczuły jego pozytywne działanie szczególnie w latach 1990-1995, kiedy zapas finansowa pociągnęła za sobą krach budżetowy. Gdyby w tym czasie nie funkcjonował fundusz finansowania prac geologicznych, upadek przedsiębiorstw geologicznych nastąpiłby nieuchronnie.

Problematyka rozwoju, umiejscowiona w przedmiocie działania departamentu rozwoju, była jednak ograniczona do spraw techniki i ekonomiki wykonawstwa prac geologicznych. Problematyka rozwoju bazy surowcowej przynależała do departamentów geologicznych CUG. Nie ukrywałem, że problematyka ta mnie szczególnie interesowała, tym bardziej, że w tym czasie (lata 1970-1975) trwała ożywiona dyskusja w świecie, jak i u nas w kraju, na temat raportu Klubu Rzymskiego o granicach wzrostu (*The Limits of Growth*. D. Meadows), który z ostrością stawiał problem wyczerpywania nieodnawialnych zasobów naturalnych. W krajach gospodarki planowej literatura na temat ekonomicznej oceny zasobów, na temat wyceny zasobów w warunkach gospodarki planowej, znajdowała się głównie w ZSRR, gdzie naukowcy próbowali podejmowania tych tematów. Próby te nie wyszły poza rozważania naukowe i do praktyki gospodarczej nie weszły. W NRD zajmował się tym prof. Stammberger z Berlina, a w Jugosławii prof. Milutinowicz z Belgradu, który próbował pogodzić ekonomikę socjalizmu z kapitalizmem. Miałem okazję z nim na ten temat dyskutować.

Ale wszystko to odbywało się w granicach teorii. W ramach utworzonego przeze mnie Koła Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego przy CUG zorganizowałem dyskusję na ten temat z udziałem prof. dr Zdzisława Sadowskiego (późniejszy wicepremier) i kadry kierowniczej urzędu. Wspólnie z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie zorganizowa-

liśmy też konferencję naukową pt. „*Ekonomiczna ocena zasobów surowców mineralnych*”, z udziałem naukowców krajowych i zagranicznych. Przewodniczącą komitetu organizacyjnego była prof. Anna Jankowska z Akademii Górniczo-Hutniczej, a ja wiceprzewodniczącym i sekretarzem naukowym.



*W gabinecie Prezesa. Siedzą od lewej: B. Orłowski i S. Smoleński.
Stoją od lewej: pani Jamróz, Autor, NN, Z. Werbanowski,*

Tematykę tę poruszałem także w moich publikacjach. Wyniki mojego zainteresowania tą problematyką opracowałem w pozycji wydanej drukiem w Instytucie Geologicznym pod tytułem „*Sterowanie gospodarką zasobami surowców mineralnych*”, w której zawarty jest przegląd koncepcji ustalania ceny zasobów surowców mineralnych w ramach gospodarki socjalistycznej. Próbowałem też korygować poglądy samego Karola Marksa (!), który dzielił sferę produkcji materialnej na cztery sektory: rolnictwo, przemysł wydobywczy, przemysł przetwórczy i transport. Ja uzasadniałem zasadność wyodrębnienia sektora piątego – prac geologicznych.

Kombinat Geologiczny "Północ" 1978-1982

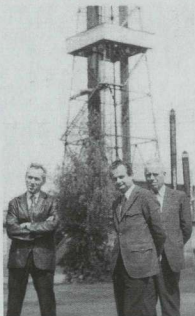
W roku 1977 podległy Centralnemu Urzędowi Geologii Kombinat Geologiczny „Północ” wykazał pokaźne straty w działalności gospodarczej. Były one na tyle poważne, że kierownictwo urzędu zdecydowało zmienić zarząd kombinatu. Szefostwo zaproponowano Staszewi Jamrozowi, ówczesnemu dyrektorowi departamentu rozwoju w CUG. Staszek zgodził się pod warunkiem, że pójdę z nim jako zastępcą.

Początkowo ten warunek nie mógł być spełniony. Ani ja, ani kierownictwo urzędu się na to nie godzili. Z czasem jednak opory złagodniały. Jeżeli chodzi o mnie, to decydujące znaczenie miało to, że funkcjonująca organizacja wykonawstwa geologicznego, kombinaty geologiczne, była mojego autorstwa i przeciwnicy tej koncepcji próbowali mnie obciążać winą za efekty ekonomiczne jednego z kombinatów. Postanowiłem więc podjąć wyzwanie i razem ze Staszkiem wyciągnąć kombinat z tarapatów i udowodnić, że to nie nowa organizacja wykonawstwa była przyczyną strat, co zresztą nam się udało.

Drugim powodem, choć nie najważniejszym, były znacząco lepsze warunki finansowe. Trzeba bowiem wiedzieć, że w PRL-u kadra kierownicza przedsiębiorstw była znacznie lepiej wynagradzana, niż kierownicza kadra urzędnicza administracji centralnej. Prezes Dembowski w końcu ustąpił chcąc mi wynagrodzić wstrzymanie mojego awansu przez czynniki partyjne. Zgoda była warunkowa, bowiem oprócz funkcji zastępcy dyrektora kombinatu miałem pełnić równoległe funkcję doradcy prezesa CUG ds. ekonomicznych. Na ten warunek chętnie przystałem, ponieważ umożliwiało mi to zajmowanie się szerszą problematyką ekonomiczną.

1 lipca 1978 r. zarząd Kombinatu Geologicznego „Północ” ukształtował się w składzie: dyrektor naczelny Stanisław Jamróż, dyrektor ds. geologicznych Wacław Listkowski, a ja objąłem funkcję dyrektora ds. ekonomicznych. Do moich obowiązków należała problematyka ekonomiczno-finansowa, sprawy zatrudnienia i płac, polityka inwestycyjna i zaopatrzeniowa oraz prowadzenie spraw eksportu usług geologicznych. Ponadto, zgodnie z odrębnym pisemnym ustaleniem, doradztwo prezesa CUG w sprawach ekonomicznych.

W kombinacie pracowało ponad trzy tysiące ludzi. W jego skład wchodziły zakłady: Badań Geologicznych i Dokumentacji (jako zakład wiodący), Zakład Robót Wiertniczych w Warszawie, Zakład Robót Wiertniczych w Gdańsku i Zakład Robót Wiertniczych w Łodzi. Kombinat prowadził badania geologiczne i roboty wiertnicze na terenie północnych województw, głównie w zakresie geologii złożowej, hydrogeologii i geologii inżynierskiej.



Wizytacja na otworze wiertniczym Września. Od lewej: wiceprezes CUG - dr Witold Olendski, Autor, dyrektor Zjednoczenia - Pilch.

Były wśród nich roboty o znaczeniu ogólnokrajowym, jak np.: poszukiwanie i rozpoznawanie zasobów złóż rud żelaza w rejonie Suwałk (w następnych latach roboty rozpoznawcze wstrzymano mimo uzyskania kredytu zagranicznego), roboty odwodnieniowe eksploatowanego złoża węgla brunatnego w rejonie Bełchatowa, roboty odwodnieniowe elektrowni w Żarnowcu na Pomorzu (na początku lat 1970. ze względów ekonomicznych roboty wstrzymano), wiercenia badawcze dla Instytutu

Geologicznego (kombinat odwierteł m.in. najgłębszy w tym czasie otwór wiertniczy – 5904 metrów głębokości, we Wrześni). Prowadzono wiercenia geotermalne, wiercenia szeroko dymensyjne, prace kotwiariskie dla warszawskiego metra oraz ekrany antyfiltracyjne na wałach przeciwpowodziowych cieków wodnych.

Kombinat prowadził też prace wiertnicze za granicą: w Libii (wiercenia naftowe), Kuwejcie (wiercenie 500 głębokich studni). W Republice Federalnej Niemiec, w Dolnej Saksonii, w rejonie Hanoweru, zakład kombinatu w Warszawie prowadził przez kilka lat roboty wiertnicze, naftowe. Pracowało tam około 100 ludzi. Z tego tytułu wyjeżdżałem wielokrotnie na negocjacje i podpisywanie kontraktów do Libii, Kuwejtu, a szczególnie często do RFN-u. Długoletnia współpraca z firmami niemieckimi prowadziła do bliskich kontaktów z firmami ITAG, DEUTAG i z ich kadrą kierowniczą: M. Mooshammerem, Meissnerem, Noewigiem. Współpraca była bardzo dobra, a praca naszych załóg była przez nich też tak oceniana.

W Kombinacie Geologicznym „Północ” pracowałem do 30. 04. 1982. W tym okresie przeżyłem wydarzenia buntu robotniczego i powstanie Solidarności oraz stan wojenny. Dla mnie wydarzenia związane z powstaniem Solidarności zaczęły się w lipcu 1980 r., gdy wybuchły pierwsze strajki na tle płacowym. Nasz Kombinat miał warsztaty naprawcze w Lublinie. Dostałem informację, że i w tym zakładzie wybuchł strajk. Jako odpowiedzialny za problemy zatrudnienia i płac w kombinacie udałem się do Lublina na spotkanie z załogą podległych warsztatów. Spotkanie odbyłem stosunkowo łatwo i tego samego dnia wróciłem do Warszawy.

Problemy strajkowe w Lublinie władze po kilku dniach opanowały, ale za kilka dni sprawy zaczęły nabierać szerszego charakteru. Wybuchł słynny strajk w stoczni gdańskiej, który rozlał się na cały kraj. W połowie sierpnia byłem w Gdańsku i mogłem to obserwować bezpośrednio. Do dzisiaj pamiętam puste ulice, brak tramwajów. Takiego buntu jeszcze w socjalizmie nie było. Rząd uznał za konieczne podjąć rozmowy ze strajkującymi.

Ostatni tydzień sierpnia przebywałem na delegacji w RFN, gdzie podpisywaliśmy kolejny aneks do umowy na roboty wiertnicze w tym kraju. Końcówkę strajku gdańskiego obserwowałem z tamtejszej per-

spektywy. Do kraju wróciłem 31 sierpnia i już na lotnisku dowiedziałem się o podpisaniu porozumienia strajkujących z rządem.

Jednak podpisanie porozumienia nie zlikwidowało napięć społecznych. Do listopada trwały utarczki w poszczególnych przedsiębiorstwach na tle płacowym i nie tylko. Również w naszym kombinacie. W Zakładzie Robot Wiertniczych w Gdańsku załoga zażądała spotkania z szefem resortu w sprawie podniesienia płac. Pamiętam spotkanie na początku września, w którym udział wziął prezes Dembowski, kadra kierownicza CUG oraz kierownictwo Kombinatu, w tym ja. W spotkaniu uczestniczyło kilkaset pracowników. Doświadczyłem wówczas, jak się rozmawia z tłumem. Pracownicy bez żadnego skrępowania wygarnęli szefowi resortu, i przy okazji kierownictwu kombinatu, nie tylko żądania płacowe i postulaty dotyczące przedsiębiorstwa, ale też wszelkie żale dotyczące życia i funkcjonowania kraju. Spotkanie trwało kilkanaście godzin, prawie do wczesnego rana, tak że wracaliśmy do Warszawy bez spania. Skończyło się jednak bez ekscesów. Załoga sformułowała szereg postulatów, ale nie zażądała wywiezienia ani szefa resortu, ani kierownictwa kombinatu na taczkach, co w owym czasie było modne i nierzadko praktykowane.

Efektom rozruchów w kraju było, z jednej strony zgoda rządu na zarejestrowanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, a z drugiej upadek ekipy Edwarda Gierka. Władza w partii zaczęła się wyraźnie chwiać. Wyrazem tego była też intensyfikacja prac nad radykalizacją koncepcji dyskutowanej reformy gospodarczej w kierunku liberalizacji systemu gospodarczego. Mimo ostrej kontrowersji w łonie PZPR oraz wśród przywództwa KPZR i pozostałych demoludów Sejm przyjął dokument programowy *„Kierunki reformy gospodarczej”*. To jednak nie znaczyło odstępstwa od podstawowych kanonów systemu nakazowo-rozdziałczego i przechodzenia do zasad gospodarki rynkowej, chociaż proponowane zmiany były znaczące.

W bratnich demoludach, a zwłaszcza w ZSRR, pojawiły się zarzuty odstępstwa od doktryny socjalizmu, zagrożenia kontrrewolucją itp. W kraju zaś reformę gospodarczą krytykowano za zbyt małą radykalizację programu. Przedstawiciele Solidarności wytykali projektowi reformy brak jasnej deklaracji o likwidacji systemu nakazowo-rozdziałczego, brak jednolitego systemu finansowego, brak planu likwidacji nadmiaru

ministerstw, zjednoczeń i biurokracji państwowej, brak samodzielności przedsiębiorstw, brak systemu cen opartych na zasadach ekonomicznych, brak prymatu rentowności finansowej w podejmowaniu decyzji ekonomicznych.

We wrześniu 1981 odbył się I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w hali Oliwia w Gdańsku. Było to oczywiście ważne wydarzenie polityczne. Z tym zjazdem mam także wspomnienia osobiste. W zespole prasowym zjazdu znalazł się mój syn Antek, a mój wnuk Mikołaj, który w roku 1981 ukończył rok, znalazł się na afiszu zjazdowym. Plakat wymyślony przez Maćka Grzywaczewskiego, szwagra Antka, przedstawiał rocznego bobasa z kijem na zielonym tle (nadzieja) z napisem „Solidarność” oraz z informacją o I-szym zjeździe związku.



Plakat I-go Zjazdu Solidarności z moim wnukiem Mikołajem i ten sam plakat, przerobiony przez propagandę rządową.

Po paru dniach propaganda partyjna przetworzyła ten plakat, dodając Mikołajowi do ręki zapaloną zapalniczkę oraz napis „nie igrać z ogniem”. Plakat ten musiał wzbudzić szczególne zainteresowanie, o czym świadczy nie tylko ta replika, ale również i to, że ostatni I-szy sekretarz PZPR, Mieczysław F. Rakowski, uznał za stosowne odnotować ukazanie się go w swoich dziennikach politycznych, wydanych kilka lat po wydarzeniach: „Szeroko kolportowany jest plakat przedstawiający „Solidarność”

jako jednorocznego bobasa. Jak na jednoroczne, jest to bardzo wyrośnięty i bynajmniej nie ssie mleka". Potwierdzam: „bobas” na plakacie jest autentyczny, miał wówczas rok i trzy miesiące, a sarkastyczna uwaga Rakowskiego była bezpodstawna.

Kontrowersje między Solidarnością trwały i doprowadziły ostatecznie do ogłoszenia stanu wojennego 13.12.1981 r. Stan wojenny zastał mnie w Niemczech. Za zgodą prezesa Dembowskiego i dyrekcji Centrali Handlu Zagranicznego KOPEX wyjechałem do RFN jako delegat tej Centrali w celu nadzorowania prowadzonych tam robót wykonywanych na rzecz niemieckiej firmy ITAG A.G. Wyjazd był atrakcyjny z dwóch powodów: odpoczynek od napiętej atmosfery pracy w kraju oraz, co tu ukrywać, zarobienie więcej pieniędzy, jako że wynagrodzenie otrzymywałem tam w markach zachodnioniemieckich, co przy wolnym kursie marki do złotówki oznaczało kilkakrotnie wyższą kwotę, niż zarobki dyrektora dużego zakładu pracy w Polsce. Delegacji jednak nie wykorzystałem do końca.

Wyjechałem do RFN w połowie listopada 1981 r. A w niedzielę 13 grudnia Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny i moja sytuacja uległa diametralnej, dramatycznej zmianie. Ale nie tylko moja. Miałem tam na karku kompletnie zdezorientowaną załogę liczącą ponad stu ludzi, którzy nie wiedzieli co robić. Czy na święta jechać do kraju i wrócić po nowym roku, jak to było planowane i czy to w ogóle będzie możliwe? Inni rozważali, czy w ogóle wracać. W celu zorientowania się w sytuacji udałem się 15 grudnia do ambasady polskiej w Kolonii, by się dowiedzieć czegoś, co pomogłoby mi w podjęciu decyzji. Ambasadora nie było. Przyjął mnie 1-szy sekretarz ambasady, który mi szczerze powiedział, że nie wie, co się w kraju dzieje. Czyli mam robić, co uważam za słuszne.

Udałem się więc na dworzec i wsiadłem do pociągu do Hamburga. Kiedy pociąg ruszył wszedł do przedziału konduktor, który po obejrzeniu mojego biletu oświadczył, że wsiadłem do niewłaściwego pociągu, bo ten nie zatrzymuje się w Celle, a następna stacja to Hamburg. I zażądał dopłaty za bilet z Celle do Hamburga. Odpowiedziałem mu, że nie mam zamiaru dopłacać, a spisywanie protokołu nie ma sensu, bo za dwa dni wracam do Polski i egzekwowanie dopłaty jest z oczywistych względów problematyczne. Konduktor żartując odpowiedział mi, że nie radzi zadzierać z niemiecką koleją, bo ta jest znana z tego, że dłużników ściga do

piątego pokolenia. Po takim przekomarzaniu się zapłaciłem i konduktor wyszedł.

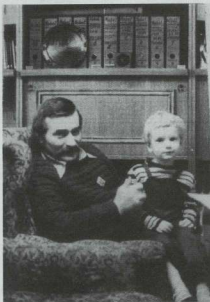
Pasażerowie na rozmowę z konduktorem nie reagowali. Dopiero po jego wyjściu wyrazili oburzenie na zachowanie konduktora: „*Jak on mógł stawiać takie żądanie wiedząc, że pan jest Polakiem i że w Polsce jest stan wojenny?*”. Jedna z pasażerek wyciągnęła pudełko czekoladek i wręczyła mi je ze słowami: „*Proszę, niech pan to ode mnie przyjmie jako wyraz solidarności z Polską*”. Zrobiła to tak spontanicznie, że nie wypadło nie przyjąć. Otworzyłem pudełko i poczęstowałem pasażerów przedziału. Rozwinęła się ogólna dyskusja na temat sytuacji w Polsce, przy czym wszyscy mówili ze współczuciem o stanie wojennym. Kiedy pociąg dojeżdżał do Hamburga, pasażerka z czekoladkami życzyła mi szczęśliwego powrotu do kraju i „*wszystkiego dobrego dla pana ojczyzny*”. Powiedziała mi też, że pochodzi z Jeleniej Góry, którą musiała opuścić jako małe dziecko w roku 1945. Zrewanżowałem się i opowiedziałem jej jak ja, też jako dziecko, musiałem opuścić Pelplin. Rozstaliśmy się przyjaźnie.

W Celle zarząd naszego kontrahenta ITAG A.G., widząc nasze problemy, a z drugiej strony nie chcąc stracić naszych załóg w następnym roku, zaproponował nam zorganizowanie w następną niedzielę (20 grudnia) spotkania naszych pracowników celem przedyskutowania sytuacji i uzgodnienia dalszego postępowania. Udostępniono nam świetlicę oraz jedzenie i trunki. Sfinansowano też koszty przyjazdu z wiertni do siedziby firmy w Celle. Na spotkaniu uzgodniliśmy z załogą, że na gwiazdkę jedziemy do kraju. Na tym spotkaniu podszedł do mnie nasz pracownik, inżynier Pobóg-Roszkowski i zapytał: „*Panie dyrektorze, czy mówi panu coś nazwisko Kowalkowski?*”. Odpowiedziałem, że tak, bo moja matka jest z domu Kowalkowska. Na to on, czy znam osobę o nazwisku Stanisław Kowalkowski, na co ja odpowiedziałem, że tak się nazywa mój wuj mieszkający w Gnieźnie. Na to on: „*mój też*”. Okazało się, że był on synem kuzynki mojej matki, Kubickiej z Fałkowa.

Z Celle wyjechałem 23 grudnia i przyjechałem do Warszawy w wigilię rano. Podróż pamiętam dokładnie. W przedziale oprócz mnie jechało małżeństwo z córką studentką. Z rozmowy wynikało, że córka udaje się po raz pierwszy w życiu do Berlina Zachodniego, czym była podekscytowana i dziwiła się wyglądem enerdowskich mundurów (np.

czapki z rosyjskimi uszatkami). Mówiła o nich: „*To są dziwni ludzie, mniej normalni niż Turcy*”. Wtedy po raz pierwszy spotkałem się z antagoniźmami wewnątrzniemieckimi pomiędzy „Ossis” i „Wessis”, tzn. pomiędzy wschodnioniemieckimi, a zachodnioniemieckimi obywatelami Niemiec.

Przyjazd do Warszawy, to był koszmar: zimno, pełno śniegu, posterunki wojskowe przy koksownikach. Złapałem taksówkę, ale taksjarsz zażądał opłaty w markach, które na szczęście miałem. Przyjechałem do domu i zastałem Basię, jej matkę i Dorotę z Mikołajem. Dowiedziałem się, że Antek jest internowany w Białoleńcu, a Maciek siedzi w więzieniu w Starogardzie Gdańskim, gdzie trafił jako strajkujący w Stoczni Gdańskiej. Tak więc w dniu ogłoszenia stanu wojennego cała moja rodzina była kompletnie rozproszona: ja byłem w Niemczech, Antek w areszcie w Białoleńcu, zatrzymany w nocy 13 grudnia w siedzibie Mazowieckiej Solidarności, Maciek w więzieniu w Starogardzie, z wyrokiem dwóch miesięcy więzienia.



Mój wnuk Mikołaj na kolanach Lecha Wałęsy.

Moi synowie, Antek i Maciek, byli aktywnie zaangażowani w działalność dysydencką, o czym nie wszystko wiedziałem. Antek działał w drugoobiegowych pismach, ZAPIS i PULS, jako autor i redaktor. Publikował wiersze (np. znany poemat „*Ponad siły*”) i prozę (np. „*Księżeczka wojskowa*”). Maciek był szefem grupy radiowej, która włączała się w Gdańsku w program radiowy. Opublikował tę historię w książce „*Radio Solidarność w Trójmieście*” w roku 2014, w wydawnictwie Oskar sp. z o.o.).

Najbardziej niebezpieczna była Basia. Mnie nie było, nie wiedziała co się dzieje z dziećmi. Przez dziesięć dni chodziła po znajomych Antka i komisarciach, do pałacu Mostowskich (komenda milicji), aż dowiedziała się, że internowani z Warszawy są w więzieniu w Białoleńcu i domyślała się tylko, że wśród nich jest też Antek. Wigilia była ponura jak nigdy. Byliśmy sami z Basią, jej mamą, Dorotą i małym Mikołajem. Ale święta Bożego Narodzenia, wbrew wisielczym nastrojom, przebiegły lepiej. W pierwszy dzień świąt zgłosiło się dwóch nieznanych nam ludzi z informacją, że Antek siedzi w Białoleńcu. Jeden z nich siedział z Antkiem w jednej celi, ale go wypuszczono. Drugi był wysłannikiem księdza Niewęgłowskiego (duszpasterz literatów). To stwarzało poczucie solidarności. Przypominały się czasy okupacji.

Doniesiono nam też pocztą pantoflową, że w drugi dzień świąt możliwe są odwiedziny internowanych w Białoleńcu. Pojechaliśmy tam z Basią. Wyprawa była długa, bo kilkoma tramwajami. Ale dojechaliśmy i po długim czekaniu przyprowadzono Antka, który tryskał humorem i opowiadał nam o okolicznościach aresztowania. Dowiedzieliśmy się też, że siedzi w doborowym towarzystwie. Byli tam: prof. Bartoszewski, prof. Geremek, Wiktor Woroszyński, Adam Michnik i wielu innych prominentnych działaczy Solidarności. Mimo, iż wyprawa zajęła nam prawie cały dzień, wróciliśmy w lepszych humorach.

Antek przesiedział w „internacie” do lipca 1982 r. Z więzienia w Białoleńcu został przewieziony helikopterem do Jaworza, a potem do obozu w DarłóWKu. W Jaworzu odwiedzaliśmy go kilkakrotnie. Jaworze, to miejscowość na Pomorzu Zachodnim, niedaleko Stargardu Szczecińskiego, w lesie nad jeziorem, kilka kilometrów od stacji kolejowej. Był to dom wypoczynkowy oficerów lotnictwa. Był to obóz ekskluzywny. Umieszczono w nim prominentów Solidarności i ludzi ze sfer nauko-

wych i kultury. M.in. widzieliśmy tam Tadeusza Mazowieckiego, Władysława Bartoszewskiego, prof. Jerzego Holzera, pisarzy: Wiktora Woroszyńskiego i Andrzeja Szczypiorskiego, prof. Geremka, Bronisława Komorowskiego, Andrzeja Celińskiego, Andrzeja Drawicza i wiele innych znajomych twarzy. Warunki pobytu tam były dla mnie zaskakujące. Oprócz uciążliwości związanej z odosobnieniem internowani mieszkali w trzyosobowych pokojach, mieli swobodę poruszania się, swobodę dyskusji, organizowania wykładów i wieczorów autorskich. Szczegółowo opisał to Władysław Bartoszewski, starosta obozu, w „Dzienniku z internowania”. Z dziennika tego wynika, że 3 kwietnia 1982 r. odbył się wieczór literacki Antka ze słowem wstępnym Wiktora Woroszyńskiego.

W czasie naszej wizyty w obozie poproszono nas w porze obiadowej o wyjście z sali jadalnej, bo internowanym podano obiad. Siedzieli przy czteroosobowych stolikach, a obiad podawali im żołnierze. Był to niewątpliwie obóz pokazowy. Szczytem osobliwości obozu w Jaworzu był protest internowanych przeciwko specjalnemu traktowaniu. Niezależnie od poglądu na temat decyzji o stanie wojennym, za wiarygodną wydaje się wypowiedź Jaruzelskiego o jego zawstydzeniu i zakłopotaniu, kiedy mówi o internowaniu w stanie wojennym. Prawdopodobną wydaje się też jego wypowiedź, że ilość zatrzymanych zależała od animozji lokalnych watażków policji. W każdym razie reżym w obozach internowania nie był podobny do reżymów znanych z innych dyktatur. Ofiary stanu wojennego i mające miejsce wypaczenia były, moim zdaniem, wynikiem nadgorliwości i chęci zemsty podwładnych wykonawców, którym Jaruzelski nie mógł przecież rozkazać łagodnego traktowania internowanych.

Po powrocie z Niemiec napotkałem w kombinacie uderzające rozprężenie. Przede wszystkim nasilały się postulaty załóg w sprawie usamodzielnienia zakładów i likwidacji kombinatu oraz zwiększenia wpływu załogi na decyzje podejmowane w przedsiębiorstwie. Jakikolwiek kontrargumenty rzeczowe nie znajdowały w oczach załóg, a zwłaszcza ich przywódców, zrozumienia. Kierownictwo resortu zadecydowało poddanie się tej fali postulatów i 31 marca 1982 roku nasz kombinat został zlikwidowany i podzielony na cztery samodzielne przedsiębiorstwa. To samo spotkało pozostałe kombinaty resortu. Ja dostałem propozycję przejścia na stanowisko dyrektora zrzeszenia przedsiębiorstw geologicznych i wiertniczych, które właśnie zostało utworzone, albo przejścia do

pracy w CUG na stanowisko Pełnomocnika Prezesa Centralnego Urzędu Geologii ds. Reformy Gospodarczej. Wybrałem to drugie i 1 kwietnia 1982 r. objąłem to stanowisko.

Reforma Gospodarcza 1982-1985

Byłem gorącym zwolennikiem reformy gospodarczej. Najważniejszą w reformie była nie zmiana systemu nakazowo-rozdzielczego, bo ten był kanonem nie do obalenia w socjalizmie, ale jego liberalizacja. Działalność gospodarcza w systemie nakazowo-rozdzielczym odbywała się wg. hasła: „*dopuszczalne jest tylko to, co jest określone przepisami*”. Natomiast hasłem reformy było: „*dopuszczalne jest to, co nie jest zakazane*”. Wbrew pozorom różnica jest kolosalna, nawet jeśli nie łączy się to ze zmianą systemu nakazowo-rozdzielczego na system gospodarki rynkowej. A o takiej zmianie nie mogło być mowy. Ja w każdym razie nie wierzyłem, że taka zmiana byłaby za mojego życia możliwa.

W ramach moich obowiązków w resorcie leżało m.in. uczestniczenie w międzyresortowym zespole wykonawczym reformy gospodarczej. Przewodniczył temu zespołowi ówczesny wicepremier, Władysław Baka, a jego członkami byli wiceministrowie resortów gospodarczych. Ja byłem jednym z nielicznych wyjątków, bo nie w tej randze. Do obowiązków zespołu należało przygotowywanie aktów prawnych związanych z reformą. Byłem więc na bieżąco w sprawach związanych z realizowaną reformą w skali makro.

W tym czasie prof. Gruszczyk z Akademii-Górnictwo-Hutniczej w Krakowie, który znał mnie z moich publikacji, zaproponował mi prowadzenie wykładów na Wydziale Geologii z ekonomiki badań geologicznych. Z tym, że tematykę wykładów miałem przedstawić na Radzie Wydziału. Koncepcję opracowałem i została ona zatwierdzona przez Radę. Prezes Dembowski wyraził zgodę na te moje zajęcia. Były to dwie godziny tygodniowo. Dla mojej wygody skomasowano je tak, że wykladałem 4 godziny raz na dwa tygodnie. Był to dla mnie spory wysiłek. Co drugi poniedziałek wyjeżdżałem o 6-tej rano z Warszawy do Krakowa. O 10-tej byłem na miejscu i taksówką spieszylem na wykład. Cztery godziny wykładu, obiad u Hawelki i pociąg do Warszawy. Wieczorem byłem skonany. Robiłem to nie dla pieniędzy, bo dochód z tego był mizerny. W wykładzie uwzględniałem problematykę realizowanej reformy gospodarczej, co przysporzyło mi słuchaczy spoza wydziału i z grona pracowników naukowych.

Jedną z ciekawszych inicjatyw z zakresu reformy gospodarczej w obszarze geologii był projekt utworzenia odrębnego ministerstwa ochrony środowiska, którego zadaniem byłoby zarządzanie zasobami naturalnymi: zasobami kopalin, wodami podziemnymi i powierzchniowymi, zasobami przyrody oraz powietrzem. W innych krajach podobne instytucje powstawały czy to w postaci ministerstw, czy agencji. Projekt wyłonił się z inicjatywy CUG i Urzędu ds. Zagospodarowania Wisły. Propozycję dla rządu opracowaliśmy w gronie: dr Janusz Bielakowski i dr Żurko – obaj z Urzędu ds. Zagospodarowania Wisły – oraz ja z CUG. Nasz projekt uzyskał pozytywną opinię zespołu rządowego ds. reformy gospodarczej. Dalsze jego pilotowanie przejął Pełnomocnik ds. Reformy Gospodarczej, wicepremier Baka. Niestety, projekt upadł na posiedzeniu prezydium rządu na skutek różnicy zdań wicepremierów Baki i Obodowskiego, który prezydium w tym dniu przewodniczył. Tajemnicą polisylną była wzajemna niechęć i rywalizacja tych panów.

Ale w roku 1985 ministerstwo powstało i funkcjonuje do dziś, zarówno w Polsce, jak i w większości krajów europejskich. Paradoks polegał na tym, że ja jako jeden z autorów projektu nie otrzymałem szansy uczestniczenia we wcieleniu go w życie. W listopadzie 1985 roku doszło do reorganizacji rządu, w tym likwidacji kilku ministerstw. W ramach łączenia i likwidacji ministerstw kadra CUG przeszła do nowo utworzonego ministerstwa ochrony środowiska, z wyjątkiem prezesa Zdzisława Dembowskiego, wiceprezesów: Jana Żytki i prof. Stanisława Orłowskiego (urzędującego zaledwie parę miesięcy) oraz dyrektora gabinetu prezesa, Sławomira Smoleńskiego, dyrektora departamentu badań geologicznych Zbigniewa Znańskiego, Ryszarda Cichego i mnie.

31 grudnia 1985 r. otrzymałem pismo wypowiadające mi stosunek pracy z dniem 31 marca 1986 r., ze zwolnieniem od pełnienia obowiązku pracy od 31.12.1985 r. Jakie kryteria zwolnienia natychmiastowego zastosowano, nie podano. Podejrzewaliśmy, że chodziło o osoby ściśle związane z prezesem Dembowskim, utożsamianym z krytyką rabunkowej gospodarki złożami węgla kamiennego, co nie podobało się „mafii” górniczej, mającej zawsze w PRL duże wpływy w kierownictwie partii i rządu.

W swoim czasie krążył na temat omnipotencji ministra górnictwa, Mitręgi, w rzeczywistości PRL taki kawał: Mitręga dzwoni do rektora

Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie z pytaniem: „*Towarzyszu rektorze, na którym ja jestem roku w tej waszej akademii?*” Odpowiedź: „*Na trzecim towarzyszu ministrze.*” Mitręga: „*Dopiero? Oj, kiepsko się staracie.*”

Po latach dowiedziałem się okólnymi drogami, że u mnie była to dysydencka działalność moich synów, a zwłaszcza Antka współpracującego z KOR. I tak się zakończyła moja długoletnia praca geologii. Ale odrodziła się ona, już na innych zasadach, o czym będzie okazja opowiedzieć dalej.

Centralny Urząd Geologii  Legitymacja Nr 295 Warszawa, dnia 22.07. 1980 r.	Prezes Centralnego Urzędu Geologii W uznaniu zasług dla polskiej geologii nadaje Ob. <u>PAWŁAKOWI</u> <u>Jerzemu s. Stefana</u> złotą odznakę ZASŁUŻONY DLA POLSKIEJ GEOLOGII 
--	---

*Legitymacja złotej odznaki
„ZASŁUŻONY DLA POLSKIEJ GEOLOGII”.*

Polska Akademia Nauk 1986-1989

Likwidacja CUG była dla mnie poważnym ciosem. Oznaczała kompletną zmianę w moim życiu zawodowym. Pracowałem w branży geologicznej od roku 1953, czyli 35 lat, pełniąc różne funkcje, od kierownika działu w przedsiębiorstwie, do dyrektora przedsiębiorstwa i dyrektora departamentu w centralnym urzędzie. Byłem członkiem różnych komisji resortowych i branżowych, redaktorem w czasopiśmie fachowym, autorem artykułów i książek z dziedziny ekonomiki badań geologicznych, członkiem zespołów opracowujących reformy funkcjonowania branży i przedsiębiorstw, byłem też wykładowcą przedmiotu „*Ekonomika badań geologicznych*” na Akademii Górniczo-Hutniczej.

Naraz dostałem pismo zwalniające mnie z pracy i tym samym z zadań i z zajęć, którymi żyłem od lat, w które byłem zaangażowany nie tylko zawodowo i naukowo, ale też i emocjonalnie. Było to o tyle nadzwyczajne, że tak samo jak ja zostało zwolnione z pracy całe kierownictwo CUG, a więc osoby, które miały jakiegokolwiek pojęcie o mojej pracy, o moich kompetencjach i w ogóle o mnie, jako pracowniku funkcjonującym od lat w branży geologicznej.

CUG został włączony w skład nowo powołanego ministerstwa ochrony środowiska, obejmującego szeroką problematykę: od gospodarki kopalinami, eksploatacji wód podziemnych i powierzchniowych, powietrza, lasów i odpadów. W kierownictwie resoru nie znalazł się nikt z poprzedniego zespołu kierowniczego resortu geologii. Wiceministrem i Głównym Geologiem kraju został pracownik Centralnego Komitetu PZPR, Wiesław Ślizewski, nastawiony do mnie może nie wrogo, ale też mało przychylnie. Problematyka geologiczna znalazła się w departamentach geologicznych, natomiast problematyka ekonomiczna i prawnicza w różnych departamentach merytorycznych (ekonomiki, nauki, prawa), które były obsadzone w poprzedniej konfiguracji, tj. w ministerstwie leśnictwa, na bazie którego organizowano nowe ministerstwo. Jednym słowem, stałem się zbędny. Względy polityczne, o których wspominałem, były dla moich potencjalnych szefów argumentem dodatkowym. Paradoxs polegał na tym, że to m.in. ja byłem współautorem koncepcji wydzielania zarządzania zasobami naturalnymi w jednym ministerstwie, czyli w ministerstwie ochrony środowiska, to ja byłem współautorem

operatów uzasadniających taką konfigurację nowego organu administracji centralnej, o czym kierownictwo nowego ministerstwa, wywodzące się z innego kręgu (m.in. ze Stronnictwa Ludowego, którego przedstawiciel stanął na czele nowego resortu) nie miało pojęcia.

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w sytuacji poszukującego pracy. I to w sytuacji o tyle trudnej, że stało to się w momencie dużej reorganizacji rządu połączonej z likwidacją kilku ministerstw gospodarczych, jako konsekwencji reformy gospodarczej. Na rynku znalazło się bez pracy kilkudziesięciu urzędników różnego szczebla. Wypadło mi więc szukać nowego zatrudnienia, co było mi dotąd oszczędzone, jako że dotychczas zmieniałem pracę z własnej inicjatywy. A teraz ja musiałem jej szukać. Przyszło mi, że psychicznie była to dla mnie sytuacja trudna.

Podejmowałem różne próby, ale wyjście znalazło się ze strony najmniej nieoczekiwanej. Moja była współpracowniczka z Departamentu Rozwoju CUG, Danuta Sidorowicz, zwolniona z pracy w stanie wojennym za przynależność do Solidarności, została szefem finansów w Polskiej Akademii Nauk. Kiedy dowiedziała się o mojej sytuacji, „zaprotegowała” mnie u właściwych służb PAN, które namówiły mnie do złożenia podania o przyjęcie do pracy. Spośród kilku możliwości wybrałem pracę głównego specjalisty w Wydziale IV Nauk Technicznych PAN.

Czym się kierowałem? Po pierwsze, unikałem obejmowania stanowisk kierowniczych z uwagi na „haki polityczne”, jakimi była działalność dysydencka moich synów, a w szczególności Antka. Po drugie, namawiał mnie do tego prof. Bohdan Ciszewski, sekretarz Wydziału IV Nauk Technicznych PAN. Mimo, że przedtem profesora nie znałem, nabrałem do niego zaufania i szczerze mu o moich obiekcjach opowiedziałem. Prof. Ciszewski był, o czym miałem okazję się przekonać w ciągu dalszej współpracy, nie tylko wybitnym naukowcem, ale nadto człowiekiem wyjątkowo szlachetnym, kulturalnym, o wielkiej erudycji. W hierarchii służbowej funkcja sekretarza Wydziału PAN, sprawowana przez prof. Ciszewskiego, była równorzędna z funkcją sekretarza stanu w ministerstwie.

Prof. Ciszewskiemu otwarcie powiedziałem o moich „hakach” politycznych, co on przyjął ze zrozumieniem. Postawiłem też jeden warunek. Płace w administracji PAN były relatywnie niskie, jak w całej administracji PRL. Zawsze więc dorabiałem i chciałem to też robić w nowym

miejsu pracy. Miałem bowiem zamiar kontynuować pracę w charakterze radcy prawnego, co wymagało wychodzenia w godzinach pracy, a na co musiałem mieć zgodę szefa. W dzentelmeńskiej umowie ustaliliśmy, że będę miał pod tym względem swobodę działania, pod warunkiem wywiązania się z powierzonych mi zadań w Wydziale. Tak więc likwidacja CUG wpłynęła na moją decyzję zmiany zawodu. Rozstawałem się z ekonomią i problematyką geologiczną. Na szczęście miałem wybór. Miałem drugi zawód prawnika, który uprawiałem dotąd ubocznie. Miałem za sobą państwowy egzamin na radcę prawnego, tak że przejście to mogło odbyć się bezkolizyjnie.

Do moich zadań w Polskiej Akademii Nauk należały: administracyjny nadzór nad instytutami nauk technicznych PAN (Instytuty: Podstawowych Problemów Techniki, Budownictwa Wodnego, Informatyki, Badań Systemowych, Inżynierii Chemicznej, Maszyn Przepływowych i Instytut Hutnictwa) oraz administracyjne prace nad tworzeniem naukowych problemów rządowych z dziedziny nauk technicznych oraz organizacja okresowych ocen ich realizacji. Problematyka ta była dla mnie interesująca, zwłaszcza że uczestniczyłem też w posiedzeniach komitetów naukowych z dziedziny nauk technicznych.

Pracy nie miałem za wiele, bo w administracji PAN zatrudnienie było ponad potrzeby. Ambicje zawodowe schowałem do kieszeni i pracowałem jako zwykły wyrobnik, chociaż materialnie nie było nam źle. Basia nadal pracowała w firmie Wagon-Lits, a była to praca o tyle atrakcyjna, że wiązał się z nią comiesięczny „deputat” w formie dostaw szynki, kawy, masła i innych produktów żywnościowych, o które w tym czasie było bardzo trudno (były kartki). Wagon-Lits była, i jest dotąd, firmą austriacką i miała własny wagon sypialny kursujący codziennie z Warszawy do Wiednia i z powrotem. Tym wagonem firma dostarczała swoim pracownikom różne artykuły spożywcze, co nam ułatwiało życie. Dzieci były już samodzielne. Antek pracował jako dziennikarz w katolickim miesięczniku *„Powściągliwość i Praca”*, wydawanym przez ojców Michaelitów oraz nielegalnie w pismach drugiego obiegu. Maciek pracował w przedsiębiorstwie budownictwa drogowego w Gdańsku. Nielegalnie był szefem komórki radiowej włączającej się w program oficjalnego radia. W PAN, w Pałacu Kultury, pracowałem do 31.12.1990 r., z tym że ostatnie lata już tylko na część etatu.

Geopol Warszawa

Równolegle w latach 1986-1995 podjąłem pracę na część etatu jako radca prawny w Przedsiębiorstwie Usług Geologicznych za Granicą GEOPOL. Przedsiębiorstwo to zostało powołane w roku 1974 jako „generalny dostawca” usług geologicznych wykonywanych za granicą.

Co to za twór? W normalnych warunkach gospodarczych byłby on zupełnie zbędny. W gospodarce socjalistycznej, w systemie nakazowo rozdzielczym, był to pośrednik pomiędzy przedsiębiorstwami krajowymi, a centralami handlu zagranicznego, realizującymi monopol państwa w handlu zagranicznym.

Obowiązujący monopol handlu zagranicznego, niewymienialność złotego i różne przepisy ograniczające swobodę handlu komplikowały stosunki umowne na eksport prac geologicznych. Jako nową formę prawną współpracy wymyśliliśmy utworzenie spółki polskiej z kapitałem niemieckim w RFN. Rozwiązanie to było w tym czasie nowatorskie, jako że takich spółek wtedy w Polsce prawie nie było. Ich tworzenie było wyłączną domeną ministerstwa handlu zagranicznego jako realizatora państwowego monopolu handlu zagranicznego. Dzisiaj taki pomysł nie jest niczym niezwykłym. Dowolne spółki z dowolnym kapitałem można tworzyć z dnia na dzień. Ale wówczas był to duży wyczyn związany z pokonywaniem wielu przeszkód nie tylko formalnych, ale i mentalnych urzędników.

Oprócz ekonomiczno-finansowej koncepcji, którą opracowaliśmy, potrzebna była akceptacja Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego oraz Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Analiza przepisów administracyjnych wykazywała, że akceptacja naszego wniosku do tych organów była formalnie dopuszczalna, ale w ramach swobody podejmowania decyzji, a nie obowiązku. Przełamanie mentalności urzędników tych dwóch resortów, i to w kilku departamentach, nie było łatwe i mocno rozciągnięte w czasie.

Razem z Pawłem Wyrębskim, pracownikiem Geopolu, poświęciliśmy wiele czasu na rozmowy i przekonywanie decydentów o celowości przedsięwzięcia. Działalność geologiczna za granicą była w stosunku do całego handlu zagranicznego na tyle niewielka, że nie znajdowała zrozumienia państwowej biurokracji. W końcu jednak udało nam się prze-

konać oba resorty do wydania decyzji pozwalającej na utworzenie spółki w RFN pod nazwą „Geopol GmbH” z udziałem polskiego Geopolu i niemieckiej firmy wiertniczej ITAG A.G. z Celle w Dolnej Saksonii. W skład jej zarządu z ramienia Polski wszedł Paweł Wyrębski, a później Adam Hardy, a ja w skład rady nadzorczej. Spółka działała na tej zasadzie, że ITAG dostarczał urządzenia, a GEOPOL kadrę. Roboty spółka wykonywała w Libii, a głównie w Indiach i to z bardzo dobrym dla obu stron skutkiem.

Z czasem nasza współpraca w tym rejonie rozszerzyła się o inne firmy naftowe i wykonujące podobne roboty. I tak wykonywaliśmy roboty wiertnicze na otworach głębokich dla firmy Deutag A.G. oraz inne prace związane z wiertnictwem. Nawiązaliśmy wieloletnią współpracę w dziedzinie produkcji filtrów studziennych z firmą Pumpenböse GmbH itp.

Ubočnym skutkiem naszej kilkuletniej działalności w Celle i w ogóle w Dolnej Saksonii było nawiązanie kontaktów z kołami gospodarczymi tego landu, a w szczególności z grupą przedsiębiorców zrzeszonych w partii Wolnych Demokratów. Z ich inicjatywy powstał w Celle Klub Gospodarczy Polska-Dolna Saksonia, którego celem miała być intensyfikacja współpracy gospodarczej pomiędzy Polską a Dolną Saksonią. Szczególnie aktywny w tym polu okazał się właściciel firmy Pumpenböse, Gerd Nelke, oraz przewodniczący frakcji partii Wolnych Demokratów w Landtagu Dolnej Saksonii, Hildebrandt. Klub został utworzony 9 listopada 1989 r. Na zebraniu inauguracyjnym, na którym wygłosiłem prelekcję na temat obowiązującego w Polsce prawa gospodarczego, na przewodniczącego klubu powołano właśnie Gerda Nelke, a na wiceprzewodniczącego mnie.

Współpraca z Klubem Gospodarczym Polska-Dolna Saksonia miała swój dalszy ciąg. Pan Nelke zwrócił się do mnie z propozycją zorganizowania spotkania grupy przedsiębiorców z Dolnej Saksonii, działających w sferze infrastruktury środowiska, z polskim ministerstwem ochrony środowiska w celu nawiązania i przygotowania warunków współpracy w sprawie budowy oczyszczalni ścieków, przy zapewnieniu pomocy finansowej z ich strony, głównie w postaci zapewnienia gwarancji kredytów rządu RFN (tzw. gwarancji Hermesa). Propozycję przekazałem ministerstwu i minister ofertę współdziałania przyjął. Na pierwszy

obiekt tej współpracy ministerstwo zaproponowało budowę oczyszczalni ścieków w Nowym Sączu.

We wrześniu 1989 r. przyjechała do Warszawy delegacja przedsiębiorców z Hanoweru, z udziałem prasy i polityków z partii Wolnych Demokratów, celem przeprowadzenia rozmów wstępnych. Data przyjazdu zbiegła się z ważnymi wydarzeniami politycznymi w Polsce, a mianowicie z powołaniem Tadeusza Mazowieckiego na premiera. W składzie delegacji niemieckiej był szef frakcji w Landtagu dolnej Saksonii, Hildebrandt. Wydarzenie było wręcz epokowe. Więc Hildebrandt zwrócił się do mnie z prośbą o załatwienie mu wejścia na obrady Sejmu. Udało mi się to załatwić i delegacja niemiecka uczestniczyła w wyborze premiera pierwszego niekomunistycznego premiera w obozie socjalistycznym. Udało mi się też nakłonić przewodniczącego solidarnościowego klubu parlamentowego, prof. Geremka, do przyjęcia delegacji niemieckiej na krótką rozmowę, z której wyszli zachwyceni osobowością profesora.



*Podpisanie umowy o współpracy z Dolną Saksonią.
Od lewej: L. Phuczniewski, NN, pan Hildebrandt, Adam Hardy, Autor,
Gerd Nelke, NN, pan Schreiber.*

Następnego dnia wyjechałem z delegacją niemiecką do Nowego Sącza. Władze miasta były niezmiernie zadowolone z faktu wytypowania budowy oczyszczalni ścieków w ich mieście w ramach niemieckiej pomocy finansowej. Przyjęto nas entuzjastycznie na posiedzeniu Rady Miejskiej. Delegacji pokazano miasto i okolice, łącznie ze spływem Dunajca i pieczeniem barana późnym wieczorem. Niemcy dotrzyмали przyrzeczenia. W czasie pierwszej wizyty w Polsce kanclerz Kohl przywiózł listę inwestycji, na które rząd niemiecki przyrzekał udzielić rządowych gwarancji kredytowych. Na pierwszym miejscu figurowała inwestycja budowy oczyszczalni ścieków w Nowym Sączu.

Dziesięciolecie 1981-1990 okazało się dla mnie brzemienne w skutki na wielu płaszczyznach. Po pierwsze, nastąpił krach komunizmu w wyniku rewolucji solidarnościowej, która zaczęła się od strajków stocznioowych w roku 1980, a zakończyła konferencją okrągłego stołu i upadkiem systemu komunistycznego. Upadek dokonał się w sposób pokojowy, poprzedzony jednak totalnym kryzysem gospodarczym, społecznym i politycznym. Nikt, no prawie nikt, nie przewidywał takiego finału. Ja też, mimo iż z niekłamana sympatią odnosiłem się do ruchu solidarnościowego i do poczynań opozycji politycznej. Sam do związku zawodowego Solidarność nie należałem, ponieważ będąc członkiem zarządu dużego przedsiębiorstwa stałem po drugiej stronie. W systemie nakazowo-rozdzielczym zarząd przedsiębiorstwa zobowiązany był ściśle wykonywać dyrektywy rządu i stąd w konfliktach z załogą, głównie dotyczących żądań płacowych, musiał stać po stronie władzy. Nawet kiedy miał inne zdanie. Po drugie, został zlikwidowany CUG, a ja nie tylko straciłem pracę, ale musiałem pożegnać się z zawodem ekonomisty.

Po trzecie, w tym dziesięcioleciu wystąpiły w mojej rodzinie ważne zmiany. 11 listopada 1990 r. zmarła nagle na zawał serca moja żona Barbara. Zmarła najbliższa mi osoba, z którą przeżyłem prawie 40 lat. Była nie tylko moją żoną, ale najbliższym przyjacielem. Osobą, której niezmiernie wiele zawdzięczam. Śmierć tę przeżyłem bardzo głęboko. Basia zmarła nagle, kiedy przygotowywałem się do wyjazdu do Hanoweru, gdzie miałem wziąć udział w dyskusji panelowej na temat polskiego prawa gospodarczego.

Ale w tym dziesięcioleciu były też momenty radosne. Wszyscy moi wnukowie, a mam ich trzech, właśnie wtedy się urodzili: Mikołaj w 1980

r., Kuba w 1985 r. i Jacek w 1990 r. Dzisiaj Mikołaj jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego, Kuba pracuje w filmie, a Jacek jest inżynierem budowlanym.

ROZDZIAŁ VI

PRACA - WOLNY ZAWÓD

Kancelaria Prawna 1990-2012

W nowe dziesięciolecie 1990-2000 kraj wkroczył w kompletnie zmienionej konstelacji ustrojowej. Runął socjalistyczny system polityczny. Krachem zakończyła się gospodarka planowa, system nakazowo-rozdzielczy. Krach był dosłowny i gołym okiem widoczny: półki w sklepach puste, inflacja galopująca. Rząd Tadeusza Mazowieckiego zerwał z systemem gospodarki nakazowo-rozdzielczej i stworzył ramy gospodarki liberalnej, gospodarki kapitalistycznej, określonej później w konstytucji jako system społecznej gospodarki rynkowej.

Był to krok rewolucyjny, który odczuły wszystkie warstwy społeczeństwa, chociaż nie wszyscy byli zadowoleni. Zmiana rynków zbytu ze wschodu na zachód, ograniczenie produkcji przemysłu ciężkiego, ograniczenia w eksporcie i imporcie spowodowały znaczące ograniczenia w sile nabywczej społeczeństwa i ogólne pogorszenie sytuacji gospodarczej kraju. Dzięki wyjątkowo szybkiej reakcji na tę sytuację ze strony rządu, zmiany w gospodarce następowały stosunkowo szybko. Sejm, chociaż tylko w połowie wybrany w sposób demokratyczny, błyskawicznie i jednogłośnie uchwalił pakiet ustaw zmieniających system społeczno-gospodarczy. Jego autor – Leszek Balcerowicz – powiada, że cały tzw. Plan Balcerowicza wprowadzony w życie 1 stycznia 1990 r. opracowany był, licząc od dnia powołania Balcerowicza w skład rządu, w 111 dni. Tempo gigantyczne, ale i zmiana gigantyczna.

Tzw. reforma gospodarcza Leszka Balcerowicza okazała się wielkim osiągnięciem nowego rządu, chociaż do dzisiaj słyszy się głosy krytyczne. Celuje w tej krytyce przede wszystkim opozycja pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego oraz zawodowi krytycy, którzy nie mają pojęcia o skali problemu, ale zbijają na tej krytyce kapitał polityczny. Jak w známym kawale: „*Czym różni się krytyk od impotentu? Niczym, jeden i drugi wie jak, ale sam nie może.*” Z perspektywy widać, że cały świat z uzna-

niem patrzy na osiągnięcia Polski uzyskane dzięki reformie balcerowiczowskiej.

Dla mnie te dynamiczne zmiany, którym z entuzjazmem kibicowałem, stwarzały nową sytuację zawodową. Zastanawiałem się, co robić? Czy podjąć pracę w charakterze ekonomisty, finansisty, czy kontynuować pracę w zawodzie prawnika. Do obu miałem przygotowanie merytoryczne i spełnione wymogi formalno-prawne.

Po namyśle zdecydowałem się na to drugie, do czego czułem się w nowej sytuacji bardziej predestynowany i co było zgodne z moimi zainteresowaniami. Zająłem się prawem gospodarczym.

Ta dziedzina prawa została poddana szczególnie dużym zmianom. Odżyło prawo handlowe, dotąd formalnie obowiązujące, ale martwe w praktyce. Zmieniał się i rozwijał system podatkowy. Pojawiły się zupełnie nowe problemy prawne, m.in. ustawa o zamówieniach publicznych, której problematyka w systemie gospodarki socjalistycznej była zupełnie nieznana.

Pierwszym krokiem, jaki podjąłem, było utworzenie własnej kancelarii prawnej. W pierwotnym zamyśle miała to być kancelaria konsultingowa, zajmująca się nie tylko problematyką prawną, ale też finansowo-księgową i patentową. Te dwa ostatnie kierunki jednak się nie rozwinęły. Danuta Sidorowicz i Andrzej Marasek, moi potencjalni współpracownicy, nie podjęli działalności i w efekcie zostałem sam z kancelarią prawną, którą nazwałem „Kancelaria Prawnicza DELTA”.



KANCELARIA PRAWNICZA

ul. Egejska 1/43, 02-764 Warszawa

dr Jerzy Pawlak

radca prawny

tel./fax 022-842-37-30

tel. kom. 0603-192-123

Wizytówka Kancelarii DELTA

Musiałem sprecyzować, chociaż w ogólnych zarysach, problematykę, w której chciałem się specjalizować. Częściowo problematyka nasuwała się sama. Oparłem się na doświadczeniu zawodowym. Przede wszystkim były to problemy związane z prowadzeniem prac geologicznych i prac z zakresu ochrony środowiska. Do tego doszły związane z nim prace z zakresu budownictwa. Uznałem też za celowe zdyskontowanie mojej znajomości języka niemieckiego. Tym bardziej, że miałem z poprzedniej pracy kontakty z niemieckimi środowiskami gospodarczymi. Pracę kancelarii postanowiłem ukierunkować na specjalistyczną obsługę prawną przedsiębiorstw. I tak też się stało.

Klientami kancelarii były w znakomitej większości podmioty gospodarcze, przeważnie osoby prawne, polskie i niemieckie, działające w budownictwie, geologii, ochronie środowiska i handlu zagranicznym. Kancelaria aktywnie uczestniczyła też w procesach prywatyzacyjnych przedsiębiorstw państwowych opracowując dokumentację prawną prywatyzowanych przedsiębiorstw (np. w Warszawie brałem udział w prywatyzowaniu przedsiębiorstwa taksówkarskiego). Obsługę prawną sprawowałem m.in. w Przedsiębiorstwie Usług Geologicznych za Granicą „Geopol”, którą przejąłem z poprzedniego okresu, w spółce niemieckiej Krüger-Hölter (później WTE Wassertechnik sp. z o.o.), w spółce Multitech, Ośrodku Postępu Technicznego Naczelnej Organizacji Technicznej, Przedsiębiorstwie Ekoleasing S.A. w Warszawie, Biurze Projektów „Stolica”, Metanel S.A., Business Contract LTD sp. z o.o. oraz w Przedsiębiorstwie Robót Górniczych i Wiertniczych w Warszawie.

Na zlecenie różnych podmiotów prawnych tworzyłem też nowe spółki kapitałowe, w których często byłem następnie członkiem zarządu, bądź rad nadzorczych. Do ważniejszych należały: spółka polsko-niemiecka „Polnisax”, utworzona przez przedsiębiorców dolnosaksońskich i polskich, w której byłem prezesem zarządu, spółka „MetiD” sp. z o.o., „Intergeo” sp. z o.o., zajmująca się eksportem usług wiertniczych za granicą, spółka polsko-amerykańska „Intergeotest”, zajmująca się pomiarem stanu paliwa na stacjach benzynowych bez konieczności wyłączania stacji z ruchu (spółkę tę odkupiliśmy z Adamem Hardym od Amerykanów i prowadziliśmy dalej bez ich udziału). W latach 1991-1993 byłem też ekspertem w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Dużą satysfakcję sprawiała mi praca w spółce PROEKO sp. z o.o. Założyliśmy ją w roku 1991 z inicjatywy Marylki Nyczaj, mojej współpracownicy jeszcze z CUG, a później pracownika departamentu nauki w Ministerstwie Ochrony Środowiska, z grupą pracowników tego departamentu. Jej idea była prosta: spółka miała dostarczać wspólnikom zleceń na różne opracowania związane ze środowiskiem, o oni mieli zadbać o zlecenia dla spółki, m.in. z ministerstwa. Idea była naiwna. Nie uwzględniła nowej sytuacji, w której zaczęła obowiązywać ustawa o zamówieniach publicznych. Po wejściu jej w życie idea wzięła w łeb. Ale spółka powstała ze mną jako prezesem zarządu.



Autor w stroju urzędowym

Sytuacja uległa zasadniczej zmianie po przystąpieniu do spółki Bronisława Kamińskiego. Bronek był po rocznym ministrowaniu w rządzie Mazowieckiego w charakterze ministra ochrony środowiska i po rocznym prezesowaniu nowej potężnej agencji państwowej, Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Zaproponowaliśmy mu przystąpienie do spółki licząc tak na jego kompetencje, jak i kontakty środowiskowe. Po namyśle Bronek przystąpił do spółki i objął funkcję prezesa zarządu. Ja zostałem wiceprezesem zarządu, a po pew-

nym czasie przewodniczącym rady nadzorczej, którą to funkcję sprawowałem do czasu wykupu spółki przez firmę amerykańską CDM w roku 2007.

Początkowo mieliśmy obawy, czy Broniek z doświadczeniem ministra, prezesa agencji, a przedtem kierownika działu środowiska RWPG w Moskwie, sprawdzi się w biznesie. Ale były to obawy bezzasadne. Broniek doprowadził spółkę do niebywałego rozwoju. Spółka uczestniczyła w licznych przetargach na poważne przedsięwzięcia inwestycyjne w wielu miastach. Miała też sukcesy w przedsięwzięciach zagranicznych finansowanych przez Bank Światowy. Spółkę sprzedaliśmy z dużym zyskiem – była to najlepsza spółka, którą utworzyłem i współkierowałem w tym okresie.



Zarząd i Rada nadzorcza PROEKO sp. z o.o.

Siedzą od lewej: wiceprezes K. Kamiński, prezes B. Kamiński (minister środowiska w rządzie T. Mazowieckiego) i Autor - przewodniczący Rady Nadzorczej. Stoją od lewej: J. Kwiatkowski, NN, J. Bzowski, K. Kędzierski, J. Domek i prezes Podgajniak (minister środowiska w rządzie Marka Belki), NN, NN, NN.

Przedmiotem działalności kancelarii prawniczej DELTA była przede wszystkim problematyka związana ze sporządzaniem umów, zamówień publicznych, leasingu, badań geologicznych i ochrony środowi-

ska, ale też problematyka prawa podatkowego i zastępstwa procesowego przed sądami i przed urzędem zamówień publicznych w sprawach przetargowych. Miałem też liczne kontakty zagraniczne w Niemczech: w Berlinie, Hanowerze, Celle, Bonn i Marburgu. Były to głównie pertraktacje handlowe odnoszące się do kontraktów, ale też przypadki występowania przed urzędem górniczym w sprawach wypadków przy pracy. Stale współpracowałem z niemiecką kancelarią adwokacką w Werne, w Westfalii (*Anwaltskanzlei Schauder & Oswald Blaschke*), w imieniu której występowałem jako substytut przed sądami polskimi lub reprezentując ich mocodawców na terenie Polski.

Szereg wyjazdów do RFN utkwiło mi w pamięci ze względu na szczególne okoliczności, jakie im towarzyszyły. Najczęściej bywałem w Dolnej Saksonii, gdzie stosunki umowne między moimi mocodawcami a klientami niemieckimi były najbardziej ożywione i bliskie. W Hanowerze byłem w szczególnym momencie, a mianowicie 9 listopada 1989 r. Postanowiliśmy utworzyć z partnerami niemieckimi Klub Gospodarczy Polska-Dolna Saksonia. Po zebraniu inauguracyjnym spotkaliśmy się wieczorem w winiarni w liczniejszym gronie na uroczystej kolacji. W trakcie kolacji dotarła do nas wiadomość, że władze NRD ogłosiły otwarcie granic w Berlinie. Wiadomość była sensacyjna, konsternacja ogromna. Cała dalsza dyskusja sprowadziła się do tego tematu.

Następnego dnia wracaliśmy z Adamem Hardym samochodem do kraju. Na granicy NRD-RFN w Helmstedt napotkaliśmy niesamowity widok: na pasie autostrady z Magdeburga do Helmstedt, na przestrzeni około 50 km jechał, a właściwie posuwał się krok w krok na całej szerokości jezdni, sznur samochodów. Obywatele NRD hurmem próbowali dostać się na teren Republiki Federalnej, czego im władze NRD od 1961 r. zabraniały. Władze RFN fundowały w tym dniu każdemu przyjeźdnemu 50 DM na koszty krótkiego pobytu. Do dzisiaj mam przed oczyma ten widok.

Pamiętam też mój pierwszy wyjazd do Bonn. Elektrownia Kozienice zleciła firmie Ekoleasing S.A., której byłem doradcą prawnym, podjęcie próby uzyskania kredytu na leasing instalacji odsiarczania. Chodziło o kredyt w wysokości kilku milionów DM. Podjęliśmy taką próbę w państwowym banku niemieckim Ausgleichbank, w Bad Godesberg. Na targach ochrony środowiska w Poznaniu poznałem przedstawiciela tego

banku. W rozmowie dowiedziałem się, że bank udziela kredytów preferencyjnych na inwestycje z dziedziny ochrony środowiska, jeżeli inwestycja zakończy się pozytywnym efektem dla środowiska w Niemczech. Pamiętając tę rozmowę, skontaktowałem się z Ausgleichbankiem w Bonn i uzgodniliśmy termin wizyty w banku. Z prezesem Ekoleasingu S.A., Tadeuszem Romanowskim udaliśmy się na rozmowy.

Byliśmy pierwszymi przedstawicielami z Polski, którzy się w tym banku z pytaniami o kredyt zjawili. Już z tego powodu spotkaliśmy się z ciekawością i życzliwym przyjęciem. Rozmowy z zarządem były rzeczowe i zachęcające. Bank był skłonny udzielić kredytu na inwestycję pod dwoma warunkami: wykazanie, że inwestycja wywrze pozytywny efekt na środowisko także w RFN, a kredyt będzie udzielony nie bezpośrednio inwestorowi, ale bankowi wskazanemu przez nas i akceptowanemu przez Ausgleichbank (w późniejszym czasie przedstawiliśmy ekspertyzę Politechniki Warszawskiej, w której udowodniliśmy, że taki pozytywny efekt będzie występować, co spowodowało, że bank warunek uznał za spełniony).

Po uzgodnieniu stanowisk zostaliśmy zaproszeni na lunch. W toku rozmów przy obiedzie okazało się, że i ja i Tadeusz Romanowski jesteśmy w Bad Godesberg po raz pierwszy. Nasi gospodarze zaproponowali nam zwiedzenie miasta. Dyrektor departamentu kredytowego pokazał nam najciekawsze obiekty w mieście wraz z Petersbergiem, gdzie została podpisana kapitulacja Niemiec w 1945 r. W trakcie przejażdżki przez Bad Godesberg zauważyliśmy, że nazwy ulic noszą nazwiska polityków niemieckich z okresu republiki weimarskiej. W pewnym momencie Tadeusz Romanowski zapytał naszego gospodarza, kto to był von Mirbach, od którego nazwiska nosiła nazwę ulica, którą przejeżdżaliśmy. Nasz gospodarz nie umiał na to pytanie odpowiedzieć. Wówczas doznałem nagłego przeblysku pamięci. Przypomniała mi się historia WKP(b), w której był opisany incydent zabójstwa w roku 1918 pierwszego ambasadora Niemiec przy rządzie bolszewickim, właśnie von Mirbacha. Nie omieszkalem podzielić z tą informacją z obecnymi, co wywołało zdumienie gospodarza. Tak więc uważne czytanie historii WKP(b) przydało się też w rozmowach handlowych.

Inny wyjazd, który utkwił mi w pamięci, to wyjazd do Bergen na wyspie Rugii. Zapamiętałem go, ponieważ jechaliśmy przez Stralsund,

miasto w którym spędziłem wojnę i w którym chodziłem do szkoły. Doszedł on do skutku w szczególny sposób. Któregoś dnia rano zadzwonił telefon i odezwał się głos w języku niemieckim. Rozmówca przedstawił się jako adwokat z Bergen i zaproponował mi wygłoszenie cyklu wykładów dla niemieckich prawników i przedsiębiorców na temat polskiego prawa gospodarczego i podatkowego. Powiedział, że kontakt na mnie uzyskał od swojego przyjaciela z Hanoweru. Kiedy wyraziłem wstępną zgodę, zaprosił mnie do Bergen celem omówienia szczegółów oraz poznania się. Chętnie się zgodziłem. Pobyt był przyjemny tym bardziej, że mój interlokutor miał licencję pilota i mogłem Rugby zobaczyć z lotu ptaka oraz pilotować samolot na krótkich odcinkach.

W roku 1992 byłem członkiem delegacji Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej do Landtagu Dolnej Saksonii. Na czele delegacji stał prezes Bronisław Kamiński. Byliśmy podejmowani na plenarnej sesji Landtagu i miałem okazję poznać szefa frakcji socjaldemokratów w Landtagu, późniejszego kanclerza federalnego, Schrödera.

Oprócz wyjazdów do Niemiec pozostały mi w pamięci dwa niedoszłe wyjazdy. Pierwszy miał dotyczyć planowanych pertraktacji umów w Celle, gdzie wyjechałem z dyrektorem Geopolu, Pawłem Hołownią. Wyjechałem, ale nie dojechałem. Wsiedliśmy późnym wieczorem do pociągu w relacji Warszawa-Hanower. Przed granicą w Rzepinie obudziła nas kontrola graniczna. Zaspany chciałem wyjąć dokumenty z kieszeni, ale ani portfela, ani paszportu, ani pieniędzy nie było. Musiałem wysiąść z pociągu i wracać do Warszawy.

Drugi przypadek niedosłego wyjazdu do Niemiec miał miejsce 11 listopada 1990 r.. Przygotowywałem się do wyjazdu do Hanoweru, gdzie miałem wziąć udział w dyskusji panelowej na temat polskiego prawa handlowego i podatkowego. Wyjazd był planowany na wieczór tego dnia. Nagle moja żona Basia straciła przytomność. Wezwałem pogotowie, które odwiozło ją do szpitala, gdzie wieczorem zmarła na zawał. Oczywiście nie wyjechałem.

Działalność kancelarii świadomie ograniczałem na odcinku uczestniczenia w zarządzaniu spółkami. Utrzymywałem działalność w dziedzinie obsługi prawnej podmiotów gospodarczych. Na zakończenie mojej

działalności pozostały mi dwie jednostki: spółka Proeko sp. z o.o. i Przedsiębiorstwo Robót Wiertniczych i Górniczych.

Praca w tym przedsiębiorstwie warta jest szczególnej wzmianki. Po pierwsze dlatego, że przedsiębiorstwo to był najstarszym przedsiębiorstwem geologiczno-wiertniczym podległym CUG. Po drugie jest to przedsiębiorstwo działające bez przerwy od stu lat. Zostało ono utworzone w roku 1912 jako prywatne przedsiębiorstwo pod nazwą „*Biuro Wiertnicze i Robót Górniczych M. Łempicki i Spółka*” i przy zmianach nazwy funkcjonowało do roku 1947, kiedy zostało upaństwowione. W roku 1950 zostało przekształcone na profil przedsiębiorstwa wierceń poszukiwawczych i przy różnych zmianach nazwy i przynależności resortowych dotrwało do roku 2008. 1 stycznia 2009 przedsiębiorstwo zostało sprywatyzowane przez pracowników. W styczniu 2012 spółkę od pracowników odkupił prywatny przedsiębiorca, Wiesław Podraża. Zastrzyk inwestycyjny spowodował, że potencjał przedsiębiorstwa się podniósł, co umożliwiło przekształcenie w spółkę akcyjną G. Drilling S.A.

Mój pierwszy kontakt z tym przedsiębiorstwem miał miejsce w roku 1961. Po reorganizacji wykonawstwa prac geologicznych resortu geologii, dyrektorem warszawskiego przedsiębiorstwa został Bohdan Pawlak (zbieżność nazwisk przypadkowa). Ponieważ znaliśmy się ze współpracy w Gdańsku, zaproponował mi pracę w charakterze wicedyrektora. Kontrakt nie doszedł do skutku, ponieważ warszawski komitet PZPR nie wyraził zgody na moją kandydaturę, co w tamtym czasie było warunkiem sine qua non. Po raz drugi „nawiązaliśmy kontakt”, tzn. ja i Przedsiębiorstwo Robót Wiertniczych i Górniczych w Warszawie, w roku 1976. Wtedy przedsiębiorstwo weszło w skład nowopowstałego Kombinatu Geologicznego „Północ”, a ja w tym kombinacie zostałem powołany na wicedyrektora ds. ekonomicznych. Nie tylko poznałem przedsiębiorstwo od podszewki, ale nawiązały się pomiędzy mną a kadrą kierowniczą stosunki koleżeńskie, a z niektórymi przyjacielskie. Na przykład z dyrektorami: Zdzisławem Uliaszem, Janem Smoleniem i Józefem Milem, a i z dyrektorami technicznymi i ekonomicznymi Ryszardem Kreidem, Maciejem Raczkowskim, Andrzejem Borkowskim i Jarosławem Sakwą.

Po kilku latach, kiedy ja już odszedłem z geologii, dyrektor Jan Smoleń zaproponował mi obsługę prawną przedsiębiorstwa i ja ofertę przyjąłem. Współpracę ze Smoleniem wspominam bardzo mile, gdyż

oprócz spraw prawnych łączył nas inny temat, a mianowicie historia Polski. Obaj byliśmy z zamięłowania historykami. Niestety jego nagła śmierć zakończyła naszą, nie waham się powiedzieć, przyjaźń. Po śmierci Smolenia Rada Robotnicza przedsiębiorstwa powołała na to stanowisko Józefa Mila. Tak jak ze Smoleniem, tak z Milem miałem stosunki przyjacielskie. Nie było to trudne, bo i jeden i drugi byli znakomitymi fachowcami, a ponadto niezmiernie kontaktowymi ludźmi. Mil doprowadził przedsiębiorstwo do znacznych sukcesów, dzięki czemu udziałowcy, a byli nimi pracownicy przedsiębiorstwa, sprzedali je z dziesięciokrotnym przebieciem. W następstwie tego przedsiębiorstwo przekształciło się spółkę akcyjną. Można powiedzieć, że stało się znaczącym przedsiębiorstwem geologicznym w kraju i osiągnęło największy sukces wśród przedsiębiorstw byłego CUG.

Na tym zakończyła się moja praca w branży geologicznej. Trwała ona od 1 maja 1953 r. do 31 stycznia 2011 roku. A więc ponad 50 lat. Funkcja Przewodniczącego Rady Nadzorczej w Przedsiębiorstwie Robót Wiertniczych i Górniczych Warszawie była moją ostatnią pracą, nie tylko w geologii, ale też moją ostatnią pracą w ogóle.

Emerytura - Klub Jasna 6

Po pełnym przejściu na emeryturę zaczęło mi brakować towarzystwa przyjaciół i kolegów. My, emeryci z CUG, nie mieliśmy zaplecza, które mieli nasi koledzy z funkcjonujących instytucji i przedsiębiorstw. Instytucje te umożliwiały swoim emerytom chociaż oddanie do dyspozycji salki, czy pokoju na spotkania, które są warunkiem wstępnym do integracji i spotkań koleżeńskich. Emeryci po byłym CUG nie mieli możliwości kontynuowania starych więzi z pracy i starych przyjaźni.

Przez wypowiedzenie mi pracy w likwidowanym CUG utrzymywałem ściślejsze stosunki z Adamem Hardym, z którym współpracowałem na różnych płaszczyznach. Przyjęliśmy taki oto rytuał: raz w miesiącu spotykaliśmy się na obiedzie, każdorazowo w innej restauracji, płacąc rotacyjnie za obiad. W ten sposób można nas było uznać za znawców warszawskiej gastronomii. Czasami doszlusowywał do nas ktoś trzeci, czy czwarty. Zrodziła się myśl powiększenia kręgu kolegów emerytów. I tak powstała idea Klubu Jasna 6, od adresu siedziby Centralnego Urzędu Geologii. Założycielami klubu byli oprócz mnie Adam Hardy, Jerzy Bareja i Wojciech Salski. Sukcesywnie doszlusowywali: Marian Ciechanowski, Ryszard Cichy, Jan Żytka, Sławek Łodziński i Zenek Michota.

Pierwsze spotkanie odbyło się 8 grudnia 2008 r. w moim mieszkaniu przy ulicy Egejskiej 1. Kolejne spotkania były 6 kwietnia 2009 r. i 25.11.2009 r.. Na spotkaniu 20 marca 2010 r. podjęliśmy decyzję ujęcia naszych spotkań w ramy organizacyjne i przyjęcia nazwy „Klubu Jasna 6”. Mógł być „klub Ordynacka”, do którego należeli absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego określonych orientacji, to może być też i „Klub Jasna 6”.

Poza pierwszym spotkaniem, wszystkie dalsze odbywały się w małej salce gmachu Naczelnej Organizacji Technicznej przy ulicy Czackiego 3/5. To był stały adres naszych spotkań, z wyjątkiem dwóch, które odbyły się w Pałacu Staszica przy Krakowskim Przedmieściu. Wybraliśmy zarząd klubu w osobach: Jerzy Pawlak (prezes), Marian Ciechanowski, Zenon Michota, Wojciech Salski i Jerzy Bareja.



Klub Jasna 6.

Stoją od lewej: S. Łodziński, S. Jamróż, J. Żurko, B. Hac, Autor, B. Orłowski, Z. Korab, Z. Michota, W. Fortuna, W. Salski i J. Żytka.

Weszło w zwyczaj, że zarząd, którego zadaniem było zorganizowanie kolejnego spotkania Klubu Jasna 6, zbierał się na zebrania (egzekutywa) w mieszkaniu prezesa, którego z kolei zadaniem było przygotowanie posiedzenia. Na zarządzie, którego skład ulegał fluktuacji na skutek ubytków i samowolnych dokooptowań, postanowiliśmy, że każde spotkanie klubu będzie miało następujący porządek: lunch, rozmowy towarzyskie i obowiązkowo referat z dyskusją. Tematykę referatu uzgadnialiśmy na posiedzeniu zarządu klubu, a były to: „wspomnienia z działalności CUG” – Rysiek Cichy, „opublikowana książka” – Jerzy Pawlak, „wspomnienia ze studiów w Moskwie i z badań i poszukiwań ropy i gazu na Syberii” – Jan Żytka, „problemy gazu z łupków i problematyka eksportu usług geologicznych” – Adam Hardy, „o poszukiwaniu uranu w Polsce” – Wojtek Bareja, „o likwidacji baz wojsk radzieckich” – Bronek Hac, „dokumentowanie złóż miedzi w Polsce” – Wojtek Salski, „sytuacja na Ukrainie” – Jan Żytka, „problematyka geologiczna Gór Świętokrzyskich” – prof. Stanisław Orłowski. Tak więc było nie tylko *panem* ale i *circenses*.

Najwięcej wysiłku i koncepcji w nasze intelektualne zajęcia na spotkaniach włożył prezes Żytka – i w wymyślanie tematyki, i w osobiste

aktywne zaangażowanie przy podejmowaniu tematów. Janek był też niezmordowany w podсылaniu nam ciekawych materiałów per e-mail.

Oprócz „plenarnych” posiedzeń Klubu Jasna 6, częściej odbywaliśmy zebrania zarządu. Uczestniczyło w nich 6-7 osób. Moją rolą było zapewnienie zakąsek, a inni przynosili własnej roboty nalewkę. Tutaj tematyka „obrad” była bardzo zróżnicowana. Oprócz tematów związanych z przygotowaniem kolejnych spotkań Klubu, omawiano aktualną sytuację gospodarczą i polityczną w kraju ze szczególnym uwzględnieniem problematyki związanej z geologią i ochroną środowiska. Formułowaliśmy też „wytyczne” dla rządu, ale tych rząd niestety nie słuchał i robił swoje ze szkodą dla społeczeństwa, o czym byliśmy przekonani. Okazało się niestety, że mieliśmy rację. W roku 2015 wybory prezydenckie i wybory powszechne wygrała partia Jarosława Kaczyńskiego.



*Zarząd Klubu Jasna 6 na „sesji wyjazdowej”.
Stoją od lewej: J. Żytka, Autor, M. Nyczaj, A. Hardy i W. Salski.*

ROZDZIAŁ VII

NIE SAMĄ PRACĄ CZŁOWIEK ŻYJE

Naukowcy podkreślają znaczenie relaksu dla funkcjonowania naszego organizmu. W stanie relaksu nasz umysł chłonie podobno mimo woli nowe wiadomości, a ciało jest odprężone, co ma dobroczynny wpływ na funkcjonowanie organizmu. Jako klasyczny przykład podaje się historię Archimedesesa, który po kąpieli, a więc po relaksie, wyskoczył z wanny z okrzykiem „Eureka” po odkryciu siły wyporu. Relaks powoduje rzekomo podwyższenie odporności na stres, wzmacnia system odpornościowy, a nawet pomaga leczyć zaburzenia snu. Dlatego problem odpoczynku po pracy, problem urlopu i sposób jego spędzania, rodzina i odpoczynek odgrywa coraz większą rolę w organizacji naszego życia. Ma też decydujący wpływ na rozwój kultury.

Od lat siedemdziesiątych proponuje się przemęczonym mieszkańcom Europy koncepcję *work-life-balance* jako ratunek, dzięki czemu pracownik ma uzyskać równowagę między życiem zawodowym i prywatnym. Pozwoli to mu wygospodarować czas na samorealizację. Praca, rodzina, odpoczynek i hobby mają tworzyć harmonię pomiędzy karierą a życiem prywatnym. Idea szukania i równowagi zyskuje również w Polsce zrozumienie i popularność. Spisując wspomnienia koncentrujemy się zwykle na sprawach, które wydają się nam najważniejsze: na pracy, na szkole, czy studiach. Inne problemy poruszamy niejako „przy okazji”. W tym rozdziale wspominam, jak w okresie mojego życia wyglądała organizacja wypoczynku i czasu wolnego.

Wakacje przed wojną.

Wakacji przed wojną w Pelplinie (lata 1935-1939) nikt nam nie organizował, ani szkoła, ani zakłady pracy. Pojęcie kolonii dla dzieci było nam nieznane. Pamiętam, że dla dzieci rodziców bezrobotnych organizowano tzw. półkolonie w miejscu zamieszkania, jako pomoc socjalną dla bezrobotnych. Inne dzieci, w tym ja, większość wakacji spędzały w domu, na podwórku, organizując sobie zajęcia we własnym zakresie. Żyło się biednie, mimo iż Pelplin znajdował się w zamożniejszej części Polski. Pamiętam, że część uczniów mojej klasy przychodziła latem do szkoły boso, albo, jak to się u nas mówiło, w korkach (obuwie z drewnianej podeszwy i tylko palce były okryte skórą, a pięty bez osłony), a w zimie w skarpetach i w korkach. Zimą podbijali pod te drewniane podeszwy dwa grube druty i to były łyżwy. Prawdziwe łyżwy miały tylko dzieci zamożniejszych rodziców, ale były to łyżwy przykręcane do butów. Łyżew, które by stanowiły całość z butami, jakie znamy dzisiaj, nie miałem. Ale nie było też w Pelplinie sztucznego lodowiska. Na łyżwach biegaliśmy na zamrożonej rzece Wierzycy, albo zjeżdżaliśmy z zamrożonej zlodowaciałej góry jak na nartach, które w Pelplinie były prawie nie znane.

Mieszkaliśmy około 50 km od morza, ale morza do wojny nie widziałem. Wyjazdy w wakacje były nie nad morze i nie w góry, ale do najbliższej rodziny. Pamiętam takie wyjazdy do dziadków w Bydgoszczy i Miłosławiu oraz do ciotek na Kujawach. Dziadkowie mieszkali tam w dzielnicy Szwederowo, a wujostwo w Kołodziejewie pod Inowrocławiem. Tylko dzieci zamożniejszych rodziców wyjeżdżały na tzw. letnisko.

W roku 1934 rodzice zabrali mnie w czasie wakacji do siostry ojca w Legionowie, gdzie wuj był sierżantem w pułku baloniarzy. Z tego wyjazdu pamiętam trzy zdarzenia. Wujostwo zamieszkiwali w budynekach mieszkań rodzin oficerskich (obecnie jest tam wytwórnia namiotów), w parku. W niedzielę po burzy utworzyły się na drózkach parku błotniste kałuże. Mój kuzyn, Jędrzek, rok starszy ode mnie i ja postanowiliśmy pomalować ściany na klatce schodowej błotem z kałuży. I zrobiliśmy to. Wybuchła kosmiczna awantura. Dostałem ostrą reprimendę od ojca, ale mojego kuzyna Jędrka jego ojciec niesamowicie zbił. Wściekłość wuja

wynikała z tego, że w tym budynku mieszkały rodziny oficerskie, a tu syn sierżanta zrobił mu taki wstyd! Do dziś to pamiętam, bo u mnie coś takiego nie było jednak możliwe.



*Wyjazd na wakacje do rodziny. Zdjęcie z roku 1938 z Bydgoszczy.
Od lewej: Witold, Danusia, NN i Autor. Z tyłu matka Autora.*

Dwa dalsze wspomnienia dotyczą Warszawy. Był ładny, pogodny dzień. Poszliśmy całą rodziną na spacer do parku łańkowskiego. Tam, niedaleko wejścia z obecnej ulicy Gagarina, był i jest do dziś, mały mostek nad strumykiem, z którego widoczny jest taras Belwederu. Na tarasie widać było kilka osób. Rodzice wytłumaczyli mi, że wśród nich był marszałek Piłsudski, co było prawdopodobne. Odtąd chwaliłem się kolegom, że widziałem marszałka Piłsudskiego na własne oczy.

Drugie warszawskie wspomnienie dotyczy Krakowskiego Przedmieścia w okolicach kolumny Zygmunta i Zamku Królewskiego. Staliśmy na przystanku tramwajowym kiedy podjeżdżał tramwaj z mostu Kierbedzia pod górkę, właśnie na Krakowskie Przedmieście. Mam przed oczyma ten zakręt (tunelu jeszcze nie było) mimo upływu ponad 80 lat.

Rodzice przed wojną wyjeżdżali (nie licząc wyjazdów służbowych ojca) dwukrotnie: matka na wycieczkę do Gdyni, z okazji pierwszego rejsu statku „Piłsudski” do Nowego Jorku, a ojciec w roku 1937 do sanatorium w Truskawcu.

Wakacje i urlopy w pierwszych latach powojennych.

W czasie wojny ani urlopów, ani wyjazdów na wakacje nie było. Po wojnie, w roku 1945 i 1946 wakacje szkolne były, ale spędzałem je w pracy przy żniwach, u wujów mojej matki w Mierucinie i w Wiecanowie koło Mogilna. W domu było nas czworo dzieci, a pensja urzędnicza ojca za skromna, żeby pozwalała na wyjazdy wakacyjne. W roku 1947 zacząłem od 1 lipca pracować w Urzędzie Skarbowym w Sopocie, więc urlopu nie było. Ale pobyt w Sopocie rekompensował mi atrakcje wakacyjne tego lata. W roku 1948 przygotowywałem się i zdawałem egzamin do Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie – z urlopu więc nici. Pierwszy raz w życiu wyjechałem na wakacje w roku 1949, w Karkonosze.

W roku 1951 zaręczyłem się z Basią Jasińską. Postanowiliśmy na urlop w lecie wyjechać w góry. Koło Suchej, we wsi Stryszawa, prawie u podnóża Babiej Góry, w osadzie o nazwie Siwcówka, rodzice Basi nabyli przed wojną kawałek ziemi, którego nie zdążyli zabudować. Pojechaliśmy tam z Basią i jej mamą jako przyzwoitką. Wynajęliśmy u górala dwa pokoje: jeden dla mnie, a drugi dla Basi i jej mamy. Na szczęście mama Basi była bardzo pobożna i chodziła co rano na mszę (w Siwcówce spędzał w tych latach corocznie urlop kardynał Stefan Wyszyński).

Miejsce było naprawdę urocze. Była okazja wspinać się na Babią Górę, skąd był wspaniały widok na Zawoję. W drodze powrotnej zwiedziliśmy Kraków, w którym byłem wtedy po raz pierwszy. Miałem wspaniałego *cicerone* w osobie Basi, która Kraków знаła. Zwiedziłem wszystkie krakowskie miejsca i osobliwości. Robiłem to w przyszłości często z przekonaniem, że Kraków (a później też Lwów), to najbardziej polskie miasta. Zawsze po pobycie w Krakowie – na Wawelu, na krakowskim rynku i w kawiarni Jama Michalikowa – czułem się patriotycznie podładowany.

W roku 1951, po ślubie zamieszkaliśmy w Sopocie, gdzie sam pobyt zastępował wyjazd na wakacje. Tym bardziej, że mieszkaliśmy na ulicy Rokossowskiego 48 (obecnie Monte Casino), a więc blisko mola. W roku 1952 urodził nam się pierwszy syn – Antek. To spowodowało, że dwa lata spędziliśmy na miejscu.

W 1954 roku wykupiliśmy sobie tzw. wczasy orbisowskie w Wydminach koło Giżycka. Wczasy polegały na tym, że mieszkało się w prywatnym domu, a posiłki jadało w miejscowej gospodzie. W pamięci oprócz ładnego jeziora pozostało mi fatalne wyżywienie. Był to bowiem rok bardzo kiepskiej aprowizacji nie tylko w Wydminach. Pamiętam jak „rzucili” do sklepu kielbasę, to była ona niejadalna.



Urlop w Karkonoszach, lata 1950-te. Od frontu: Basia i Autor.



W Stryszawie-Siwcówce, 1951



Na spacerze z Antkiem w Sopocie, 1953

W następnych latach jeździliśmy w czasie urlopu na tzw. wczasy pracownicze do Polanicy i Międzyzylesia na Dolnym Śląsku. W roku 1955 rodził nam się drugi syn Maciek, wobec tego w tym roku z moim kolegą z pracy, Ryszardem Kotem, postanowiliśmy zrobić motocyklowy objazd po Polsce. Z Gdańska zrobiliśmy rundę przez Lublin, Zamość, Sanok, Warszawę, Wrocław, Jelenią Górę, Nysę, Poznań i z powrotem do Gdańska.

Była to pouczająca wycieczka. Po raz pierwszy zobaczyłem Polskę wschodnią, tzw. Polskę B. Rzeczywiście odbiegała ona od wizerunku Polski, jaką znałem. Różnica pomiędzy dawnym zaborem rosyjskim i austriackim, a zwłaszcza pruskim była widoczna, zwłaszcza w aspekcie urbanistyczno-architektonicznym. Niekiedy te różnice są do dzisiaj widoczne: np. Golub-Dobrzyń czy Bielsko-Biała. Ale różnice sektorowe pomiędzy zaborami były nie tylko wizualne, były też mentalne. Bariery graniczne połączone z odmiennymi przez dłuższy czas warunkami życia wywierały tu widoczny wpływ. Pamiętam je z okresu przedwojennego.

Na Pomorzu, czy w Wielkopolsce, małżeństwo panny z kimś z tzw. Kongresówki czy Galicji było postrzegane przez tubylców jako megalians. Dowodziły tego opowiadane wówczas kawały: „*Po kilku latach*

niewidzenia spotyka się trzech przyjaciół: warszawiak, krakowianin i poznaniak. To okazja, żeby wypić. Warszawiak powiada; ja przyniosę wódkę, poznaniak; ja przyniosę zagrychę, a krakowiak mówi; dobra, ja przyprowadzę szwagra..."



Z Ryszardem Kotem na rajdzie motocyklowym dookoła Polski, 1955.

Dzisiaj te różnice mentalności dzielnicowej zanikły. Ja w każdym razie już ich nie doświadczyłem. Natomiast, że one są możliwe, świadczy przykład powojennego podziału i następnie połączenia Niemiec. Zaistniał wtedy wyraźny antagonizm pomiędzy tzw. „Ossis” z NRD i „Wessis” z RFN. Jedni o drugich mówili bardzo niepochlebne rzeczy, czego sam niejednokrotnie doświadczyłem.

Pouczająca była ta podróż i dlatego, że miałem wreszcie okazję zobaczyć tzw. Ziemię Odzyskaną na południu Polski: Dolny Śląsk, Karkonosze, miasta: Nysę i Jelenią Górę i uzdrowiska: Świeradów, Cieplice, Bierutówice itp.

Urlopy w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych

W połowie lat 1950. napór na spędzanie urlopu w ośrodkach wypoczynkowych stał się tak powszechny, że zaczęło brakować miejsc w domach wczasowych, prowadzonych przez związkowy Fundusz Wczasów Pracowniczych. Zaspokojenie tych zwiększonych potrzeb nastąpiło dwoma drogami.

Po pierwsze, zakłady pracy, ulegając presji pracowników zaczęły tworzyć bazy wypoczynku dla swoich pracowników. Przykład dawały zakłady górnicze, dysponujące największymi środkami finansowymi, budując np. zespół pensjonatów w Jaszowcu koło Wisły. Wiadomo, że górnicy stanowili w PRL uprzywilejowaną kastę. Inne zakłady nie miały takiej możliwości i budowały skromniejsze ośrodki, składające się z prymitywnych domków z płyt pilśniowych, czy paździerzowych, podobne z wyglądu do namiotów. Stawiano je w lasach nad jeziorami i na innych gruntach państwowych, bez zachowania przepisów inwestycyjnych, jako że były to obiekty tymczasowe.

Postępowałem w przedsiębiorstwie tak samo. Na pojezierzu brodnickim, niedaleko Brodnicy, utworzyliśmy ośrodek kempingowy nad jeziorem Bachotek, w pięknej okolicy, obok stacji wodnej. Ja i moja rodzina korzystaliśmy z tego obiektu. Pamiętam, że podczas pobytu w ośrodku w roku 1961 dowiedzieliśmy się o locie w kosmos Jurija Gagarina.



*Gowidlinek - ośrodek wczasowy Przeds. Hydrogeologicznego, 1964.
Widoczní, od lewej: J. Iwaszewski, D. Olenska i Autor.*

Kiedy opuszczaliśmy ten teren po kilku latach, przenieśliśmy ośrodek do Wieprznicy na Kaszubach, a następnie do Gowidlinka koło Sierakowic. Ale tu już mieliśmy budynki murowane, m.in. adoptowane po kurnikach.



Basia w Bachotku.

Domek campingowy Przedsiębiorstwa Hydrogeologicznego, 1961.

Podobne ośrodki tworzyły też inne przedsiębiorstwa geologiczne: przedsiębiorstwo wrocławskie nad morzem w Rowach, warszawskie we Władysławowie, krakowskie w Krynicy. Z czasem przedsiębiorstwa zorganizowały wymianę wczasowiczów. I tak, skorzystałem w roku 1963 z ośrodka krakowskiego przedsiębiorstwa geologicznego w Krynicy. Była to willa, w której poszczególnym rodzinom przydzielano pokoje z możliwością korzystania z kuchni do przygotowania śniadań i kolacji we własnym zakresie. Mankamentem był brak posiłków obiadowych, tym bardziej że funkcjonujące domy wczasowe nie godziły się na wydawanie obiadów gościom spoza domu wczasowego

Urlopy za granicą

Drugą drogą zwiększenia możliwości wypoczynku urlopowego były wyjazdy zagraniczne. Po długim okresie blokady wyjazdów zagranicznych, władze państwowe liberalizowały powoli przepisy w tej sprawie i ostrożnie zezwalały na zbiorowe wycieczki do krajów demokracji ludowej. Początkowo były to wycieczki organizowane przez związki zawodowe i organizacje notowskie. Później powstały możliwości wymiany urlopowiczów pomiędzy przedsiębiorstwami resortowymi i wreszcie dopuszczono do wyjazdów indywidualnych. Z takiej możliwości wymiany między polskimi i zagranicznymi przedsiębiorstwami skorzystałem, dwukrotnie spędzając urlop w Czechosłowacji. Ponadto, jako przedsiębiorstwo wymienialiśmy dzieci uczestniczące w koloniach letnich z przedsiębiorstwem w NRD.

Z przedsiębiorstwem hydrogeologicznym z NRD w Nordhausen uzgodniliśmy wymianę dzieci na kolonie letnie. Prowadziłem rozmowy z przedstawicielami przedsiębiorstwa niemieckiego, wśród których byli przedstawiciele organizacji związkowej i partii SED. Zbaraniałem, kiedy przedstawiciel SED zapewnił mnie, że w wymianie będą uwzględniane wyłącznie dzieci rodziców politycznie pewnych.

Wszystkie wyjazdy zagraniczne połączone były z wielkimi utrudnieniami. Należało wyrobić sobie paszport, co wymagało nie tylko wypełniania kilkustronicowych ankiet, ale też kilkugodzinnego stania w kolejce, celem oddania ankiety w biurze paszportowym i następnie po odbiór paszportu. Po powrocie paszport podlegał zwrotowi.

Z możliwości wyjazdu za granicę skorzystałem w tym czasie kilkakrotnie. W roku 1963 wziąłem udział w wycieczce notowskiej do NRD. Zwiedziliśmy południową część kraju: Lipsk, Drezno, Miśnia i okolice. Był to dla mnie wyjazd ciekawy z dwóch powodów: nie byłem nigdy w tych stronach, a po drugie w Niemczech byłem wtedy po raz pierwszy po wojnie. Zwiedzając Drezno, które szczególnie na skutek wojny ucierpiało, spotkaliśmy się ze strony niemieckiego przewodnika mówiącego po polsku z ostrym oskarżeniem aliantów za zbombardowanie tego pięknego miasta w lutym 1945, czyli w ostatniej fazie wojny. Wkurzyło mnie to i odpowiedziałem mu wprost: pamiętam to wydarzenie bardzo dobrze i pamiętam też, że my Polacy nie tylko nie byliśmy tym

bombardowaniem zmartwieni, ale odwrotnie – byliśmy z tego powodu bardzo uradowani. Przewodnik nic nie odpowiedział i odszedł. W roku 1968 brałem udział w wycieczce do ZSRR, organizowanej przez Koło Naczelnej Organizacji Technicznej. Zwiedziliśmy Moskwę, Leningrad i Carskie Sioło wraz z wszystkimi obiektami i miejscami godnymi zobaczenia. Wzięliśmy też udział w pochodzie z okazji n-tej rocznicy rewolucji październikowej w Moskwie.



*Na wycieczce NOT-owskiej w ZSRR, 1967.
Stoją od lewej: Autor, Cz. Godlewski i A. Tomaszewski*

W roku 1968 byliśmy też całą rodziną w ośrodku czeskiego przedsiębiorstwa geologicznego, nad jeziorem w okolicy Brna. Wróciliśmy dwa dni przed zajęciem Czechosłowacji przez wojska sowieckie.

W roku 1970 obroniłem pracę doktorską i z tej okazji zafundowaliśmy sobie z żoną wyjazd na urlop do Soczi nad Morzem Czarnym. Wtedy Orbis organizował takie wyjazdy do Soczi i do Picundy. Zobaczyliśmy piękne okolice, góry schodzące wprost do morza, wyjeżdżaliśmy na

wycieczki w góry, byliśmy w kolchozie uprawiającym herbatę i smakowaliśmy ją z konfiturami. Ale wśród tej pięknej scenerii nie udało nam się napić w kawiarni kawy poza kawą zbożową. Wyjeżdżaliśmy też na wycieczkę do Gagry w Gruzji. I tu spotkało nas kolejne rozczarowanie – po obiedzie podano herbatę ale nie oczekiwaną gruzińską, a słodki ulepek, który nie miał nawet smaku herbaty.

W roku 1964 kupiłem pierwszy samochód, czeską Skodę Octawię. Od tego czasu nasze urlopy spędzaliśmy podróżując samochodem. Zwiedziliśmy nie tylko Polskę, ale praktycznie wszystkie kraje demokracji ludowej, niektóre kilka razy: NRD, Czechosłowację, Węgry, Bułgarię i Rumunię.



Urlopy samochodowe „pod namiotem”, lata 1960-te. Ja i Basia.

W latach 1970. władze dopuściły możliwość wyjazdów do krajów zachodnich. Najpierw wymagane było zaproszenie stamtąd, a później też bez zaproszenia. W roku 1978 wyjechaliśmy samochodem do Grecji. Stało się to możliwe dzięki szwagrowi Basi, Grekowi z pochodzenia.

Dymitr Daulas, mąż siostry Basi, przyjechał do Polski w roku 1947 po wojnie domowej, jako emigrant, członek armii Markosa, w której był politrukiem i został tam skazany na karę śmierci. Polski rząd przyjął wtedy grupę greckich uciekinierów i osiedlił ich na Dolnym Śląsku. Dy-

mitr skończył studia ekonomiczne we Wrocławiu i studiował w Instytucie Nauk Społecznych dla partyjnych notabli przy KC PZPR. Na szczęście z czasem zmądrzał i przeszedł na pozycje socjaldemokratyczne.

Po ogłoszeniu amnestii w Grecji wrócił do Aten i pracował jako dziennikarz. Wydał siedmiotomowe dzieło „*Historia walk społecznych i socjalizmu*”. Współpracował z ambasadą polską w Atenach, a w czasie wizyty Wojciecha Jaruzelskiego w roku 1991 był tłumaczem jego rozmów z prezydentem Grecji. Był wyjątkowo sympatycznym człowiekiem. Bardzo nam się przydał jako przewodnik po Grecji. Jemu też zawdzięczaliśmy kwaterę na umiarkowanych warunkach w miejscowości letniskowej Loutraki nad morzem, naprzeciw Koryntu. Pod koniec pobytu doszła nas informacja o śmierci papieża Jana Pawła I.



Micio (Dymitr Daulas) z żoną i córką.

W roku 1980 postanowiliśmy z żoną wybrać się w podróż życia, a mianowicie samochodem na objazd Europy Zachodniej. Bywałem wprawdzie tam z okazji wyjazdów służbowych, ale były to wypadki kilkudniowe, związane z pracą. Basia natomiast nie miała dotąd okazji wyjazdu poza kraje obozu socjalistycznego.

Było to połączone z dużymi przygotowaniem logistycznymi. Dziś to sprawa prosta – trzeba spakować walizki, ewentualnie wziąć z biurka paszport, wsiąść do samochodu i jechać. Ale tak nie było w PRL. Po pierwsze, trzeba było wystąpić z uzasadnionym wnioskiem do Komendy Milicji o wydanie paszportu i odczekać na decyzję biura paszportowego. A pozytywna decyzja nie była wcale pewna, bo była to decyzja uznaniowa organu paszportowego. Druga sprawa, to zdobycie dewiz. W PRL obrót zagranicznymi środkami pieniężnymi nie był dozwolony. Można je było mieć, ale nie można ich było legalnie kupić. Zasadniczą trudność sprawiał sztuczny kurs walutowy.



Basia i ja

W latach odwilży politycznej istniały szanse na kupno ograniczonej ilości dewiz w Narodowym Banku Polskim po kursie nieco zbliżonym do kursu realnego, ale władze zezwalały na kupno tylko kilkudziesięciu dolarów, które starczyły za ledwie na napiwki, a nie sfinansowanie pobytu. Dewizy można było nabyć u tzw. cinkciarzy, którzy handlowali nimi na ulicy, z reguły przed bankami. Ale tu obowiązywał realny kurs waluty, który diametralnie różnił się od kursu urzędowego ustalanego arbitralnie przez państwo. Np. kurs obowiązkowy marki niemieckiej wynosił 4 zł, a kurs realny, wolnorynkowy ca 75 zł. Przy rachunku hotelowym za nocleg

50 DM oznaczało to w przeliczeniu na złotówki 3250 zł, a moja pensja dyrektorska wynosiła 7500 zł, czyli równowartość 100 DM.

A więc zasadniczą sprawą było zdobycie dolarów, czy innych zachodnich pieniędzy. Było to łatwiejsze, jeżeli miało się za granicą rodzinę, czy przyjaciół, którzy zapewniali chociaż noclegi. Ja takich możliwości nie miałem. Jak więc zdobywało się dewizy? Od dłuższego czasu gromadziłem marki i dolary, które zaoszczędziłem na delegacjach służbowych do krajów zachodnich. A w jaki sposób mogłem je zaoszczędzić, kiedy moje delegacje nie były ani częste, ani długotrwałe? Po pierwsze było zwyczajem rodaków, a i moim, wozić ze sobą w delegację środki spożywcze, żeby nie wydawać dewiz na wyżywienie. Po drugie można było, a to już trudniejsze i nielegalne, zdobywać fikcyjnie wygórowane rachunki za hotel. Wstyd powiedzieć, ale taką procedurę stosowano powszechnie. Robili to nawet ministrowie.

Tak więc polityka pieniężna stanowiła realną barierę dla wyjazdów zagranicznych do krajów zachodnich, nawet kiedy możliwe było zdobycie paszportu. Środki, które mi udało się zgromadzić na sfinansowanie planowanej wyprawy były więcej niż skromne. Zakładaliśmy, że będziemy nocowali w schroniskach młodzieżowych (*Jugendherberge*) co, jak sprawdziliśmy, było możliwe w miesiącach niewakacyjnych, za okazaniem legitymacji uzyskanej ze stowarzyszenia tych schronisk. Dlatego wyjechaliśmy w maju, po otrzymaniu wiadomości, że 15 maja urodził się nasz pierwszy wnuk Mikołaj.

Przez Czechosłowację wjechaliśmy do Bawarii, zwiedzając Monachium, Norymbergę, Ulm i okolice Jeziora Bodeńskiego. Ze Szwajcarii przez Zurich, Raperswil, Bazyleę i Genewę pojechaliśmy do południowej Francji – Grenoble, Marsylia, Tulon, Lazurowe Wybrzeże. Potem przez północne Włochy – Genua, Padwa, Florencja, Wenecja, aż do Austrii – Salzburg, Bad Ischl, Linz, Wiedeń. Wycieczka trwała miesiąc, zwiedziliśmy rzeczywiście bardzo wiele. W Monachium zatrzymaliśmy się, w wielkiej tajemnicy, na kilka dni u Basi przyjaciółki jeszcze z czasów wojny, Armii Zembrzuskiej-Wysockiej. Irma była czołową spikerką Radia Wolna Europa. Każdy kto słuchał radia Wolna Europa musiał ją słyszeć, bo pracowała tam od początku. Brała udział w Powstaniu Warszawskim, a jej fotografia jako powstańca znajduje się w muzeum Powstania Warszawskiego.

Gdy wracaliśmy, na granicy czesko-austriackiej czeski celnik kazał mi wynieść wszystkie bagaże do biura, gdzie dokonano drobiazgowego przeglądu walizek i toreb. Szczególne zainteresowanie wzbudziły egzemplarze paryskiej „Kultury”, niemieckie periodyki „Stern”, „Die Zeit” oraz polskie książki wydane na zachodzie, nabyte w Raperswil. Ale o dziwo nic nie zakwestionowano i mogliśmy jechać dalej. Ale jak się po chwili okazało, ten incydent miał konsekwencje. Na granicy czesko-polskiej w Kudowie czeski celnik nie oddał nam paszportów, lecz przekazał je bezpośrednio polskiemu celnikowi, coś przy tym mówiąc. Wynikiem tego był szczegółowy przegląd literatury, czasopism i notatek znajdujących się w samochodzie i w efekcie ich konfiskata ze sporządzeniem protokołu. W tym miejscu nie mogę sobie odmówić przyjemności i zacytować końcowego fragmentu, adekwatnego do sytuacji, wiersza poety-satyryka Mariana Załuckiego: *„przeszukali bagaże, / zajrzeli do waliz / nie zajrzeli do dupy, / a tam był socjalizm”*.

Okolo miesiąc od tego zdarzenia zostałem zaproszony przez wiceministra sprawiedliwości, który był też przewodniczącym wojewódzkiego zarządu Stronnictwa Demokratycznego w Warszawie (byłem członkiem SD) na rozmowę, w której krytycznie odniósł się do tego zdarzenia i zakomunikował mi, że muszę się liczyć z odmową dostania paszportu na wyjazd zagraniczny. I tak się też stało. W roku następnym odmówiono mi wydania paszportu służbowego i prywatnego (w uzasadnieniu decyzji odmownej jako powód podano enigmatycznie „ze względów społecznych”), gdy chcieliśmy z żoną wyjechać na urlop do Grecji. Na decyzję odmowy wydania paszportu służbowego złożyłem odwołanie do Ministra Spraw Wewnętrznych. Odwołanie okazało się skuteczne i paszport w końcu roku dostałem. Ale znaczący na to wpływ miała sytuacja polityczna w kraju. Był to rok słynnych strajków Solidarności, kiedy władze zliberalizowały procedury. W innym czasie na takie odwoływania władze w ogóle nie odpowiadały.

Urlopy we własnej chacie

Od roku 1982 zaczęliśmy spędzać urlopy na własnej działce rekreacyjnej. Od 1980 zaczęliśmy się z żoną rozglądać za możliwością nabycia takiej działki z domem, bądź kupna działki i wybudowania na niej domu rekreacyjnego. W promieniu 50 km od Warszawy było to trudne i kosztowne. Szukaliśmy więc w większej odległości. W znalezieniu działki pomógł nam mój kolega z pracy, Bolek Kotowski. Sam miał działkę z domem nad Narwią, w miejscowości Wólka Wojciechówek, w powiecie wyszkowskim. Bolek zaprosił nas z żoną na weekend i tam, po nawiązaniu kontaktu z miejscowymi gospodarzami, znaleźliśmy chętnego do sprzedaży działki niezabudowanej blisko Narwi. Dzięki pomocy Bolka udało się załatwić zgodę Urzędu Wojewódzkiego i uchwałę Gminnej Rady Narodowej na zmianę użytkowania działki z rolnej na rekreacyjną. W Urzędzie Wojewódzkim udało się tę zgodę uzyskać przez złożenie oświadczenia, że działka leży na terenie zalewowym, co nie było do końca prawdą. Uchwałę Gminnej Rady Narodowej uzyskaliśmy mimo braku quorum rady. W ten sposób stałem się właścicielem działki w Wólce Wojciechówek, w odległości około 90 km od Warszawy.

Postanowiliśmy postawić na tej działce starą drewnianą chatę kurpiowską. Znaleźliśmy taką, wybudowaną w okresie przedwojennym. Jej właściciele wybudowali sobie większy dom murowany i wystawili chatę na sprzedaż. Tego rodzaju transakcje były w tym rejonie dość częste, dzięki czemu wiejski krajobraz ulegał systematycznym zmianom – domy murowane zastępowały wiejskie chaty słomą kryte. Nasza też była słomą kryta. Olbrzymią trudność stanowiło zdobycie materiałów do postawienia chaty. Mieliśmy wprawdzie ściany, ale brak było cementu, cegieł, płyt paździerzowych, drewna, pokrycia dachowego, gwoździ, kabla do podłączenia prądu.

Wspominam o tym, bo dzisiaj budzi to zapewne zdziwienie. Bo co to za problem kupić materiały, kiedy ma się pieniądze. Tak, ale nie w socjalizmie. Otóż lata 1980-te były szczególnie trudne w zaopatrzeniu we wszelkie materiały, nie tylko żywnościowe. Cement w handlu był nie do zdobycia. Mogłem go kupić w przedsiębiorstwie, w którym pracowałem, jeśli był w magazynie i chciano go odsprzedać. W moim przypadku chciano, bo byłem dyrektorem, ale za zgodą zarządu związku zawodo-

wego Solidarność. Na pokrycie dachu potrzebne były płyty dachowe, wtedy powszechnie używane płyty azbestowe. Ale te można było kupić w magazynach Samopomocy Chłopskiej wyłącznie za pisemną zgodą wójta. Nie miałem na to szans, bo na podobną decyzję czekała kolejka wielu mieszkańców gminy.



Basia z synami

Po długich poszukiwaniach udało mi się zdobyć nie azbest, a blachę ocynkowaną z przedsiębiorstwa, którym zarządzał mój kolega Zdzisław Uliasz. Gwoździe musiałem zdobywać sam. W warszawskich sklepach gwoździe bywały, ale nieregularnie i nie tej długości i grubości, co potrzebne. Jeździłem więc po okolicznych wioskach, gdzie udawało mi się je raz po raz zdobyć. Poznałem wtedy bardzo dobrze okolice Warszawy.

Największy problem był z kablem potrzebnym do podłączenia prądu. Kabel stanowił szczególny materiał deficytowy. Było nawet zarzą-

dzenie premiera zakazujące przedsiębiorstwom odsprzedawania kabla pracownikom. Ale jak zwykle, od czego byli koledzy.



Na działce przy pracy

Zadzwoniłem do mojego przyjaciela Tadeusza Piszczka w Gdańsku, którego z kolei przyjacielem był dyrektor przedsiębiorstwa budującego sieci energetyczne, a który był kiedyś moim studentem, z pytaniem, czy mnie, jego wykładowcę, jeszcze pamięta, i czy by mnie nie wspomógł w potrzebie. Na szczęście pamiętał i kabel, chodziło o kilkaset metrów, obiecał załatwić. Kabel przyjechał z Gdańska w czasie stanu wojennego na wielkim bębnie. Musiałem szukać miejsca na czasowe zmagazynowanie bębna w Warszawie. Udało się to znowu dzięki koneksjom. Najłatwiej poszło z deskami, bo można je było kupić u chłopa, który miał drewno z własnego lasu.

Po wielu perypetiach chałupa stanęła i od roku 1982 mieliśmy własny dom na urlopy i niedzielne wypoczynki. Ale w trakcie budowy miałem też miłe niespodzianki. Pamiętam, że tzw. wiechę wywiesiliśmy akurat w wielkim tygodniu 1982. Jak to było w zwyczaju, zjawiłem się tam z butelką wódki, ażeby wypić z cieślami. Było dwóch cieśli, młodych chłopaków z sąsiedniej wsi. Jakież było moje zdumienie, kiedy przy częstowaniu wódką obaj odmówili, bo w wielkim poście wódki nie piją. Tak się powszechnie mówiło o pijaństwie na wsi, a tu masz.

Życie w czasie stanu wojennego było uciążliwe. Coraz więcej artykułów można było nabyć tylko na kartki: cukier, mąka, mięso, papierosy, obuwie, benzyna. Ale nawet na kartki były trudności z niektórymi artykułami, szczególnie mięsnymi. Aby je kupić, trzeba było stać w kolejkach, zwłaszcza na święta. Uprzywilejowane były osoby zatrudnione w handlu, zwłaszcza spożywczym. Ważniejszą rolę niż pieniądź odgrywały tzw. chody. Kto miał znajomości w sklepach, ten miał uprzywilejowane warunki nabycia towarów. Kwitł też handel obwoźny. Na działce, ale i w Warszawie, kobiety ze wsi chodziły po domach i instytucjach i sprzedawały mięso, zwłaszcza cielęcinę. My mięso kupowaliśmy na działce.



Własna chata w Wólce Wojciechówek, 1982.

Były też inne możliwości zaopatrzenia się w produkty spożywcze. Basia pracowała w austriackiej firmie Wagon Lits Cook, w której otrzymywała „deputat” w postaci szynki, wędlin i kawy, które ta firma sprowadzała z Wiednia. Kartki na benzynę otrzymywały instytucje i urzędy dla celów służbowych. Otrzymywał je też CUG. W urzędzie kartki przydzielał pracownikom dyrektor gabinetu, Sławek Smoleński. Jako dobry kolega wspomagał mnie w tym względzie.

Odczuliśmy w tym czasie przejawy solidarności międzynarodowej. Któregoś dnia dostarczono do mieszkania pod moją nieobecność, paczkę bez podania adresu nadawcy. W paczce było 30 paczek kawy. Ze stempli na opakowaniu wynikało, że została ona wysłana z RFN, z Hanoweru. Do dzisiaj nie wiem, kto był jej nadawcą. Antek otrzymywał przez kilka miesięcy paczki z Anglii od nieznanego mu państwa Taylorów. W czasie moich pobytów służbowych w RFN nasz współpracownik, prokurent firmy ITAG S.A. w Celle, Michael Mooshammer, poznał mnie ze swoim lekarzem, który z własnej inicjatywy przekazywał mi partie lekarstw dla szpitali w Polsce.

Takich inicjatyw było więcej. Podczas pobytu naszych partnerów z Klubu Polska-Dolna Saksonia zostaliśmy z Adamem Hardym, dyrektorem Geopolu, zaproszeni na przyjęcie do rezydencji ambasadora RFN. W przyjęciu uczestniczyło około trzydziestu osób. Przy naszym stoliku usadzeni zostali dwaj młodzi Niemcy – Graf von Hohenlohe i Graf von Dörkheim. Z przemówienia powitalnego ambasadora wynikało, że obaj wyróżnili się w zbiorce leków dla polskich szpitali. W rozmowie okazało się, że obaj wywodzili się z arystokratycznych rodów mających siedziby na Dolnym Śląsku.



*Na zdjęciu pielgrzymka z papieżem. W składzie pielgrzymki.
m.in. Basia i ja.*

W latach 1980. urlopy i weekendy spędzaliśmy przede wszystkim w naszej chacie w Wólce Wojciechówek. Ale w 1985 roku udało się Basi „załapać” w naszej parafii na pielgrzymkę do Rzymu. Zwiedziliśmy wówczas Rzym i Monte Casino. Oczywiście byliśmy też w Watykanie z wizytą u papieża Jana Pawła II, z której to wizyty mamy zdjęcie. Papież był bardzo kontaktowy, podchodził do każdej grupy wycieczkowej (pielgrzymkowej) celem zrobienia wspólnego zdjęcia.

W roku 1992 ożeniłem się, po śmierci Basi, z Elżbietą Wiechowicz, koleżanką jeszcze z Gdańska. Ela miała na Kaszubach mały, ale sympatyczny leśny domek nad jeziorem w Grzybowie koło Kościerzyny. Spędzała tam całe lato, a ja urlop i weekendy. Miejsce było rzeczywiście urokliwe, a ponadto wspaniałe było grono przyjaciół Elżbiety, mających tam swoje domki. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Wśród nich byli profesorostwo Leszek i Inka Imielińscy, Leszek i Ewa Łyczkowsy, Kasia i Michał Reszetow, a z Gdańska dojeżdżali Krystyna i Mundek Sztompkowie.

W latach 1990. odwiedziliśmy z Elżbietą mojego brata Ryszarda w Studziankach koło Tomaszowa Mazowieckiego, w gminie Wolbórz, w powiecie Piotrków Trybunalski. Wolbórz był słynny ze swojego wójta z XVI wieku – Frycza Modrzewskiego, autora słynnego z dzieła „*De republica emendanda*”.



Mój brat Ryszard z żoną

Rysiek miał w Studziankach letni dom. Mieszkając w Łodzi miał tam dogodny dojazd. I on i jego sąsiedzi namawiali mnie do kupna opuszczonego gospodarstwa w sąsiedztwie. I w końcu namówili.

Kupując obejście brałem pod uwagę kilka aspektów. Po pierwsze, chata w Wólce Wojciechówek była prawie corocznie okradana, łącznie z wykręcaniem armatury w kuchni i w łazience. W Studziankach obejście znajdowało się wśród kilku domów i sąsiadowała z zaprzyjaźnionymi gospodarzami, państwem Kula. To sąsiedztwo się doskonale sprawdziło. Po drugie, chata w Wólce była prześladowana nieprzyjemnym i nieusuwalnym zapachem. Po trzecie, w Studziankach mieliśmy sympatyczne towarzystwo Ryśka i jego żony Mirki, a kilka wsi dalej brata Mirki – Tomka z żoną Danusią.

Po wyburzeniu zabudowań na nabytej posesji, łącznie z domem mieszkalnym, wybudowaliśmy wszystko na nowo, od domu do garażu i drewnutni. Bardzo aktywna była przy tym Elżbieta. Ciekawe było porównanie budowy w Studziankach ze stawianiem chaty w Wólce. Tam musiałem wiele wysiłku i trudu włożyć w zdobywanie materiałów. Tu po wyborze projektu i znalezieniu wykonawcy (pan Białobrzeski z sąsiedniej wsi) nie musiałem się o nic martwić. Dostawcy zgłaszali się sami z ofertami sprzedaży materiałów i usług. W roku 2000 dom w Studziankach był gotów.



Nowa chata w Studziankach koło Piotrkowa

Urlopy po transformacji

Nie przeszkadzało mi to w braniu udziału w wycieczkach zagranicznych. Po rewolucji solidarnościowej rozsypał się worek możliwości wyjazdów zagranicznych. Oferty biur podróży rosły jak grzyby po deszczu. Pierwszą wycieczką, która zrobiła na mnie duże wrażenie, była wycieczka do Izraela, zorganizowana przez zakon Salezjanów. Wziąłem w niej udział z Elizą i Leszkiem Puczniewskimi. Poleciliśmy samolotem do Kairu i po zwiedzeniu miasta i piramid z Gizy, pojechaliśmy autobusem przez Synaj do Izraela. Zwiedziliśmy Jerozolimę, Hajfę, Nazaret, Betlejem, Jerycho, jezioro Genezaret, Morze Martwe i wszelkie miejsca święte.

W tych latach byliśmy też na Majorce, w Turcji, na Krecie, kilkakrotnie w Niemczech (Bawaria z Berchtesgaden, siedzibą Hitlera, Nadrenią i Saksonią) i w Austrii, w Bad Ischl, gdzie korzystaliśmy z zaproszenia Arny i Stefana Wysockich. Był to przepiękny zakątek Alp austriackich, tzw. Salz-kammergut. Oprócz Bad Ischl z okolicami, poznaliśmy St. Wolfgang – stałe miejsce wypoczynku kanclerza Kohla, – uroczne jeziora alpejskie oraz Salz-burg z jego historią i tradycją mozartowską.

Po roku 2001 sytuacja uległa zmianie. Rozwiedliśmy się z Elżbietą, której wycieczki za granicę nie interesowały; ona uwielbiała swoje Grzybowo. Zostałem znowu sam. Ponieważ Antek zdecydował się przeprowadzić do Gdańska, cała moja najbliższa rodzina znalazła się w Gdańsku. Weekendy spędzałem w Studziankach. W lecie przyjeżdżał do mnie z Gdańska Maciek z Jackiem, którzy okazali się najczęstszymi urlopowiczami w Studziankach.

Kolejne wyjazdy zagraniczne odbyłem z moimi wnukami. Z Mikołajem odwiedziliśmy Stralsund i wyspę Rugię. Z Kubą zwiedzaliśmy Skandynawię: Sztokholm, Oslo, Bergen z muzeum Griega i fiordy norweskie. Z Jackiem byliśmy w Egipcie, w Hurgadzie, skąd zrobiliśmy wycieczkę do doliny królów w Luxorze.

Ale samotność mi dokuczała i wobec tego kupiłem w roku 2004, w Gdańsku koło mola w Brzeźnie, małą garsonierę, co uniezależniało mnie od korzystania z noclegów u moich dzieci. Wznowiłem też kontakty z moimi kolegami z Gdańska, które wcześniej zaniedbałem: Stefanem Gromkiem, Hanką Mossakowską, Ireną Majewską, od których dowie-

działem się, że wielu z grona kolegów nie żyje: Józef Szrajbert, Tadeusz Piszczek i wielu innych. Od tego czasu jeździłem regularnie do Gdańska na Święta Wielkanocne i Boże Narodzenie.



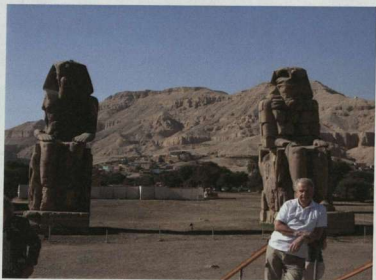
Wycieczka z Kubą do Norwegii.

Ale dalej odczuwałem samotność. Podróże po świecie w pojedynkę nie sprawiały mi przyjemności. Z czasem znalazłem bratnią duszę, wielką fankę podróżowania, Danutę Sidorowicz. Również ona odczuwała dyskomfort samotnego podróżowania. Miała za sobą wiele ciekawych podróży: do Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Maroka.

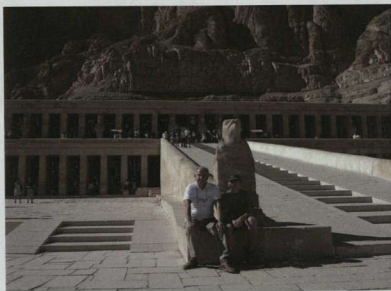
Znaliśmy się od kilku lat, współpracowaliśmy w różnych układach i mieliśmy do siebie zaufanie, uzgodniliśmy więc, że spróbujemy podróżować wspólnie. Byliśmy oboje finansowo niezależni i mogliśmy sobie pozwolić na wyższy standard pobytu. W maju 2001 roku wybraliśmy się na Wyspy Kanaryjskie na Teneryfę. Pobyt na Teneryfie był bardzo udany, zwiedziliśmy tę wyspę w szczegółach. I tak zrodziła się tradycja naszych wspólnych wyjazdów i krajowych i zagranicznych.



Pod pomnikiem Griega w Bergen



Wycieczka z Jackiem do Egiptu



Z Jackiem na tle świątyni bogini Hatszepsut.



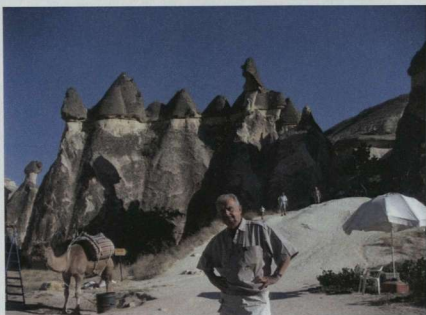
Na tle wulkanu Tide na Teneryfie



Autor na tle drogi „Masca” na Teneryfie.



Koń trojański w Troi. D.S. i ja.



Autor w Kapadocji



Na „gruzach” Kartaginy



Rzym. Bocca della Verita. D.S. i ja przeszliśmy test prawdy.



U grobu Fryderyka Chopina na cmentarzu Pere Lachaise w Paryżu.



W Paryżu na tle Moulin Rouge

W następnych latach zwiedziliśmy Wilno i Kowno, Słowację, Turcję, Bułgarię, Paryż, Wiedeń, Berlin, Maroko, kilkakrotnie Cypr i Tunis. Szczególnie upodobaliśmy sobie Sharm el Sheik na Synaju, gdzie bywaliśmy co roku przez kilka lat. Odpowiadał nam ciepły i suchy klimat i wspaniała plaża. Dojazd tam był mało kłopotliwy – tylko cztery godziny samolotem, jak pociągami z Warszawy do Sopotu.

Odbyliśmy też wiele wycieczek po kraju: Białowieża, Busko, Mazury, Śląsk i kilkakrotnie Zakopane, Krynica, Kołobrzeg, Świnoujście, a później co roku obowiązkowo Jurata.

W okresie PRL Jurata słynęła z tego, że był tam elegancki hotel, wyłącznie dla dygnitarzy partyjnych. Po transformacji hotel nabył businessman Niemiecki. Ekskluzywny hotel Bryza zasłynął z tego, że był to jedyny hotel w Polsce, w którym goście kłaniali się właścicielowi, a nie odwrotnie. Dołączyliśmy do grona snobów, jak określiła Juratę już przed wojną Magdalena Samozwaniec, którzy muszą koniecznie spędzić chociaż dwa tygodnie w Juracie. I tak pozostało do dzisiaj. Ale snobizm

snobizmem, Jurata i tak pozostaje najprzyjemniejszym kąpieliskiem polskim na Bałtyku. Co roku można spotkać tamtejszych bywalców bez umawiania się. My tak spotykaliśmy przez cztery lata z rzędu profesora Leszka Imielińskiego z żoną Inką. Były to bardzo sympatyczne spotkania.

Moje przygody z operą

W roku 2011 napotkałem w „Polityce” informację Agencji Turystycznej „Grand Tour” w Łodzi, która reklamowała wycieczki po operach świata. Oferta zainteresowała mnie. Biuro organizowało wyjazdy na przedstawienia operowe połączone ze zwiedzaniem miasta czy okolic, a wszystko to w ramach kilkudniowych wycieczek, z reguły 4-5 dni. Dodatkową atrakcją był udział w tych imprezach byłego dyrektora oper polskich (w Poznaniu, Wrocławiu i w Warszawie) Sławomira Pietrasa, wybitnego znawcy muzyki operowej. Dyrektor Pietras był i jest szalenie ciekawym opowiadaczem historii i anegdot na tematy z operą związane. Uważa, że „współczesny teatr operowy służy syty, zamożnym i wypoczętym”, co nie zmienia faktu, że jego udział w imprezie Agencji Grand Tour stanowi dużą atrakcję dla miłośników muzyki operowej.



Na spacerze przed spektaklem w Cannes, 2014.

Wyjazdy na przedstawienia operowe obejmowały praktycznie cały świat. Po raz pierwszy wybrałem się z D.S. w sierpniu 2011 r. do Barcelony na „Carmen”. I nie żałowałem. Wycieczka była doskonale organi-

zowana przez dyrektora biura, panią Marzenę Jezierzańską. Mieszkaliśmy w dobrym hotelu w śródmieściu, na bocznej ulicy od Rambli. Zwiedziliśmy Barcelonę, jej muzea z licznymi dziełami Picassa oraz dzieła Gaudiego: katedrę, parki i inne obiekty architektoniczne. Przedstawienie też było ciekawie pokazane. Ze scenografii utkwiły mi szczególnie mercedesy na scenie.

W roku 2012 odbyłem trzy takie wycieczki: do Nowego Jorku, Salzburga i Lwowa. W kwietniu byłem 6 dni w Nowym Jorku. W Metropolitan Opera zobaczyliśmy „Manon” Masseneta z udziałem polskiego tenora, Piotra Beczały w roli głównej. W trakcie tej wycieczki zwiedziliśmy najważniejsze muzea, w tym Metropolitan Museum of Art., Museum of Modern Art, Museum Guggenheima oraz najważniejsze tamtejsze miejsca: Central Park, Time Square, Empire State Building, Rockefeller Center, most brooklyński, Chrysler Building, siedzibę ONZ, Chinatown. Okrążyłem też stateczkiem statwę wolności. Po operze odbył się w hotelu, jak zwykle, cocktail z udziałem Pietrasa, w którym wziął też udział Beczała z żoną. Wrażeń było dużo.

W sierpniu byłem na festiwalu mozartowskim w Salzburgu na „Czarodziejskim Flecie”. Z Salzburga utkwiły mi szczególnie stroje publiczności. O ile w innych miastach Europy publiczność przestała już przestrzegać wieczorowych strojów na przedstawieniach operowych, to w Salzburgu Austriacy pokazali klasę. Większość publiki męskiej była pod muchą i miała na sobie czarne spodnie i białe bądź czarne marynarki, a kobiety eleganckie toalety. Oczywiście zwiedziliśmy miasto z jego zabytkami, chociaż Salzburg był mi znany z uprzednich pobytów. W drodze powrotnej na lotnisko w Monachium odwiedziliśmy wyspę Herreninsel w Prien i pałac Ludwika II Szalonego.

Na przełomie września i października był wyjazd do Lwowa i to na dwa przedstawienia: „Pajace” Leoncavallo i „Zaporozec nad Dunajem”, ukraińskiego kompozytora Hulak-Artemowskiego. Nie muszę podkreślać, że ten wyjazd przeżyłem ze szczególnym sentymentem. Byłem wprawdzie we Lwowie dwukrotnie za czasów komunistycznych, ale ten wyjazd wspominam szczególnie. Przed tym Lwów wydał mi się rosyjsko „zapyziały”. Teraz odzyskał swój polski charakter. Ze szczególnym wzruszeniem zwiedziliśmy Cmentarz Łyczakowski, Cmentarz Orłąt Lwowskich, kościoły: Bernardynów, Dominikanów, Jezuitów, katedrę

NMP oraz św. Jura, Uniwersytet, kaplicę Boimów, Ossolineum, Politechnikę i słynną operę, wybudowaną przez polskiego hrabiego Skarbka, której Ukraińcy nadali imię śpiewaczki ukraińskiej, ale i polskiej, Salomei Kruszelnickiej.

Po pobycie we Lwowie doszedłem ponownie do wniosku, że polskie naprawdę oryginalne miasta, to Kraków i Lwów. Odniosłem też wrażenie, że Lwów stracił sowiecki wygląd i stawał się normalnym europejskim miastem z sympatycznymi lokalami, sklepami i wyglądem ulic, chociaż jeszcze zaniedbanym, odróżniającym się od ulic polskich.

Rok 2012 był dla mnie rokiem szczególnym w moim muzycznym odbiorze. Stałem się prawie melomanem. Oprócz spektakli operowych za granicą widziałem w tym roku w Warszawie operę „*Senso*” oraz premię oper „*Latający Holender*” i „*Trubadur*”. Nie licząc koncertów byłem więc w tym roku na siedmiu przedstawieniach operowych. Nadrabiałem zaległości.

Zwykle, kiedy mówimy o operze, to mamy na myśli przedstawienie, kompozytora, autora libretta, scenografię, solistów, mówimy o akustyce i wystroju sali operowej, czy architekturze budynku. Mnie natomiast, być może względów profesjonalnych, zainteresowała opera jako przedsięwzięcie. Miałem okazję zwiedzić operę warszawską i byłem zafascynowany stroną organizacyjno-ekonomiczną jej działalności.

Otóż Opera Narodowa, to kombinat zatrudniający około 1000 pracowników, z tego tylko 400 to pracownicy artystyczni. Reszta, to nie tylko administracja, ale i pracownicy kilkunastu pracowni artystycznych i rzemieślniczych. Są pracownie modelarskie, krawieckie, ślusarskie, malarskie, szewskie, charakteryzatorskie itd. Opera ma w swoich magazynach czterdzieści tysięcy różnych strojów, co wymaga obsługi i magazynowej i konserwacyjnej. Ponadto wykonuje rekwizyty we własnej modelarni. Na gmach opery składa się 500 tys. metrów sześć. kubatury i 90 tys. m.kw. powierzchni użytkowej i sala widowiskowa na 1800 miejsc. Budynek wg. projektu Antonio Corazziego, odbudowany i uzupełniony po wojnie przez Bohdana Pniewskiego, posiada drugą największą scenę w Europie. Sama scena po powojennej przebudowie pomieściłaby całą mediolańską La Scalę. Scena wyposażona jest w szereg specjalistycznych i unikalnych urządzeń technicznych, wymagających tak obsługi, jak i konserwacji.

W roku 2013 wziąłem udział w wycieczce do Madrytu na przedstawienia „*Polawiacze pereł*” Bizeta oraz na hiszpański spektakl „*Mari-na*” w Teatro de la Zarzuela. W zwyczajowym cocktailu po spektaklu wziął udział polski tenor występujący w operze madryckiej – Mariusz Kwiecień. Wycieczka była czterodniowa. Udało się nam zwiedzić miasto i jego najważniejsze zabytki: Plaza de España, Ogrody Sabatiniego, Pałac Królewski, park Retiro oraz muzea, w tym słynne Prado.



W czasie antraktu w operze madryckiej. Autor - ostatni z prawa. 2013.

W roku 2014 uczestniczyłem w wycieczce do Londynu i do Monte Carlo. Zaliczyłem tam dwa przedstawienia: „*Don Giovanni*” w Covent Garden w Londynie oraz „*Napój miłosny*” Donizettiego w operze w Monte Carlo. W Londynie byłem po raz pierwszy i zrobił on na mnie duże wrażenie. Zwiedziliśmy londyńskie City oraz najważniejsze budowle i muzea. Przedstawienie operowe wykonano w dobrym stylu. Atrakcją stanowił występ polskiego tenora Mariusza Kwietnia w tytułowej roli. Sam gmach opery Covent Garden rozczerował mnie. Gmach opery warszawskiej jest zdecydowanie bardziej okazały. Natomiast budynek opery w Monte Carlo, mieszczący się w gmachu kasyna robił wrażenie swoim stylem.

W 2015 r., na przełomie lutego i marca, poleciliśmy do Lizbony na przedstawienie „*Makbet*” Verdiego, która to opera jest rzadko grana.

Moje towarzystwo operowe bardzo pozytywnie oceniło ten spektakl. Oczywiście poza obejrzeniem opery zwiedziliśmy Lizbonę i okolice. Miasto zrobiło na mnie bardzo dobre wrażenie. Podziwiałem jego starą architekturę oraz, co mnie szczególnie zdziwiło, nawierzchnię ulic i chodników wyłożonych białą kostką kamienną w przemysłne wzory, nawierzchnię pochodzącą ze średniowiecza. Chociaż kraj i jego mieszkańcy robili wrażenie niezamożnych, to budowlę i architektura świadczyły o dawnej świetności. Byliśmy też na koncercie muzyki *fado*. Dotąd o niej nie słyszałem, może dlatego, że grana jest tylko w Portugalii. Jest tam nawet muzeum muzyki *fado*. Istotą tej muzyki jest „*smutek po utracie czegoś, co już nigdy nie wróci*”. Muzyka ta została wpisana na listę dziedzictwa kulturalnego.

Moje wycieczki operowe wspominam z wielką sympatią. Oprócz zapoznania się z muzyką operową w dobrym wykonaniu, miałem okazję zwiedzić miasta, w których te opery się znajdowały. Niezmiernie ciekawe były też spotkania po przedstawieniach, połączone z koktajlami, na których dyrektor Sławomir Pietras omawiał obejrzone spektakle, przedstawiał historię przedstawień, sypał anegdotami. W tych spotkaniach uczestniczyli niekiedy polscy artyści, którzy brali udział w przedstawieniach. Tak było na przykład w Nowym Jorku, gdzie występował słynny tenor Beczała, oraz w Londynie, gdzie w spotkaniu wziął udział tenor Mariusz Kwiecień. W trakcie spotkań wywiązywała się też ożywiona dyskusja, jako że uczestnicy wycieczek byli koneserami muzyki operowej i posiadali dużą wiedzę z tej dziedziny. Spośród uczestników wycieczek operowych większość brała w nich udział wielokrotnie. Nawiażywały się sympatie i przyjaźnie.

Sam mile wspominam panią doktor Wierę Kisiel-Skalski z Białogostoku, państwo Bożenę i Ryszarda ze Stalowej Woli, panią Marzenę Jezierzańską, kierowniczkę wycieczek z Biura w Łodzi itd. Powstało też Koło Przyjaciół tenora Mariusza Kwietnia. Odbływały się też, z inicjatywy Sławomira Pietrasa, spotkania w Warszawie, jak np. w Teatrze Ochota Krystyny Jandy na przedstawieniu o Marii Callas.

Szczególony charakter miała wyprawa roku 2015 do Beyreuth w Bawarii, gdzie odbywa się coroczny festiwal muzyki Richarda Wagnera, organizowany od wielu lat ze szczególną pieczołowitością. Na bilety czeka się co najmniej trzy lata, tak że wyprawa ta, chociaż bardzo uciąż-

liwa (dojazd z Warszawy do Beyreuth - 13 godzin autobusem) była bardzo ciekawa. Wielbicieli muzyki Wagnera traktują ją jako podróż życia. Gmach opery liczy 1990 miejsc. Miasto żyje w sierpniu festiwalem. Przyjeżdżają wybitne osobistości, z kanclerzem republiki na czele. Utrzymywany jest szczególny rytuał, ustalony podobno przez samego Wagnera. Podobnie, jak w Salzburgu, publiczność występowała w 90% w strojach wieczorowych. Punktualnie o 17.45 otwierane są wszystkie drzwi do sali widowiskowej i dokładnie o godzinie 18.00 drzwi są zamykane. Po tej godzinie nikt nie jest wpuszczany. Opowiadana jest anegdota, że kiedyś nie wpuszczono spóźnionego o parę minut ministra kultury.

Następnego dnia zwiedza się dom Wagnera i opowiada o królu Ludwiku II, który Wagnerowi ten dom podarował, oraz o historii przyjaźni rodziny Wagnera z Hitlerem. Wyprawa do Beyreuth zakończyła się złożeniem wiązanki kwiatów na grobowcu Franciszka Liszta, zięcia Ryszarda Wagnera.



Mediolan. Zdjęcie przed grobem Verdiego. W środku Krystyna Janda, z jej prawej strony Sławomir Pietras, a z lewej Autor. 2015.

W październiku 2015 r. Biuro zorganizowało wyprawę do Mediolanu. To też szczególne miejsce dla melomanów. Zdecydowałem się na ten wyjazd, jako że La Scala jest czołową operą europejską, a ponadto

ojczystą operą Verdiego. Dotąd w Mediolanie nie byłem. Obejrzelśmy tam „*Falstaffa*” Verdiego, jak zwykle w doskonałym wykonaniu, w sali o doskonałej akustyce. Zwiedziliśmy też muzeum teatru, słynne z obrazów wielkich kompozytorów z Verdim i Toscaninimi, ich żonami i kochankami.

Poza pięknym miastem i światowym miejscem europejskiej muzyki operowej były dwie dodatkowe atrakcje wyjazdu. Jedną to zwiedzenie wystawy światowej EXPO-2015. Wystawa była imponująca, a zwiedzających nieprzebrane tłumy. Drugą atrakcją był udział w niej słynnej polskiej aktorki, Krystyny Jandy. Okazała się ona osobą bardzo sympatyczną i kontaktową. Mam ją w pamięci, szczególnie jako dziennikarkę z kultowego filmu Andrzeja Wajdy „*Człowiek z marmuru*”. Ona natomiast, jak mi powiedziała, za najbliższą, najulubieńszą swoją rolę ma tę ostatnią – Marii Callas w Teatrze Ochota.

Uczestniczyli ze mną w wycieczce Kasia Rozmarynowska i Marek Podgórczyk – przyjaciele moich synów jeszcze z Gdańska, co mi ten pobyt bardzo uprzyjemniało.



*W teatrze La Scala w Mediolanie przed spektaklem.
Od prawej: Autor i Marek Podgórczyk, 2015.*

W roku 2016, w lipcu, kolejna wycieczka. Tym razem do Bregencji (Bregenz) w Austrii, na „*Turandota*” Pucciniego. To był doskonały spektakl. Jego szczególną atrakcją była inscenizacja na wolnym powietrzu. Widownia na 7 tysięcy miejsc znajduje się na samym brzegu jeziora bodeńskiego, a scena już na wodzie. Atrakcją wyjazdu było też miejsce. Bregencja leży u wschodniego brzegu jeziora i graniczy ze Szwajcarią i Niemcami. Podróż odbyła się więc przez terytoria kilku krajów. Samolotem przylecieliśmy do Zurichu w Szwajcarii, do hotelu dojechaliśmy następnie w miejscowości Arbon. Przedstawienie odbyło się w Austrii, skąd wróciliśmy do hotelu w Szwajcarii. W planie wycieczki były ponadto zwiedzanie miasta Arbon i następnie Konstancji, już w Niemczech.

Konstancja ma bardzo ciekawą historię. Tu odbył się w 1414 roku jeden z najważniejszych soborów kościoła rzymsko-katolickiego. Jego celem były reforma i zjednoczenie Kościoła (obrzędek spowiedzi, sprzedawanie odpustów, schizma Jana Husa). Miasto założone przez Rzymian, pięknie położone, z pięknym starym miastem, praktycznie bez wojen, robi bardzo dobre wrażenie. Obiad w starej restauracji uatrakcyjniła pogadanka Sławomira Pietrasa na temat obejrzanej opery, jej wykonania, scenografii i organizacji tego wspaniałego widowiska.

ROZDZIAŁ VIII

REFLEKSJE U SCHYŁKU ŻYCIA

Satysfakcja i duma

Prawie dziewięćdziesiąt lat, które dane mi było przeżyć, to olbrzymi szmat czasu, w czasie którego dokonało się na świecie, w tym w Polsce, wiele ważnych wydarzeń. Przeżyłem najokrutniejszą z wojen, byłem uczestnikiem wszystkich ważniejszych przełomów tego czasu: dwóch rewolucji: socjalistycznej i kapitalistycznej, żyłem w czterech zupełnie różnych Polskach: w II Rzeczypospolitej przed wojną, w Polsce okupowanej przez hitleryzm, Polsce Ludowej i wreszcie w III Rzeczypospolitej. Człowiek zdobył kosmos i wylądował na księżycu. Za mojego życia przypadł pontyfikat aż ośmiu papieży. Dokonał się olbrzymi rozwój nauki i techniki, rozwój gospodarczy i społeczny. Za mojego życia był on większy, niż w poprzednich trzystu, czterystu latach.

Przeobrażenia dotyczyły nie tylko gospodarki i polityki, ale też życia codziennego i obyczajów. W szkole powszechnej przed wojną pisaliśmy rysikiem na tabliczkach. Dopiero w drugiej klasie zastąpiono tabliczki zeszytami, a rysiki stalowymi piórami i atramentem. Po raz pierwszy rozmawiałem przez telefon po wojnie mając dziewiętnaście lat. Telefony wprowadzie wcześniej były, ale miało je niewiele ludzi. W urzędach, w szpitalach i innych instytucjach publicznych, w rogu każdego pokoju stały, dzisiaj nieznane, spluwaczki. Pralki elektryczne były nieznane. Pranie urządziło się w domach (w pralniach) i robiły to wynajęte kobiety ręcznie na tzw. tarkach. Łodówek przed wojną nie znaliśmy.

Premier polskiego rządu przed wojną, Sławoj-Składkowski, wzywał chłopów w niektórych częściach kraju do używania wychodków (tzw. sławojki), ponieważ ich nie znano. W Pelplinie, miasteczku zamieszkałym przez około pięć tysięcy mieszkańców, było tylko dwóch lekarzy: jeden w szpitalu prowadzącym przez siostry zakonne, a drugi obsługiwał mieszkańców miasta i okolicznych wiosek. A było to w za-

chodniej części ówczesnej Polski, uchodzącej za bardziej rozwiniętą część kraju.

W czasie mojego życia Polska stała się innym krajem. Skalę tych zmian obrazują powyższe przykłady, ale i fakt, że po pierwszej wojnie światowej polskie społeczeństwo składało się w znacznym stopniu z analfabetów. Na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego analfabetów było 54%, zaboru austriackiego - 30%, a pruskiego - 5%. Zaczynając cywilizację Polski w stosunku do Europy Zachodniej było olbrzymie. Polska była traktowana jako kraj zacofany i jako taki lekceważony. Świadczą o tym pogardliwe określenia: „*polnische Wirtschaft*”, czy „*polish jokes*”. To zacofanie za mojego życia sukcesywnie się zmniejszało, ale w sposób skokowy nastąpiło to w ostatnim dwudziestolecu. Tylko w minionym dziesięcioleciu stopa życiowa polskiego społeczeństwa wzrosła o 100% i z poziomu 53% osiągnęła 68% poziomu społeczeństwa zachodnioeuropejskiego.

Zmienił się też krajobraz Polski. Przybyło nam kilkaset kilometrów autostrad i dróg ekspresowych, których wcześniej w Polsce nie mieliśmy, kilkaset wiaduktów i mostów, powiększył się potencjał uczelni i jednostek naukowo-badawczych, potencjał portów morskich, przybyło kilka tysięcy oczyszczalni ścieków. Powstały nowe gałęzie przemysłu oraz usług technologicznych. Luka cywilizacyjna, jaka istniała od początku dziejów Polski między nami a Europą Zachodnią, zmniejszyła się znacząco. Polska awansowała do grupy 25 największych gospodarek świata.

Tym przeobrażeniom towarzyszył wzrost zadowolenia społeczeństwa. Badania prowadzone przez prof. Janusza Czapieńskiego pokazały, że społeczeństwo systematycznie odczuwa wzrost zadowolenia z życia. To w tym czasie Polacy otrzymali trzy nagrody Nobla: pokojową Lech Wałęsa oraz literacką Czesław Miłosz i Wisława Szymborska. To w tym też czasie mamy trzy wybitne polskie osobistości o znaczeniu światowym: papież Jan Paweł II, przywódca Solidarności Lech Wałęsa, któremu słusznie przypisuje się zasługę doprowadzenia do upadku światowego komunizmu i wreszcie Donald Tusk, jedyny polski premier dwóch kadencji i następnie przewodnicząc Rady Europy (prezydent Europy).

Świat z uznaniem patrzył na rozwój Polski. Szeroko pisały o tym światowe media gospodarcze. W artykule wstępnym opiniotwórczego dziennika brytyjskiego „The Economist” z połowy 2014 roku, w artykule

„Nieoczekiwana gwiazda Europy” (Europe’s unlikely star), znajdujemy takie zdanie: „Polska, uważana niegdyś za trudne dziecko Europy Środkowej, od upadku komunizmu doświadczyła wzrostu swojej gospodarki przewyższającego wzrost jakiegokolwiek innej gospodarki Unii Europejskiej. Była jedynym członkiem UE, który uniknął recesji podczas kryzysu finansowego. (...) Trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek kraj w Europie, bogaty, czy biedny, który nie mógłby się czegoś nauczyć od Polski”. Tę myśl artykułu wstępnego dziennik rozwinął sugerując, że taki rozwój nie zdarzył się Polsce od czasów Jagiellonów w XV wieku.

Podobnie entuzjastyczne sformułowania zawierały artykuły innych zagranicznych czasopism jak np. „Der Spiegel” (*Wirtschaftswunder an der Weichsel*) i inne. Polska jeszcze nigdy w swojej historii nie osiągnęła takiej pozycji wśród narodów świata. Jestem dumny z tych osiągnięć mojego kraju i jestem szczęśliwy, że dożyłem tego czasu.



Cala moja rodzina, rok 2012

Siedzą od lewej: M. Grzywaczewska, Autor, Antek.

Stoją od lewej: Dorota, Maciek, Ela, Jacek, Kuba, Mikołaj i Adriana.

Tej satysfakcji z rozwoju Polski towarzyszy mi satysfakcja i radość z życia rodzinnego. Moi synowie Antek i Maciek pokończyli studia (jeden dziennikarskie, drugi techniczne) i pracują w swoich zawodach. Antek, oprócz poezji i dziennikarstwa, którymi się zajmuje, zdobył prestiżową nagrodę literacką Fundacji Kościelskich i jest rzecznikiem prezydenta miasta Gdańska. Maciek jest inżynierem i pracuje w przedsiębiorstwie budowy dróg. Obaj brali udział w ruchu dysydenckim, za co byli skazani na karę więzienia.

Obaj swoje wspomnienia z tego okresu opisali w książkach. Antek w tomikach poezji i publicystyce, a Maciek w pracy dokumentującej działalność nielegalnego radia Solidarność w Trójmieście. Obaj zostali odznaczeni za tę działalność krzyżami oficerskimi Polonia Restituta. Synowie Antka: Mikołaj i Kuba, są już dorośli. Mikołaj jest doktorem socjologii i pracuje w charakterze adiunkta na Uniwersytecie Warszawskim. Kuba pracuje w filmie. Syn Maćka, Jacek, jest magistrem inżynierem budownictwa i pracuje w tej branży. Mikołaj ma dwoje wspaniałych potomków: Zosię (4 lata) i Stefana (3 lata), a ja tym samym dwoje wspaniałych prawnuków. Czekam na dalszych.



Moje prawnuki: Zosia i Stefan.

Zawód sprawiła mi tylko moja żona Basia, mój największy w życiu przyjaciel, przez swoją przedwczesną śmierć w roku 1990.

Łyżka dziegciu

Niestety, w roku 2015 nastąpiła nieoczekiwana zmiana w optymistycznym obrazie Polski. W roku tym przypadły kolejne wybory prezydenckie i parlamentarne. Pierwsze w maju, drugie w październiku. Początek roku nie wskazywał na niespodzianki. Wszelkie sondaże wskazywały na przewagę Bronisława Komorowskiego i Platformy Obywatelskiej. Jeszcze pod koniec pierwszego kwartału 2015 roku Bronisław Komorowski miał 70% poparcia. Poparcie to wydawało się pewne i oczywiste. Przywódcy większych partii politycznych, bojąc się przegranej, nie wystawili swoich kandydatur w wyborach na prezydenta, lecz wytypowali na kandydatów swoich ugrupowań partyjnych osoby nieznanne i nie posiadające politycznego zaplecza. I tak np. przywódca SLD Leszek Miller wytypował nikomu nie znaną Magdalenę Ogórek, a przywódca PiS Jarosław Kaczyński, nieznanego funkcjonariusza kancelarii byłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudę.

Nieoczekiwanie wybory prezydenckie wygrał Duda. Po tym wyborze sondaże Platformy Obywatelskiej poleciały w dół i wybory parlamentarne wygrało Prawo i Sprawiedliwość uzyskując 37,58 % głosów. Pozostałe partie osiągnęły: Platforma Obywatelska - 24,09%, Kukiz 15 - 8,81%, Nowoczesna - 7,6% i PSL - 5,13%.

Stała się więc rzecz niebywała. Partia rządząca od dwóch kadencji, Platforma Obywatelska, przy najlepszym w historii Polski dobrostanie społeczeństwa, przegrała jedne i drugie wybory. Był to prawdziwy szok. Polska znajdowała się w tym momencie u szczytu gospodarczego i politycznego rozwoju. Społeczeństwo polskie nigdy przed tym nie żyło w tak korzystnej, pod każdym względem, sytuacji. Państwo polskie cieszyło się uznaniem w świecie. Wybór jakiego dokonał naród był kompletnie alogiczny. W normalnych warunkach wybory przegrywa rządząca partia, kiedy sytuacja bytowa społeczeństwa istotnie się pogarsza. Tymczasem w Polsce było wręcz odwrotnie. Na myśl przychodzi mi scena z „*Quo vadis*” Sienkiewicza, w której św. Piotr Apostoł objął głowę i zawołał w duchu: „*Panie! Panie! Komuś Ty oddaś rządy nad Światem ? (Polską !)*”.

Kluczem do sukcesu wyborczego PiS było narzucenie społeczeństwu przez PiS fałszywego obrazu rzeczywistości. Były to trzy wielkie propagandowe kłamstwa:

1/ Polska w ruinie. PiS przez całe osiem poprzednich lat wmawiał społeczeństwu, że mamy w Polsce najgorszy rząd w historii, a sytuacja Polski – gospodarcza i społeczna – jest zła i stale się pogarsza, że Polska znajduje się w ruinie. Wmawiano ludziom, że w Polsce mogło by być lepiej, jak w sąsiednich krajach Europy Zachodniej, że zarobki są zaniżane na korzyść zagranicznych koncernów. Chłopom wmawiano, że dodatki, jakie otrzymują od Unii Europejskiej, są dla nich krzywdzące, bo rolnicy w sąsiednich krajach Unii otrzymują wyższe. Wmawiano społeczeństwu, że ekipa rządząca wyprzedawała majątek narodowy za bezcen, wymyślono afery gospodarcze. Wmawiano wyborcom, że polska polityka zagraniczna była niesamodzielna i uzależniona od Niemiec i Rosji.

Fakty były inne, ale chodziło nie o fakty, a o emocje. Katastroficzna demagogia dobrze sprzedawała się wśród ludzi niezadowolonych z tempa poprawy własnej sytuacji materialnej. Nawoływano do skończenia z rządem „zdrajców i złodziei”. Nowo obrany prezydent Duda, wzorując się na przywódcy PiS Jarosławie Kaczyńskim, posunął się tak daleko w swoich wypowiedziach, że nawet poza granicami kraju, w czasie oficjalnych wizyt, krytykował sytuację w Polsce, krytykował państwo, którego był prezydentem.

Oburzające były kłamliwe wypowiedzi Beaty Szydło i jej przyszłych ministrów. Mateusz Morawiecki, przyszły wicepremier, który dotąd wydawał się „normalnym” człowiekiem, w wywiadzie powiedział dosłownie: *„Ten odwieczny patriotyzm był okrutnie i brutalnie zaatakowany i beczczeszczony przez większość czasu III RP. To oczernianie Polski, ta pedagogika infamii, brak dbałości o dumę z Polski i z polskości”*. Na te cyniczne kłamstwa nie ma właściwie odpowiedzi. Mówił to człowiek wykształcony w Polsce, który zdobywał w Polsce stypendia zagraniczne, który kilka lat pełnił w Polsce funkcję prezesa dużego banku zagranicznego (BZWBK).

2/ Drugim kłamstwem było kłamstwo smoleńskie. 10 kwietnia 2010 roku uległ katastrofie samolot, na którego pokładzie znajdował się prezydent Lech Kaczyński z żoną oraz 94 innych osób (posłów i wybitnych przedstawicieli polskiego establishmentu), którzy udawali się na uroczystości rocznicowe do miejsca kaźni polskich oficerów w Katyniu.

Katastrofa w Smoleńsku była wydarzeniem tragicznym, bez precedensu. Całe społeczeństwo polskie było nią głęboko poruszone. Dwie

niezależne komisje, złożone z najwybitniejszych specjalistów – rządowa i prokuratorska – zgodnie orzekły, że przyczyną katastrofy był błąd pilotów i warunki atmosferyczne. Propaganda pisowska zrobiła z tego gigantyczną aferę polityczną twierdząc, że przyczyną katastrofy był zamach na prezydenta. Jarosław Kaczyński i jego partia przez sześć lat organizowali w dniu 10 każdego miesiąca całodniowe obchody: msze, przemarsze, manifestacje i wiece poświęcone temu wydarzeniu, wymyślając co jakiś czas nowe pseudodowody, ale zawsze obciążając polski rząd odpowiedzialnością za katastrofę. W tych manifestacjach brała udział twarda grupa zwolenników PiS, a popierał je kler i wielu członków Episkopatu.

Nasuwa się pytanie, jak polski obywatel, polski duchowny, polski biskup, szanujący własne państwo, dbający o pokój społeczny, może ignorować ustalenia organów państwowych i zarzucać wybranym przedstawicielom władz państwowych zdradę nie mając dowodu. PiS powołał własną komisję, w której przez sześć lat uprawiano propagandę obciążającą polski rząd odpowiedzialnością za katastrofę, chociaż w składzie tej komisji sejmowej nie było ani jednego eksperta od katastrof lotniczych. Ta totalna krytyka rządu, bezprzykładna propaganda, mimo kompletnego braku uzasadnienia merytorycznego, doprowadziła do tego, że 33% społeczeństwa uwierzyło w te kłamstwa.

3/ Obietnice wyborcze. Podczas kampanii wyborczej politycy PiS prześcigali się w populistycznych obietnicach, przekraczających granice odpowiedzialności za słowo. Obiecano społeczeństwu dziesiątki miliardów nowych wydatków na cele społeczne: wypłacanie miesięcznego 500-złotowego dodatku na każde dziecko, obniżenie wieku emerytalnego, niższe podatki, wyższe płace, zwrot odsetek kredytów frankowych, obniżenie progów podatkowych, odbudowę stoczni, ratowanie górnictwa węglowego, utworzenie nowych województw. Obietnice składano wszystkim, bez uwzględnienia możliwości budżetowych. Wszelką krytykę tych obietnic Andrzej Duda i Jarosław Kaczyński nazywali bzdurą.

Jak było do przewidzenia, po dziesięciu miesiącach sprawowania władzy PiS nie zrealizował żadnej ze swoich obietnic. Jedyna obietnica – wypłata 500-złotowego dodatku na każde dziecko – znajduje się w fazie realizacji, ale w zakresie mocno okrojonym. Uchwalona ustawa przewiduje wypłatę dodatku tylko na każde drugie i następne dziecko, a nie, jak obiecywano, na każde. Nikt nie bierze pod uwagę faktu, że ten 500-

złotowy dodatek jest wypłacany z kredytu i jako taki będzie musiał być spłacany przez społeczeństwo z odsetkami. Roczny wzrost długu publicznego z tego tytułu wynosi 20 miliardów złotych.

Po wyborach zwycięska partia, łącznie z prezydentem, przystąpiła z niezwykłą energią do realizacji swojej polityki, ale nie tyle swoich obietnic wyborczych, ale przedsięwzięć, które nie były przedmiotem kampanii wyborczej: zamachu na Trybunał Konstytucyjny i w efekcie jego paraliżu, ustaw o czystkach personalnych w administracji, w mediach publicznych, spółkach Skarbu Państwa. W pośpiechu, w nocy, uchwalano ustawy, mocą których wypowiedziano umowy o pracę kadrom kierowniczym w administracji, w mediach publicznych i spółkach Skarbu Państwa. A prezydent udzielił prawa łaski skazanym nieprawomocnie działaczom PiS. W prasie stawiano PiS zarzuty popełnienia oszustwa wyborczego, jako że te przedsięwzięcia nie były przedmiotem kampanii wyborczej. Tym bardziej, że zwycięstwo wyborcze było niewielkie, tylko 18,7% oddało swój głos na PiS. Wygrane wybory były zatem wynikiem słabej frekwencji wyborczej i systemu liczenia głosów, a nie masowego poparcia społeczeństwa, jak to głosiła partia PiS.

W tym powyborczym działaniu PiS szczególnie jaskrawe były działania naruszające konstytucję, co zapewne przejdzie do annałów Polski i Unii Europejskiej. Naruszenia dotyczyły przede wszystkim: odmowy przyjęcia, przewidzianej przez Konstytucję, przysięgi wybranych sędziów Trybunału przez prezydenta oraz odmowy przewidzianego przez Konstytucję ogłoszenia wyroków Trybunału przez premiera. Odmowy spowodowały blokadę i paraliż Trybunału Konstytucyjnego. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego staje się obowiązujący po jego opublikowaniu, a sędzia Trybunału może sądzić po złożeniu przysięgi. Delikt konstytucyjny był oczywisty.

I tu nastąpił niespotykany w naszej historii bunt polskiego świata prawniczego. Stanowisko Prezydenta i Rządu Trybunał Konstytucyjny uznał za niekonstytucyjne. Wsparły go swoimi uchwałami Sąd Najwyższy, Krajowa Rada Sądownictwa, wszyscy byli prezesi Trybunału Konstytucyjnego, Naczelna Rada Adwokacka, Krajowa Izba Radców Prawnych i – co było niespotykanym ewenementem – wydziały prawa wszystkich polskich uniwersytetów. Do tych protestów przyłączyli się wszyscy byli prezydenci RP. W efekcie doszło do buntu społecznego,

którego wyrazem stały się masowe manifestacje na terenie wszystkich większych miast polskich. W Warszawie manifestacje liczyły dziesiątki tysięcy osób. Prezydent Duda rozbrajająco oświadczył, że on nigdy nie naruszył Konstytucji.

To jaskrawe pogwałcenie Konstytucji wywołało reperkusje w Unii Europejskiej. Zgodnie z przepisami Traktatu o Unii Europejskiej stanowiło ono naruszenie norm traktatowych Unii, której Polska była przecież członkiem. Również Komisja Wenecka Rady Europy, przywołana do zajęcia stanowiska, wydała opinię mocno krytyczną dla polskich władz. Komisja Unii Europejskiej wszczęła postępowanie sprawdzające naruszenie Traktatu. Artykuł 7 Traktatu przewiduje sankcje za naruszenie „*zasad wolności demokracji, poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności oraz państwa prawnego*” (art. 6).

Tymi sankcjami mogą być:

1/ stwierdzenie wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia zasad wymienionych w art. 6 i skierowanie stosownego zalecenia,

2/ stwierdzenie poważnego i stałego naruszanie zasad określonych w art.6 Traktatu,

3/ decyzja o zawieszeniu niektórych praw członkowskich, łącznie z pozbawieniem prawa do głosowania.

Komisja Unii Europejskiej zastosowała tę procedurę Traktatu po raz pierwszy w historii Unii, a Polska jest pierwszym krajem, wobec którego postępowanie to wszczęto. Niezależnie od wyników dalszego postępowania w tej sprawie, bo ono trwa, kompromitacja Polski jest ewidentna i poważnie obniża pozycję Polski w świecie.

Konflikt o Trybunał Konstytucyjny ma, niestety, również wymiar ekonomiczny: obniżył rating obligacji polskich i ocenę finansów Polski na negatywną. Efektem jest osłabienie kursu złotego i wzrost zadłużenia kraju. Społeczeństwo odczuje to poprzez wzrost kosztów obsługi zadłużenia zagranicznego, wzrost cen importu oraz kosztów wyjazdów zagranicznych. Działania PiS spowodowały spadek pozycji Polski na arenie międzynarodowej, a wewnątrz kraju - protesty poważnej części społeczeństwa i powstanie Komitetu Obrony Demokracji (KOD), który stał się organizatorem powtarzających się masowych manifestacji.

Niezrozumiałe było stanowiska Kościoła. Dlaczego Kościół, mający za sobą chlubną historię w okresie komunizmu, zapomniał o głoszo-

nych zasadach miłości i wiary i milczał w sprawie głoszonego przez PiS kłamstwa i nienawiści i popierał kłamliwych polityków pisowskich? Dlaczego Kościół tolerował w kościołach agitację wyborczą na rzecz jednej partii, dlaczego tolerował kłamstwa serwowane przez Radio Maryja?

Już w poprzednich wyborach parlamentarnych Przewodniczący Episkopatu, arcybiskup Michalik popisał się powiedzeniem: „*niech katolik głosuje na katolika, prawosławny na prawosławnego, a żyd na żyda*”. To niemądre powiedzenie spotkało się już wtedy z ostrą krytyką. W wyborach 2015 r. i w kwestii katastrofy smoleńskiej wypowiedzi hierarchów katolickich były nie tylko skrajnie tendencyjne i kłamliwe, ale pozostawały w niezgodzie z nauką społeczną Kościoła. To Jan Paweł II mówił w 1995 roku: „*Demokracja potrzebuje mądrości, demokracja potrzebuje cnoty, w przeciwnym wypadku może obrócić się przeciwko wszystkiemu, czego ma bronić i do czego ma zachęcać*”.

Wypowiedzi polskiego episkopatu były w jawnej sprzeczności z wypowiedziami papieża, a ponadto kłamliwe. Arcybiskup Marek Jędraszewski w kazaniu mówił: „*Rząd polski świadomie oddał śledztwo w ręce Rosjan aby za nic nie odpowiadać*”, a arcybiskup Sławoj Głódź: „*Z rozmysłem przekreślona została wielka szansa integracji polskiej wspólnoty na płaszczyźnie wyjaśniania przyczyn tragedii smoleńskiej*”. Biskup Wacław Mehring poświadczał o rzekomej nienawiści demonstrantów Komitetu Obrony Demokracji do społeczeństwa, a ks. prof. Paweł Borkiewicz demonstrantów KOD nazywał „*grupą ogłupiałych ludzi na ulicy*” i „*chamstwem wyległym jak karaluchy na ulice*”.

Chciałoby się powiedzieć „*Boże, widzisz, a nie grzmisz!*”. Czy te wypowiedzi biskupów to słowo Boże, czy kłamliwa agitacja? Jeden z biskupów dziękował Bogu za dar w postaci nowego prezydenta i nowego premier. Czy łamiący konstytucję prezydent i premier mogą być darem bożym? Postępowanie wbrew przysiędze jest grzechem, jest krzywo-przysięstwem. Czy episkopat tego nie widzi, czy tylko udaje? Ta polityczna działalność polskiego Kościoła zraziła do niego wielu katolików. Nie zyska ona z pewnością oceny pozytywnej i za taką też nie będzie uznana w historii. Niestety, nie odezwał się żaden głos biskupi, który by te kłamstwa korygował, co świadczy o aprobachie. Księża katolickich, którzy mieli odwagę skrytykować postawę wypowiadających się człon-

ków Episkopatu było, niestety, niewielu. Byli to głównie Dominikanie: o. Ludwik Wiśniewski, o. Tomasz Dostatni oraz Marianin o. Boniecki.

Kłęska wyborcza i wydarzenia polityczne lat 2015-2016, to przysłowiowa łyżka dziegciu w beczce miodu ostatniego dziesięciolecia Polski, która nie tylko psuje uczucie satysfakcji i dumy z osiągnięć mojego kraju, ale niszczy osiągnięcia z wielkim trudem zdobyte.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Zakończeniem niniejszych wspomnień miała być, wg moich pierwotnych zamierzeń, pierwsza część poprzedniego rozdziału. Pisałem je w latach 2014-2015; zawarłem w nich moje myśli o schyłku mojego życia oraz satysfakcji i dumy z osiągnięć Polski. Zmiany, jakie przyniosły wydarzenia drugiej połowy 2015 roku kompletnie zmieniły sytuację w Polsce, jak i mój optymizm. Zmiany, z jakimi mamy obecnie do czynienia, nie są prostą konsekwencją wyborów, w których jedna ekipa przejmie władze po drugiej w wyniku demokratycznych wyborów. Tutaj mamy do czynienia z zapowiedzianym i następnie realizowanym zamachem na konstytucyjny ustrój państwa demokratycznego.

Prezydent i premier odmówili zaprzysiężenia wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego i ogłoszenia wyroków tego Trybunału, co było ich konstytucyjnym obowiązkiem. Oznaczało to paraliż Trybunału Konstytucyjnego i stało się początkiem dalszych naruszeń ustawy zasadniczej oraz sprawiało, że prawa obywatelskie i demokracja stały się zagrożone. Sytuacja stała się na tyle poważna, że organa Unii Europejskiej uznały za stosowne zająć wobec praktyk naszego państwa krytyczne stanowisko. Właśnie dzisiaj (14.10.2016) Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą rząd polski do rozwiązania kryzysu konstytucyjnego oraz wyraził obawy, co do poszanowania wolności wypowiedzi i pluralizmu mediów w Polsce. Mamy więc sytuację, jakiej dotąd żadne państwo europejskie - członek Unii Europejskiej - nie doświadczyło.

Stawiam sobie kardynalne pytanie, jak my, Polacy, mogliśmy dopuścić do takiej degrengolady naszego państwa, do spadku z trudem osiągniętego sukcesu, do spadku państwa do roli drugiego sortu państw w Europie i świecie? Jak mogliśmy zlekceważyć osiągnięty w minionych latach stan gospodarki polskiej, najlepszy w historii naszego kraju, wybrać rząd krytykujący wszystko i wszystkich? Zamiast związków z Zachodnią Europą, do których udało się nam przez Unię Europejską doprowadzić, postanowiliśmy przejść wzorce z Europy Wschodniej, nie bacząc na tragiczne doświadczenia historyczne.

Doprowadziliśmy do konfliktu z Unią Europejską, zostając w osamotnieniu wobec pozostałych państw europejskich, za wyjątkiem mocar-

stwa (!) węgierskiego (mam nadzieję nie Węgrów). Zamiast docenić osiągnięte sukcesy postanowiliśmy uwierzyć w obietnice bez pokrycia i to mimo ostrzeżeń rodzimych specjalistów i Unii Europejskiej. Nie ma co ukrywać. To my, Polacy, wybraliśmy w sposób demokratyczny nową władzę i to my ponosimy za to odpowiedzialność. Wykazaliśmy przy tym brak mądrości, żeby nie powiedzieć, że wykazaliśmy dużą dozę głupoty. Głupotą narodu jest bowiem podejmowanie przez jego większość (?) nieracjonalnych decyzji w momentach strategicznych. Nie zmienia tego żadne bohaterskie, czy racjonalne zrywy mniejszości. Czy ten brak mądrości to nasza cecha narodowa, czy tylko krótkie zaćmienie umysłów?

Prawdą jest, że przez ponad 150 lat byliśmy karmieni mitem o mądrości, niewinności i wspaniałości, ba wręcz o wyjątkowości narodu polskiego, a większość z nas z zadowoleniem taką narrację uważała za zasłużoną. Doświadczenia historyczne, a i obecna sytuacja powyborcza, każą poddać w wątpliwość takie myślenie. Jak to się bowiem stało, że duże państwo w Europie, jakim była Polska, utraciło niepodległość na ponad sto lat, kiedy inne państwa europejskie rozwijały się w tym czasie i ich znaczenie polityczne i gospodarcze rosło? Dlaczego w Polsce utrzymywało się poddaństwo chłopów, i to w wersji paraniewolniczej, aż do XIX wieku, i na dodatek zostało ono zlikwidowane nie przez nas samych, ale przez cara zaborcę? Dlaczego w Polsce nie ukształtował się, wzorem zachodu, stan mieszczański, który w innych krajach przyczynił się wydatnie do rozwoju gospodarczego tych krajów? Dlaczego do zrównania mieszczaństwa ze szlachtą doszło dopiero po zrywie postępowej części społeczeństwa i uchwaleniu Konstytucji 3-go Maja pod koniec XVIII wieku? Dlaczego chwalimy się polskim przywilejem „*neminem captivabimus*”, ale nie mówimy, że przywilej dotyczył tylko szlachty, a nie całego społeczeństwa? Dlaczego w Polsce od XVIII wieku wybuchały co kilkadziesiąt lat powstania (kościuszkowskie, listopadowe, styczniowe, warszawskie) i zawsze kończyły się klęską? Dlaczego nawet odzyskanie niepodległości po ponad stuletniej niewoli nie nastąpiło dzięki walce Polaków, a tylko dzięki zbiegowi okoliczności, jakim były wojny między naszymi zaborcami?

Te ewidentne przykłady z historii przeczą tezie o naszej mądrości i wyjątkowości. Krytyczny stosunek do naszego charakteru narodowego

miało też w przeszłości sporo światłych Polaków i się z nimi nie kryło. Stanisław Brzozowski mówił wprost o lenistwie intelektualnym Polaków, a za rezultat tego lenistwa uważał utratę niepodległości i cywilizacyjne zapóźnienie Polski. Cyprian Kamil Norwid pisał: „*Gorzki to chleb Polskość*”, „*Polacy są wspaniałym narodem i bezwartościowym społeczeństwem*”. Józef Piłsudski mówił: „*Polacy są narodem idiotów*.”, a od prof. Kotarbińskiego pochodzą powiedzenia: „*Polak, jak mu fantazja przyjdzie do głowy, może być całkiem porządnym człowiekiem*.”, „*Co robi Polak, jak mu się nie chce pracować? Kładzie się, aż mu przejdzie*.”.

Adam Smith pisał: „*Polska to kraj, w którym, o ile mi wiadomo, nie produkuje się nic ponad środki niezbędne do przeżycia*.” Winston Churchill w swojej historii II-ej wojny światowej krytycznie wypowiadał się o Polakach: „*Polska jest szalona i niewdzięczna ...wspaniała w oporze, marna i niegodna w chwili triumfu*.” Nawet jeśli by przyjąć, że to niewinne zdania wypowiedziane pod wpływem chwili, to pejoratywny wydźwięk jest tu oczywisty. Jeżeli dodamy do tego wyniki współczesnych badań socjologicznych, które pokazują, że dwie trzecie populacji Polaków nie przeczytało w ciągu roku ani jednej książki, to narracja o mądrości i wyjątkowości naszego charakteru narodowego staje się iluzoryczna. Kto nie czyta, ten nie myśli (!).

Ostentacyjne podkreślanie patriotyzmu, przypisywanie sobie wszelkich cnót i zasług oraz kłamliwe obciążanie poprzednich rządów winą za wszelkie niepowodzenia własne stało się domeną polityki obecnego rządu. Mamy wymyślanie sukcesów tam, gdzie ich nie ma, przesadne podkreślanie osiągnięć oraz pomijanie błędów i porażek, mamy ostentacyjne fetowanie klęsk i porażek. Społeczeństwo dowiedziało się, że to nie Lech Wałęsa był przywódcą Solidarności, a Lech Kaczyński, zwycięstwo nad komunizmem to nie rok 1989, ale rok objęcia rządów przez PiS. Bohaterami okresu wojny, to nie Armia Krajowa, a tzw. „żołnierze wyklęci”. Podręczniki szkolne pisze się na nowo, modyfikując fakty na „prawdziwe”. Zarządza się ekshumację wszystkich ofiar katastrofy smoleńskiej po sześciu latach od katastrofy i to wbrew woli rodzin. Prymitywizm narracji i uroczyste obchodzenie rocznie klęsk stało się przyjętym zwyczajem. A wszystko to odbywa się pod wzniosłymi hasłami patriotyzmu i wychwalaniem polityki historycznej.

Sytuacja staje się wprost nieznośna. Czy trzeba czekać, aż społeczeństwo dojrzeje i zmadrzeje? Mój sprzeciw wobec polityki obecnego rządu, moją odpowiedzią na te praktyki, są wersy zawarte w wierszu naszego poety Jana Kasprowicza: „*Rzadko na moich wargach/ - Niech dziś to wargę ma wyzna - / Jawi się krwią przepojony,/ Najdroższy wyraz: Ojczyzna./ Widziałem, jak się na rynkach/ Gromadzą kupczykowie/ Licytujący się wzajem,/ Kto Ją najgłośniej wypowie./ Widziałem, jak między ludźmi/ Ten się urządza najtaniej,/ Jak poklask zdobywa i rentę,/ Kto krzyczy, iż żyje dla Niej./ Widziałem, jak do jej kolan/ - Wstręt dotąd serce me czuje - / Z pokłonem się cisną i radą/ Najpospolitsi szuje./*”

Na tle tych refleksji chcę jasno sprecyzować moją tożsamość. Kim ja jestem i kim ja się czuję? Uważam się za Polaka i patriotę, ale też za Europejczyka. Wszystkie sprawy mojego narodu są mi bliskie. Nigdy nie miałem nawet cienia ochoty wyemigrowania, chociaż okazje ku temu bywały. Tu czuję się najlepiej. Jestem zdeklarowanym zwolennikiem Unii Europejskiej, w której widzę gwarancję odwrócenia złych trendów z przeszłości naszego kraju i pomyślnego jego rozwoju w przyszłości. W kwestiach społeczno-ekonomicznych jest mi bliska orientacja liberalna i przekonanie, że rynku i prywatnej własności eliminować nie można i nie należy, ale że państwo może i powinno włączać się w regulowanie procesu gospodarczego, zapewniając jego stabilność i rozwój, nie dopuszczając do nadmiernych nierówności.

Ale to nie wystarczy. Każdy z nas należy współcześnie nie tylko do określonego narodu, ale ponadto do bliższego w nim kręgu kulturowego i społecznego, do tzw. małej ojczyzny, na którą Niemcy mają lepsze określenie: *heimat*. Urodziłem się na skraju Kociewia, ale żyłem tam zaledwie 11 lat jako dziecko. Pięć lat spędziłem w Niemczech, dwa lata w Wielkopolsce, dwadzieścia siedem lat w Gdańsku i czterdzieści dwa w Warszawie. Gdzie więc jest mój *heimat*?

Myślałem na ten temat i doszedłem do wniosku, że moim *heimatem* jest Gdańsk. Dlaczego? Jest szereg argumentów, które ten pogląd uzasadniają. W Gdańsku i na jego obrzeżach (Pelplin) żyłem prawie 40 lat. Tu się urodziłem, tu studiowałem, tu zaczynałem moją pracę zawodową, tu się ożeniłem, tu się urodziły moje dzieci i moje wnuki. Tu aktywnie pracowałem po wojnie nad odbudową miasta z ruin wojennych. Osobiście i w czynach społecznych oraz zawodowo pracując w przedsię-

biorstwie budowlanym, które odbudowywało Stare Miasto i Prawe Miasto oraz zniszczone budowle historyczne. Tu żyli moi rodzice i tu są pochowani. Tu byłem też radnym miasta.

Po przeniesieniu do Warszawy często tu bywałem śledząc rozwój miasta i jego infrastruktury. Dumą napawała mnie odbudowa i intensywna rozbudowa Gdańska. Przy każdym, nawet kilkudniowym pobycie w Gdańsku, Maciek obwoził mnie po nowych obiektach inwestycyjnych, a ja traktowałem je jako moje: port lotniczy imienia Lecha Wałęsy, kolej metropolitalną, południową obwodnicę Gdańska, trasę Sucharskiego z tunelem pod Martwą Wisłą, nowy stadion sportowy, a zwłaszcza rozbudowę infrastruktury portu (terminal naftowy i terminal kontenerowy). Z satysfakcją i z dumą oglądałem cumujące u nabrzeży portowych super-tankowce, jakich Gdańsk wcześniej nie widział, oraz urastanie Gdańska do czołowego portu na Bałtyku.

Zawsze interesowała mnie historia Gdańska i to nie tylko polsko-niemieckie zmagania o polskość Miasta, ale jego rozwój gospodarczy. Utkwiła mi też w pamięci stara dewiza Gdańska, pochodząca z początków 17-tego wieku, która brzmi „NEC TEMERE, NEC TIMIDE ” (ani zuchwale; ani lękliwie). Wnikliwe jej przemyślenie oznacza ni mniej ni więcej, tylko inaczej sformułowaną zasadę racjonalnego działania. Do mnie ta zasada przemawia, Co więcej, wydaję mi się, że ja podświadomie tę zasadę stosowałem w życiu, nie wnikając w filozoficzną treść tej formuły. Jest wreszcie jeszcze jeden mocny argument uzasadniający mój wybór. Parafrazując znany wiersz Juliana Tuwima uważam się za Gdańszczanina, „*bo mi się tak podoba.*”

INDEKS NAZWISK

A		Buchholz	17
Anders prof.	44	Budzyński Zygmunt	66
Andrejew Igor	55	Burdyński	62
Archimedes	142	Burzyński Czesław	66
B		Burzyński Wacław	66
Baka Władysław	118,119	Busch Helena	28
Balcer Łukasz	86	Busch Kazimierz	28
Balcerowicz Leszek	129	Busch Krystyna (Jankowska)	28
Bareja Jerzy	139	Busch Maryla	28
Bartoszewski Władysław	115,116	Busch Sewera	28
Beczala Piotr	175	Bzowski J.	133
Bednarski Leszek	52,54,79	C	
Bejm Tadeusz	84,86,100	Callas Maria	178,180
Belka Marek	133	Celiński Andrzej	116
Berezowski mgr	66	Chmielewski Leszek	29
Bialer	55	Chmielewski prok.	82
Białobrzeski	164	Chopin Fryderyk	171
Bielakowski Janusz	119	Churchill Winston	195
Bierut	25	Cichy Ryszard	88,103,119,139
Birkfelner Jan	43	Ciechanowski Marian	89,139
Bizet	177	Cieślewicz Bogusław	44
Blaschke Oswald	134	Ciszewski Bohdan	122
Błazak Adam	42, 46	Clemens Petra	40
Błocki	72	Corazzi Antonio	176
Bolewski Andrzej	88,92	Cyrankiewicz -	46
Boniecki Adam	192	Czachórski Witold	55, 56, 59
Borowska Irena	66	Czapiński Janusz	183
Borkowski Andrzej	137	Czyżewski Stanisław	99
Bortkiewicz Paweł	191	Czyżewscy	26
Bruno	51	D	
Bruszewski	65	Darski	51
Brzuskowscy	26	Daulas Dymitr	153
Brzozowski Stanisław	195		

Dembowski Zdzisław		Godlewski Czesław	74,75,152
84,88,89,92,95,99,104,107,110,		Gomułka	46
112,119		Gordziejczuk Włodzimierz	
Dębicka Janina	91		
Dębowiecki	75	66	
Dietrich	35	Górski Jerzy	90
Dobrzyński Romuald	50, 52	Graczyk	60
Domek J.	133	Grieg	167
Donizetti	177	Gromek Stefan	70,75,165
Dostatni Tomasz	192	Grubski Alfons	26
Dörkheim Graf von	162	Grudzień Zdzisław	101
Drawicz Andrzej	116	Gruszczyk	118
Duda Andrzej	186,187,188,190	Grzywaczewska M.	184
Dziedzicki Tadeusz	91	Grzywaczewski Maciej	81,111
		Gubrynowicz.	66
F		Gwiazda	66
Fabiszewski	91		
Fieldorf (Nil)	55	H	
Fortuna Wojciech	89,140	Hac Bronisław	140
Frumerie Maurit	39	Hall Aleksander	81
Frycz-Modrzewski	163	Hardy Adam	125,126,131,134, 139,141,162
		Held Ludwig	39
G		Herbst	34, 55
Gadziński	43	Hildebrandt	125,126
Gatniejewski Zbigniew	46	Hitler	14,71,179
Gaudi	175	Hofmann Lucjan	52
Gawrych Stanisław	43	Hohenlohe Graf von	162
Geremek Bronisław	115,116,126	Holewski Edmund	62
Gerber	35	Holzer Jerzy	116
Gierek Edward	84,98,110	Hołownia Paweł	136
Gieysztor Aleksander	55	Hulak-Artemowski	175
Gintowt	55, 56	Hus Jan	181
Gliszczyński Konstanty	41,43,45	Hülzen von	26
Głódź Sławoj	191		

		Kaczyński Lech	187
		Kaliński Henryk	90
I			
Iljuczek	62,63	Kamiński Bronisław	132,
Imielińska Halina	163,173		133,136
Imieliński Bruno Leszek	163,173	Kasprowicz Bolesław	50, 51
Ingarden	55		133
Iwaszewski Jerzy	75,149	Kasprowicz Jan	196
		Kaznowski Andrzej	84,86
		Kędzierski K.	133
J		Kiljański Jan	62
Jabłonowski	83,84	Kisiel Henryk	104,105
Jaklewicz Kazimierz	71,73,76	Kisiel-Skalski Wiera	178
Jamróż Stanisław	90,91,93,106,	Klemensowski Artur	66
	107,140	Klimaszewski	56
Jan Paweł I	154	Kochanowska Izabela	73
Jan Paweł II	30,163,183,191	Kochanowski Jan	45,73
Janczukowicz Paweł	65,67,69,71	Kochanowski Jerzy	73
Janda Krystyna	178,180	Kohl Helmut	127,165
Jankowska Anna	106	Komorowski Bronisław	116,186
Jaroszewicz Piotr	84,101	Korab Z.	140
Jaruzelski Wojciech	112,116,154	Koranyi Karol Wilhelm	55
Jarząbkiewicz Michał	66	Kot Ryszard	147,148
Jasiewicz	61	Kotarbiński Tadeusz	195
Jasińska Barbara, patrz Pawlak		Koter Leszek	90
	145	Kotowski Bolesław	158
Jezierzańska Marzena	175,178	Kowalenko Władysław	49, 50
Jędraszewski Marek	191		52
Jędrychowski	25	Kowalkowska Anna	8
Józwiak Franciszek	27	Kowalkowska Maria, p. Pawlak	8,113,144
K		Kowalkowski Konrad	8
Kaczor	46	Kowalkowski Stanisław	41,113
Kaczyński Jarosław	129,	Kreid Ryszard	137
	140,186,187,188,195		

Kruszelnicka Salomea	176	Łukaszewski Bogdan	46
Krześniak Mieczysław	71	Łyczkowska Ewa	163
Krzysztofiak Mirosław	52	Łyczkowski Leszek	163
Krzyślakowie	44		
Krzyżaniak	51	M	
Kubacki	66	Madey Marek	59
Kubicka	113	Madey, wiceminister	105
Kukiz	186	Majewska Irena , p. Tatomir	51
Kula Zbigniew	55,164		54,72,75,165
Kurowski	55	Majewski Jan	52, 54
Kusztal Tomasz	91	Malenkov	56
Kwiatkowski Eugeniusz	50, 51	Malinowski Jan	95
	52,62	Małek	51
Kwiatkowski J.	133	Marasek Andrzej	130
Kwiecień Mariusz	177,178	Markos	153
		Marks Karol	106
L		Martyński Edmund	29
Lange Oskar	55	Massenet	175
Lec	25	Matłosz Józef	10
Leoncavallo	176	May	34,43
Lewin	25	Mazowiecki Tadeusz	86,116
Lisewski	13, 24		126,129
Listkowski Wacław	89,107	Mehring Wacław	191
Liszt Franciszek	179	Meissner	109
Ludwik II Szalony	175,179	Michalik Józef	191
		Michnówna Ksenia	29
Ł		Michniewicz	51, 53
Łabuś R.	95	Michnik Adam	115
Ładyka Władysław	51	Michota Zenon	91,139,140
Łazarski Zdzisław	74,75	Mickiewicz	41
Łodykowski Tadeusz	52	Mikołajczyk	46
Łodziński Sławomir	89,103,139	Mil Józef	137,138
	130	Miller Leszek	186
Łukaszewicz Bohdan	44	Milutinowicz	105

Miłosz Czesław	183	Ocioszyński	51
Mitręga	119,120	Ogórek Magdalena	186
Mirbach von	135	Olenska D.	149
Mołotow	21	Olendski Witold	75,84,88,89,108
Moniak	51	Orłowski Bronisław	106,140
Mooshammer Michael	109,162	Orłowski Stanisław	119,140
Morawiecki Mateusz	187	Osten-Sacken	86
Mossakowska Hanna	165		
Mościcki	12	P	
Möbius	26	Panert Lech	44
Mrozowski Ryszard	66,84,88,92	Pasternak Leon	25,26
Murawscy	16, 17, 18, 19	Parchmann Jochen	94,98
Murzyński Tytus	69,72	Pawlak Adriana	184
Muszyński Zbigniew	44	Pawlak Antoni	62,81,111,114 115,116,120,122,123,145,147 162,165,184,185
N		Pawlak Antoni (dziadek Autora)	7
Naumienko	71	Pawlak Barbara p. Jasińska	66,85
Neldner Henryk	44		97,114,115,123,127,136,145,146 150,153,154,155,156,159,161 162,163,185
Nelke Gerd	125,126	Pawlak Bohdan	72,137
Netzel Klaus	29	Pawlak Danuta	144
Niemczycki	172	Pawlak Dorota	114,184
Niepage	35	Pawlak Elżbieta	184
Nierzwicki Józef	29	Pawlak Jacek	128,165,167,168 184,185
Niewęglowski	115	Pawlak Jakub	40,128,166,184,185
Niklas Wanda	28	Pawlak Jerzy	18,38,61,66,69, 70 72,74,75,76,78,82,84,86,89,90 91,95,99,103,104,106,108,120 126,130,132,133,139,140,141 144,146,149,152,153,155,162, 169,170,179,180,184
Noewig	109		
Norwid Cyprian Kamil	195		
Nowaczyk	51		
Nowakowski	59		
Nyczaj Maryla	91,132,141		
O			
Ober Czesław	46		
Obodowski Janusz	119		

Pawlak Maciej	114,115,123,147 165,184,196	Prus	41
		Przybecka Teresa	29
		Puccini	181
Pawlak Maria p. Kowalkowska	144	Puczniewska Eliza	165
		Puczniewski Leszek	165
Pawlak Mikołaj	111,114,127,156 165,184,185	Putrament	25
Pawlak Mirosława	164	R	
Pawlak Ryszard	163,164	Raczkowski Maciej	137
Pawlak Stanisława	8	Radek ks.	26
Pawlak Stefan	8,22,44	Radomski	66
Pawlak Stefan (wnuk)	185	Radzikowski Andrzej	54,66,67
Pawlak Witold	9,19,144		69
Pawlak Zofia	7	Rajecki Maciej	91
Pawlak Zofia (wnuczka)	185	Rakowski Mieczysław	111
Pawlus Zdzisław	44	Reichenbach Ewa von	35,39
Pazdro Zdzisław	71	Reichenbach Johann Dawid von	
Piasecki	26		35,36,38,39
Picasso	175	Resich	55
Piekarski	51	Reszetow Katarzyna	163
Pietras Sławomir	174,175,178	Reszetow Michał	163
	181	Reymont	41
Pietrzak prof.	43, 60	Ribbenntrop	21
Pilch	108	Ritter	35
Piszczyk Tadeusz	75,95,160,166	Roehr	44
Piłsudski Józef	12,29,144,195	Romanowski Tadeusz	135
Pluczniewski	126	Rozmarynowska Katarzyna	189
Pniewski Bohdan	176	Rudolph Antje	36
Pobóg-Roszkowski	113	Rynkowski Kazimierz	84,86
Podgajniak	133	S	
Podgórczyk Marek	81,180	Saalow	34
Podraza Wiesław	137	Schaff	51
Polkowski	51	Sadowski Zdzisław	105
Proske Walter	26,32,33		

Sakwa Jarosław	137	Szemplińska	26
Salski Wojciech	89,139,140,141	Szenwald	25,26
Samozwaniec Magdalena	172	Sztompka Edmund	163
Sauer Tomasz	35,75	Sztompka Krystyna	163
Saupe Knud	94	Szydło Beata	187
Sawicki ks.	55	Szyborska. Wisława	183
Schannwell Georg	35		
Schauder	134	Ś	
Schrajbert Józef	75,166	Śliżewski Henryk	121
Schreiber	126	Śmidowicz Bogdan	72,73
Schröder	136	Świerkowski	77
Sidorowicz Danuta	91,122,130		
	166,169,171	T	
Sienkiewicz	41,186	Tatomir Irena, p.Majewska	51,54
Skarbek, hr.	176	Taylorowie	162
Sławoj-Składkowski	182	Terlecki Marian	81
Słowacki	41	Tetzlaff Edward	74,75
Słupczyńska Hanka	75,76	Tkaczenko Atanazy	74
Smith Adam	195	Tokarski Zbigniew	84,88
Smoleń Jan	137,138	Tołwiński	67
Smoleński Sławomir	88,95,106	Tomaszewski Andrzej	75,152
	119,161	Toscanini	180
Solski Ludwik	45	Tusk Donald	183
Sosna Józef	43	Tuwim Julian	197
Sowiński	51	Tyrakowski	91
Stalin	50, 55,68,98	Tyszkiewicz Andrzej	73
Stasiakowa	44		
Stammberger	105	U	
Stelmachowski	55	Uliasz Zdzisław	137,159
Strzałkowski	47		
Sułocki Tadeusz	69,72	V	
Szawdyn Jerzy	88	Verdi	177,180
Szczypior Łucjan	66		
Szczypiorski Andrzej	116	W	

Wagner Richard	178,179	Żandarski Kazimierz	88
Wajda Andrzej	180	Żeromska Monika	62
Wałęsa Lech	114,183,195,196	Żółtowski Zbigniew	59,88
Warkało Witold	55, 56	Żółkowski Stefan	46
Warmiński Zygmunt	26	Żurko Jan	91,119,140
Wasilewska	25	Żyłkowski Henryk	59
Waseńczuk Jan	53,101	Żytka Jan	84,88,95,119,139
Wasilkowski	56		140,141
Wat	25		
Ważyk	25		
Werbanowski Z.	106		
Wiechowicz Elżbieta	72,75,163		
	164,165		
Winter	34		
Wiśniewski Ludwik	81,192		
Witkiewicz Jan	43		
Wojciechowski	67		
Wołłejko	67		
Woroszyński Wiktor	115,116		
Woźny Bogusław	44		
Wyłębski Paweł	124,125		
Wysocka Irmina	165		
Wysocki Stefan	165		
Wyszyński Stefan	145		
Z			
Załucki Marian	157		
Zembrzуска-Wysocka Irma	156		
Zieleziński Jarosław	46		
Znański Zbigniew	88,119		
Zober Ernst Heinrich	36		
Ż			
Żakiewicz Bohdan	90		

Jerzy Pawlak, rocznik 1928

urodzony Kocewiak, z pochodzenia Wielkopoleanin, z przekonania gdańszczanin, od 1974 warszawiak, z wykształcenia ekonomista i prawnik, doktor prawa. W branży geologicznej pracował od 1953 r. w różnych jednostkach tej branży i na różnych stanowiskach: doradcy prezesa CUG, dyrektora departamentu CUG, wicedyrektora Kombinatoru Geologicznego „Północ”, radcy prawnego w Przedsiębiorstwie Usług Geologicznych „Geopol”. Autor książek i artykułów na tematy ekonomiczne i prawne prac geologicznych, wykładowca na Uniwersytecie Gdańskim i AGH w Krakowie. Po likwidacji CUG pracował w Polskiej Akademii Nauk, a następnie prowadził własną kancelarię prawniczą.

ISBN 978-83-62989-55-3



9 788362 989553